



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 643



W ZWYCIĘSKIM POCHODZIE

W ZWYCIĘSKIM
POCHODZIE.



643

bg. 1015

ALEKSANDER SALWIK, MAJOR W. P.

W ZWYCIĘSKIM POCHODZIE.

PAMIĘTNIK Z CZASÓW WALK
III BATALJONU 25 PUŁKU PIECHOTY.



WYDANO W RADOMIU

1 9 3 4 r.

Nr. 822

*Książka niniejsza wydrukowana
została w nakładzie 4.000 kolej-
no numerowanych egzemplarzy,
w tem 50 egzempl. na papierze
welinowym, zaś 3.950 egzempl.
na papierze konceptowym.*



Autor, w mundurze majora W. P.

PRZEDMOWA.

Rzucając tych słów parę, ze swego pamiętnika, na światło dzienne, pragnę w pierwszej mierze opisać bohaterskie czyny Majora Bogaczewicza, oraz Dzielnych i Niezlomnych Jego Oficerów i Żołnierzy: aby wspomnieć Ich Wielkie Czyny w walce o Niepodległość i Istnienie Ojczyzny. Walcząc z zaparciem się siebie, spełniali Oni swój Wielki i Zaszczytny Obowiązek tak, jak go dziś spełniają, pracując w cichości ducha nad wyszkoleniem i wychowaniem tych, którzy mają obowiązek zapewnić Polsce istnienie i potęgę, oraz odeprzeć wszelkie zakusy wroga, godzące w byt, całość i Niepodległość Polski.

Niech bohaterskie i pełne poświęcenia czyny Tych Walecznych i Niezlomnych Rycerzy Rzeczypospolitej będą drogowskazem cnót i poświęcenia dla przyszłych pokoleń, od których zależy istnienie i świetna przyszłość Ojczyzny.

AUTOR.





*B. major Bogaczewicz, w mundurze podpuł-
kownika W. P.*

W S T Ę P.

1 listopad 1918 roku, ten niezapomniany dzień zwycięstwa, w którym Kraków, Lublin, Kielce, Radom i inne miasta rozbroiły załogi okupacyjne i ogłosiły Niepodległość Polski, nastąpił tak szybko i niespodziewanie, że olbrzymia część społeczeństwa, nie znająca bliżej, lub niedoceniająca „Czynów Komendanta“, Jego Niezlomnych Legionów i bezgranicznie pełnej poświęcenia pracy Polskiej Organizacji Wojskowej, uważała ten dzień zwycięstwa za chwilowe zjawisko nienaturalne, oczekując w niepewności i przygnębieniu dalszych kolei losu. Wypadki w tym czasie potoczyły się prędkiej, aniżeli się tego spodziewały najpotężniejsze umysły polityczne Europy i świata. 11 listopada 1918 roku powrócił z Magdeburga „Wieżień za Wielką Sprawę Polski“, Komendant Józef Piłsudski, pod rozkazami którego rozbrojono ostatnie załogi okupacyjne, i Polska, okuta w kajdany i krwią zboczona, została wydobyta z wiekowej niewoli, stając się „Potęgą Europejską“.

W tym znamiennym i radosnym dla Polski czasie po odzyskaniu Niepodległości, jak moce piekielne spadły na Kraj nowe zgryzoty i nieszczenia, godzące poważnie w Jego byt Niepodległościowy. Jeszcze nie wystygły lufy, zagrzałe spracowanymi dłońmi młodocianych Polskich Żołnierzy, podczas wypędzania okupantów z Kraju, gdy już ten młodociany, lecz zarazem „niezlomny żołnierz“ musiał walczyć naraz na trzech frontach, t. j. czeskim, lwowskim i bolszewickim, aby zapewnić Polsce istnienie, po długich i przykrych latach niewoli.

Szczupłe i niewystarczające wówczas szeregi Wojska Polskiego, walczącego mężnie z przewagą wroga, uzupełniały kobiety i dzieci, które z hasłem na ustach „Nie damy ziemi skąd nasz ród“, walczyły mężnie, składając głowy w ofierze i przysparzając tradycyjnej sławy „Orężowi Polskiemu“.

Zerwały się do czynu „Niezwalczone Orłęta“, tak, że pomimo dużej przewagi liczebnej, wróg nie mógł zdobyć Ziemi Polskiej, bo wszędzie napotykał na silny i zdecydowany opór tych, którzy ukochali Wolność i Zwycięstwo, ponad życia własne.

Nastał marzec 1919 roku, w którym to czasie został przeprowadzony pierwszy pobór rekruta, na wzmocnienie nielicznych stanów oddziałów, walczących w polu. Radośniejszemu zagrały w tym czasie w całej Polsce surmy bojowe i z różnych zakątków Polskiej Ziemi wyruszyły liczne oddziały na front, by nieść pomoc wyczerpanym, o małych stanach liczebnych, oddziałom na froncie. W całej Polsce w tym czasie ruch panował wielki, jak przed bitwą w obozie wojennym. Orkiestry, przy dźwiękach marsza, odprowadzały kompanie i bataljony na dworce kolejowe, skąd je pociągi pośpiesznie wiozły na śmierć lub zwycięstwo.

W tym czasie, 16 marca 1919 roku, wyruszył z Kielc I bataljon marszowy 25 pułku piechoty, pod dowództwem kapitana Bogaczewicza Kazimierza, pod Lwów, by wziąć udział w ofensywie marcowej, na Jaworów, Wereszyce, Wiszenkę Wielką. 15 marca, w przeddzień wyjazdu, w koszarach kieleckich ruch panował wielki. Naprędce ujmowano w ewidencję, uzbrajano i umundurowywano przybywające oddziały z różnych miejscowości, jak z Częstochowy, Nowo-Radomska, Piotrkowa i Radomia, by móc nazajutrz zrana wyjechać na front.

Pociąg w nocy był przygotowany i oczekiwał na bataljon, który o godzinie 5-tej rano przymaszerował na dworzec kolejowy i został niezwłocznie załadowany do transportu. Zbyt ranny odjazd był powodem, że nikt nie przybył na dworzec, aby pożegnać tych, którzy za chwilę mieli odjeżdżać, by składać na pobojuwiskach w ofierze głowy za tę wielką sprawę, jaką jest Ojczyzna. Żegnała ich tylko orkiestra 25 pułku piechoty, której zamrożnięte trąby wydawały raczej jęki konających, niż „Hejnał Triumfu i Zwycięstwa“, gdyż nie śmierć i cierpienia, lecz czyny sławy i zwycięstwa los zgotował temu bataljonowi, który pod rozkazami kapitana, a późniejszego majora Bogaczewicza, do końca wojny przebywając na froncie, odnosił chlubne zwycięstwa.

ROZDZIAŁ I.

Wyjazd na front.

16 marca 1919 r., o godzinie 7-ej rano, transport wyruszył z Kielc i przez Skarżysko, Rozwadow przybył tegoż dnia o godzinie 17-ej do Przemyśla, skąd, po spożyciu przez żołnierzy obiadu, wyruszył w dalszą drogę, do Sądowej Wiszni. Stąd miała być rozpoczęta ofensywa grupy pułkownika Beckera. O godzinie 2-giej nad ranem pociąg przybył na dworzec kolejowy do Sądowej Wiszni, gdzie bataljon został pośpiesznie wyładowany.

Cisza i spokój panowały dokoła, przerywane oddalonym pomrukiem artylerji, która niektórym przypominała dzieje niedawnej przeszłości, walk wojny światowej, lub może napawała trwogą bliskości wojny tych, którzy na niej jeszcze nie byli i bliżej jej nie znali.

Powstał pierwszy brzask, tak dobrze znany żołnierzowi na wojnie, i zaczęło rozwidniać się. Bataljon stanął na zbiorce. Oficerowie przeglądali swoje kompanie, przed przybyciem dowódcy bataljonu. Przybył wreszcie kapitan Bogaczewicz i po krótkim przeglądzie, poprowadził bataljon marszem podróжным do Sądowej Wiszni, na przejściowe kwatery. Oficerowie podczas marszu mieli miny buńczuczne i beztroskie. Maszerując na czele swych kompanji, byli spokojni i opanowani. Zdała dochodził odgłos coraz silniejszej kanonady artyleryjskiej, do której żołnierze zaczęli przyzwyczajać się, patrząc na przykład swych dowódców, którzy mieli ich wkrótce poprowadzić, na bój i zwycięstwo. A ci ich dowódcy, poza dowódcą bataljonu to młodzieńcy dwudziesto i paroletni, a już tak zasobni w moc niezwalczoną i dużą wiedzę wojskową, której nabyli na wojnie światowej, podczas długiego swego tam pobytu.

Bataljon został zakwaterowany w Sądowej Wiszni, na kwaterach prywatnych. Miasto było bardzo zniszczone długotrwałymi walkami z hajdamakami, mistrzami w bombardowaniu miast

przyfrontowych, podczas których od ognia artylerji najwięcej cierpiała ludność cywilna, zdająca się na łaskę losu i wyczekująca swego przykrego przeznaczenia. O barbarzyńskim bombardowaniu Sądowej Wiszni świadczyły bezsprzecznie i wymownie liczne zgłiszczca domów spalonych i porozwalanych, powybijane prawie wszystkie szyby w mieście i podziurawione dachy ocalałych domów, oraz nastrój mocno wylęknionej ludności, która wystraszonym wzrokiem wyglądała na ulicę; bojąc się wyjść z domów.

W dużym murowanym domu, przy wejściu do miasta od strony dworca kolejowego, mieściło się dowództwo bohaterskiego Generała Iwaszkiewicza, gdzie trwała gorączkowa praca przygotawcza, do mającej rozpocząć się ofensywy. Tam też zameldował się kapitan Bogaczewicz i otrzymał rozkaz obsadzenia pozycji pod Sądową Wisznią, tak, że jeszcze tego samego dnia kompanje wyruszyły na pozycje czołowe, gdzie utrzymując bliski kontakt z nieprzyjacielem, prowadziły bezustannie obserwację i wywiad, starając się jak najlepiej rozpoznać przeciwnika. Obustronna strzelanina karabinowa, przerywająca ciszę dnia i nocy, dawała znać o czujności oddziałów, które starały się utrzymywać swego przeciwnika w ciągłym napięciu nerwów i czujności, co jest oznaką nieobeznanych oddziałów z pobytem na froncie, poczem następuje na odcinkach cisza i spokój, przerywane gwałtownymi strzałami, po ujawnieniu zbliżającego się lub nacierającego nieprzyjaciela. Tak stojąc na pozycji pod Sądową Wisznią, w ciągłej gotowości bojowej i czujności, patrolując i obserwując przedpole, bataljon dotrwał do dnia 23 marca 1919 roku, czyli dnia, w którym rozpoczęła się ofensywa.

Zanim przystąpię do opisu przebiegu ofensywy, chcę nadmienić słów parę o wyszkoleniu i przygotowaniu bataljonu do tych krwawych zmagañ, jakie go w ofensywie oczekiwały, w której niejednokrotnie załamują się karne i dzielne oddziały, dobrze wyszkolone, prowadzone przez nieustraszonych i doświadczonych dowódców, nie mówiąc o bataljonie sformowanym na prędkę z żołnierzy i oficerów pochodzących z różnych pułków, gdzie bardzo często dowódca nie znał bliżej swych żołnierzy i naodwrot żołnierze nie znali swych dowódców. Otóż bataljon kapitana Bogaczewicza, jak już wspominałem, był przygotowany zbyt pośpiesznie na ofensywę, gdzie był potrzebny, tak, że przeddzień wyjazdu na front, żołnierze byli poprzysyłani z różnych pułków, t. j. z 25-go z Kielc, 26-go z Nowo-Radomska i z 27-go z Częstochowy, kompanja karabinów maszynowych z 24-go pułku z Radomia. Pominąwszy ten fakt, że żołnierze w tym dniu

po raz pierwszy widzieli swych dowódców, mających ich za dni parę poprowadzić na ciężkie boje, które narzuca ofensywa, to jednak gorszy był fakt, że żołnierze nie byli należycie wyszkoleni, a nawet obeznani z bronią, w którą zostali zaopatrzeni przed wyjazdem na front, tak, że jadąc w pociągu, dowódcy kompanij i podoficerowie przerabiali z żołnierzami ładowanie broni i strzelanie, gdyż duża część żołnierzy i tego należycie nie umiała, ze względu na to, że przed wyjazdem na front bataljon został uzbrojony w karabiny jednolite, austriackie Manlichery i karabiny maszynowe Schwarzlosse, z uwagi na zaopatrzenie w amunicję. I ten bataljon, zebrany z różnych pułków, przy olbrzymim braku wyszkolenia, szedł i zwyciężał, bo mu przyświecały bohaterskie czyny pełnych poświęcenia, doświadczonych oficerów i podoficerów, którzy z tym bataljonem na front wyjechali.

ROZDZIAŁ II.

Pierwszy bój.

Ofensywa na Jaworów i Wiszenkę Wielką.

23 marca 1919 roku, przed świtem, czyniono ostatnie przygotowania do rozpoczęcia ofensywy. Dowódcy kompani ze swymi oficerami i podoficerami przeglądali broń i amunicję, oraz stan swych kompani, zaznajamiając żołnierzy z mającą rozpocząć się za chwilę ofensywą i pouczając ich o zadaniach, jakie w niej mają przyspać bataljonowi i poszczególnym jego kompanjom. Zachęcając żołnierzy do boju, dawali im cenne wskazówki, które miały przynieść zwycięstwo, bez dużych strat. W ciszy i skupieniu, słuchali żołnierze rad swych dowódców, myśląc o zwycięstwie, które za chwilę mieli odnieść. Po zapoznaniu żołnierzy z zadaniem bojowym, kompanje wyruszyły, cicho i niepostrzeżenie, i zajęły podstawę wyjściową do ataku, na skraju lasu, pod Bortjatynem, nawprost wsi Szumlau i Ożomla, w oddaleniu około półtora kilometra od wspomnianych wsi, gdzie oczekiwały rozkazu do rozpoczęcia akcji.

O godzinie 7-mej rano nadszedł rozkaz i tyraljery ruszyły naprzód, kierując się szybkim krokiem w stronę okopów hajdamackich, z których ukryty nieprzyjaciel zionął ogniem karabinowym i karabinów maszynowych. Padli na ziemię pierwsi zabici i ranni, znacząc dziewiczą biel śniegu własną krwią, która rozlana po śniegu, zaznaczyła się przejrzystością, jak porozrzucane czerwone maki na błoniu, wśród białego kwiecia, lecz to nie powstrzymało bataljonu, który kroczył nadal zwycięsko. Po dojściu do okopów nieprzyjacielskich na odległość dwustu kroków, wskutek silnego ognia nieprzyjacielskiego, zapadły tyraljery na ziemię i rozpoczęła się obustronna strzelanina, wspierana silnie ogniem karabinów maszynowych, z lewego skrzydła bataljonu, które nie milknąc nawet na chwilę, ostrzeliwały okopy nieprzyjacielskie. Strzelanina stawała się coraz silniejsza i coraz więcej padało zabitych i rannych, na placu boju, których z narażeniem życia troskliwie opatrywali sanitariusze, unosząc ich z placu



*Były adjutant bataljonu podporucznik Wadas,
w mundurze kapitana W. P.*

boju, pod silnym ogniem nieprzyjaciela. Kapitan Bogaczewicz wydał rozkaz do szturmu, lecz tyraljery leżały. Niewykskolony żołnierz nie słyszał rozkazu i trwał nadal na miejscu, które gdzieś w bruździe, lub za małym nasypem ziemi, wydawało mu się zbawiennem, w tem piekle ognia, gdzie kule karabinowe, jak stada os złośliwych, lub gromady złych duchów, krążyły ze świstem nad głowami walczących, grożąc w każdej chwili żołnierzowi śmiercią, lub kalectwem, gdyby ośmielił się podnieść głowę wyżej, ze swego ukrytego stanowiska. W tej przykrej i ciężkiej dla bataljonu chwili, adjutant bataljonu, podpo-

2* W zwycięskim pochodzie.

rucznik Wadas Bronisław, słysząc rozkaz dowódcy bataljonu, poderwał się sam jeden z ziemi i przez odkryte pole podbiegł do prawoskrzydłowej kompanji, aby poderwać ją do szturm, gdyż miała najlepsze warunki terenowe, do uderzenia na okopy i wieś. Podporucznik Wadas biegnąc, nie zatrzymał się ani na chwilę, pomimo, że od silnego ognia nieprzyjacielskiego bezustannie śnieg tryskał mu pod nogami i kule wyrzucały z pod śniegu ciemne grudy zmarzniętej ziemi, grożąc w każdej chwili śmiercią. Prawdziwy i obowiązkowy, pełen poświęcenia żołnierz śmierci się nie boi i zawsze zaszczytnie spełni swój obowiązek, tak też i podporucznik Wadas, podbiegł do kompanji i poderwał ją do szturm, która z okrzykiem „hurra“ rzuciła się do walki na bagnety. Za wspomnianą kompanją poderwał się do szturm cały bataljon i pędził z najeżonym bagnetem na okopy nieprzyjacielskie, jak potężna fala, niczem niewstrzymana. Nie słysząc było w tym zgłętku bitewnym rozkazów i nawoływań dowódców, ani jęku rannych, prócz potężnego okrzyku zwycięstwa, przerywanego trzaskiem strzałów karabinowych, terkotem karabinów maszynowych i potężnym hukiem granatów ręcznych.

Wróg nie wytrzymał zdecydowanego uderzenia na bagnety i pierchnął w nieładzie, ścigany ogniem i szybkim posuwaniem się bataljonu, który w tym pierwszym zwycięskim boju pragnął ścigać nieprzyjaciela aż do całkowitego zwycięstwa. Nie pomagały nawoływania dowódców kompanji do zatrzymania się i uporządkowania oddziałów, na zdobytej pozycji. Zagrzani zwycięstwem żołnierze parli wciąż naprzód, aż ich dowódcy dopędzili konno i zatrzymali hen — na odległym poza wsią o dwa kilometry wzgórzu, skąd ostrzeliwali ostatnich rozbitków nieprzyjacielskich, dobiegających do oddalonego lasu, w którym kryli się bezpiecznie, przed ogniem pościgowym zwycięzców.

Po skończonym boju, bataljon został sprowadzony i zakwaterowany w zdobytych wsiach, gdzie miał odpoczywać do następnego dnia i przygotować się do dalszej akcji na Jaworów, która miała rozpocząć się nazajutrz zrana. Po obsadzeniu wsi placówkami i wyznaczeniu poszczególnym kompanjom pozycji głównego oporu, na wypadek napadu nieprzyjacielskiego, do wsi Szumla przybył ze swoim sztabem pułkownik Becker. Tu na odprawie, wydał zarządzenia, dotyczące dalszej akcji w dniu następnym, w myśl których to wskazówek całe popołudnie dnia tego upłynęło na uzupełnianiu amunicji i przygotowaniach do dalszej akcji.

ROZDZIAŁ III.

Dalsza ofensywa na Jaworów, Wiszenkę Wielką.

Dnia 24 marca, po wydaniu dość wczesnie obfitego śniadania, bataljon ściągnął z pozycji kompanje, oraz karabiny maszynowe, i o godzinie 7 mej rano wyruszył marszem ubezpieczonym ze wsi Ożomla na Jaworów, nie mając narazie kontaktu z nieprzyjacielem. Poranek w tym dniu był pogodny i uroczy. Zdawało się, że okolica ta jest szczęśliwa, cicha i spokojna i że niema tu wojny. Nawet wiatr nie poruszył najmniejszą gałązką w lesie, ani też ptak nie odezwał się świergotem swoim, jakby obawiał się zakłócić cisze uroczego poranka, gdy w tym czasie ciszę dnia, przerwała nagle raptowna i silna strzelanina karabinowa. To sąsiedni bataljon maszerujący w prawo, natknął się na nieprzyjaciela i po krótkiej, lecz gwałtownej walce odrzucił go w kierunku na Murowankę i Jaworów, posuwając się za nim dalej, do wyznaczonego celu, którym w tym dniu był Jaworów. Po przejściu Murowanki, bataljon kapitana Bogaczewicza zatrzymał się na skraju lasu przed Jaworowem, szykując się do akcji na Jaworów, obserwując z odległości czterech kilometrów miasto i teren, przez który miał Jaworów zdobywać. Żołnierze patrzyli z daleka na piękną wieżę kościoła i na duże murowane domy miasta, szykując się do boju. W czasie natarcia na Jaworów, do ważniejszej bitwy nie doszło, gdyż hajdamacy opuścili miasto pośpiesznie, wycofując się w kierunku na Wereszycę, obawiając się oskrzydlenia oddziałów swych w Jaworowie, przez oddziały polskie, które nacierały na Jaworów w lewo od bataljonu kapitana Bogaczewicza, oraz całej grupy pułkownika Beckera.

Posuwając się pośpiesznie za cofającym się nieprzyjacielem, tyraljery bataljonu kapitana Bogaczewicza weszły na przedmieście Jaworowa. Tuż za tyraljerą bataljonu posuwała się kompanja lotna żandarmerji, grupy rotmistrza Wołkowickiego, która starała się jak najprędzej dostać do miasta, by powyłapywać ukrytych prowodyrów, zanim się pochowają, jak również, by wspomóc oddziałom wojskowym, gdy tego zajdzie potrzeba. W czo-

łowej tyraljerze oddziału żandarmerji posuwał się bardzo sympatyczny i miły oficer, podporucznik żandarmerji Czajkowski, pochodzący z Dunajowa, koło Przemyślan. Wspomniany oficer nie pozostawał w tyle, pragnąc jak najprędzej być w mieście, by zrobić w niem porządek i wyłapać tych, którzy w tym staropolskim grodzie, pełnym pamiątek po wielkim królu polskim, Janie Sobieskim, gnębili ludność polską, znęcając się nad nią bezlitośnie.

Wróg już wycofał się w pośpiechu i cisza panowała dokoła, przerywana trzaskiem zamykanych drzwi i okien, przez wystraszonych mieszkańców Jaworowa, lub może przez tych, którzy mieli nieczyste sumienia. Miasto zostało zdobyte, a wróg znajdował się daleko, w pośpiesznym odwrocie. Jeden tylko strzał przerwał ciszę, i ten ugodził prosto w serce podporucznika żandarmerji Czajkowskiego, kładąc go trupem na miejscu. Nie wie człowiek na wojnie dnia ani godziny zakończenia swego żywota. Jak już wspominałem, tuż za linią bojową bataljonu kapitana Bogaczewicza, posuwał się oddział lotny żandarmerji. Dowódca plutonu tego oddziału, podporucznik Czajkowski, bardzo miły i serdeczny człowiek, cieszył się i radował zdobyciem miasta. Idąc obok mnie, rozmawiał z uśmiechem i zadowoleniem o planach swej pracy, nie przeczuwając, że śmierć idzie wśląd za nim, wyciągając doń jak po zdobycz, swe zachłanne szpony, bo oto drzwi jednego z domów nagle otworzyły się i padł z odległości trzech kroków strzał karabinowy, godząc prosto w serce podporucznika Czajkowskiego, który padł trupem na miejscu. Chwyciłem za rewolwer i dopadłem do domu, z którego padł strzał. Drzwi domu były zamknięte na zasuwkę. Za jednym kopnięciem drzwi otworzyły się naoścież. Wbiegłem do sieni z rewolwerem w rękę, gotów do zabicia każdego, ktoby się ośmielił jakikolwiek opór stawić. W sieni, za drzwiami, stał chłop, czy też żołnierz — trudno było ustalić, gdyż był z gołą głową, ubrany w białe zgrzebne spodnie i taką samą koszulę, bez munduru. Możliwe, że zrzucił go, chcąc ukryć się pośpiesznie. Stał potulny, trzęsąc się ze strachu i trzymał w rękę dymiący się karabin, po niedawnym strzale, czekając z rezygnacją zasłużonej kary. Dopadli go żandarmi i po odebraniu broni wywlekli na ulicę, gdzie przy trupie swego dowódcy dopuścili się samosądu, bijąc chłopca po głowie i żebrach potężnym kijem i kolbami karabinów. Chłop stał i nie bronił się. Może był nieprzytomny ze strachu lub bólu, a może z rezygnacją oczekiwał zasłużonej kary. Z głowy i twarzy krew sączyła mu się obficie. Na ten widok dopadłem i odpędziłem żandarmów nie panujących

nad sobą, po utracie ukochanego przez siebie dowódcy. Pobity dotkliwie, chłop ukląkł, czy też usiadł obok zabitego przez siebie podporucznika Czajkowskiego i trzymając się za głowę, wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w ofiarę swego mordu, za co tak srodze odpokutował. Poleciłem żandarmom odprowadzić chłopą do dowództwa i popatrzwszy chwilę na leżącego z uśmiechem na ziemi podporucznika Czajkowskiego, jakby patrzącego przez otwarte lekko po śmierci oczy pobłaźliwie na zbitego draba, który w tak zdraziecki sposób odebrał mu życie, skierowałem się w stronę rynku, by dopędzić oddalający się bataljon, lecz zanim uszedłem parę kroków, zastąpił mi drogę sędziwy staruszek, który kłaniając się i ocierając łzy, mówił głosem rozpacz i bólu, wielkiego patrioty Polaka.

— „Panie oficerze! Tutaj w tym domu mieszkają dwie więdźmy, które w styczniu bieżącego roku zarębały siekierami dwóch waszych żołnierzy z Legji Akademickiej, prowadzonych przez kozaków do niewoli. Nawet tacy zatwardziałcy jak kozacy, bronili tych nieszczęśliwych, nie dając przystępu motłochowi do jeńców, lecz te dwie baby odepchnęły eskortę i siekierami zarębały obydwóch. Jednego z nich, jeszcze ledwo żywego, zabrali do szpitala i nie wiem, co się z nim stało, a ten drugi, to biedaczysko długi czas leżał po śmierci z rozciętą głową na ulicy, zanim go sprzątnęli i pochowali”. Rozkazałem żołnierzom natychmiast aresztować obie zwyrodniałe więdźmy. Nie protestowały i nie zapierały się swojej wielkiej winy. Przyznały się do popełnionej zbrodni, nie mając nic na swe usprawiedliwienie. Patrol odprowadził obie do aresztu, gdzie zostały osadzone. Dalszy los chłopą, który zabił podporucznika żandarmerji Czajkowskiego, jak również tych zwyrodniałych bab nie był mi wiadomy, gdyż musiałem śpieszyć za bataljonem, by zająć się zakwaterowaniem swych żołnierzy i innemi sprawami przygotowanymi do dalszej akcji, za dwa dni bowiem bataljon miał kontynuować dalszą akcję przez Szkło, Starzyska, Wereszycę, na Wiszenkę Wielką. Dowiedziałem się tylko, że na przedmieściu Jaworowa „Wielkie”, gdzie chłop strzelił do podporucznika Czajkowskiego, oraz gdzie baby zarębały jeńców z Legji Akademickiej, Król Jan Sobieski osiedlił jako jeńców, czy też jako ludzi, którzy pomagali mu w łowach, jakieś dzikie plemię, których potomkowie do dnia dzisiejszego zachowali skośny wyraz oczu i cechy całej twarzy mongolskiej, a może nawet dużą domieszkę krwi azjatyckiej, co możliwe że popychało tych ludzi do ich niecných, kwiożerczych czynów.

Po zdobyciu i ubezpieczeniu miasta, wolni od służby żoł-

nierze odpoczywali w wygodnych kwaterach, przed akcją na Wiszenkę Wielką. Dla siebie wybrałem kwaterę na plebanji u popa rusińskiego, który jako wielki polakożerca, wraz z synem, oficerem wojsk hajdamackich, wyjechał z armją pozostawiając żonę i trzy córki w Jaworowie. Zająłem kwaterę na plebanji u rodziny popa nie dlatego, aby mieć towarzystwo damskie w pobliżu, bo od tego na wojnie zawsze stroniłem, jak od niebezpiecznego zła, wiedząc, że najwięcej piękne kobiety na froncie były używane do służby wywiadowczej przez nieprzyjaciela, i każde nieopatrnie wypowiedziane słowo w ich towarzystwie, mogłoby zaszkodzić naszej akcji na froncie, lecz rozkazałem sobie przygotować tę kwaterę jedynie dlatego, że w mieście i wśród żołnierzy słyszałem dużo opowiadań o szkodliwym i wrogiem postępowaniu popa rusińskiego w stosunku do ludności polskiej, w czasie pobytu w Jaworowie hajdamaków, tak, że widząc strapione i przerażone miny pozostawionych przez popa niewiast, postanowiłem sobie wziąć je w obronę, by nie były narażone na szykany i inne przykrości ze strony żołnierzy i ludności cywilnej, która korzystając z chwili, mogłaby odpłacić rodzinie popa pięknem za nadobne, to jest dać jej „szkołę”, za niedawne czyny i prześladowania.

Następny dzień, 25 marca, spędzili żołnierze na odpoczynku i zwiedzaniu miasta, jak również byli w kościele na nabożeństwie. Powracając do domu ujrzałem kondukt pogrzebowy. To prawdopodobnie odprowadzał oddział żandarmerji ś. p. podporucznika Czajkowskiego na dworzec kolejowy, gdyż jak się później dowiedziałem, ciało ś. p. podporucznika Czajkowskiego zostało przewiezione do Jarosławia i pochowane na cmentarzu wojskowym.

26 marca, nad ranem, kapitan Bogaczewicz wysłał silne patrole w kierunku Szklą, które powróciły, nie spotkawszy nieprzyjaciela. O godzinie 7-mej zrana tegoż dnia, bataljon wyruszył z artylerją i marszem ubezpieczonym posuwał się w kierunku na Wiszenkę Wielką, przez Szklą, Starzyska i Wereszycę. W Wiszence Wielkiej spodziewane były większe siły nieprzyjaciela, gdyż była to wieś, ciągnąca się na przeszło siedmiokilometrowej przestrzeni, dokąd ścigały liczne oddziały wojsk hajdamackich, wypierane przez oddziały polskie, w czasie ofensywy.

Po dojściu do Szklą, drogę bataljonowi zastąpił miejscowy ksiądz proboszcz Modest Hornicki i prosił, aby nie omijać jego progów. To też kapitan Bogaczewicz zarządził w Szkle dłuższy odpoczynek, podczas którego żołnierze mieli wydany obiad, a cały

korpus oficerski wstąpił na plebanję, pod gościnny staropolski dach wielebnego proboszcza, który nie szczędził trudu i wydatków, aby powitać i przyjąć, jak się wyraził „Polskich Rycerzy”. Wśród wspaniałych potraw, zakrapianych czystą i kolorowemi, najwspanialszą potrawą był szczupak w majonezie, którego pocziwy proboszcz, od trzech dni gotowego, trzymał w ukryciu, obawiając się, by mu go cofające się wygłodniałe oddziały hajdamackie nie odnalazły i nie pożarły, gdyż największem pragnieniem patriotycznego proboszcza było przygotowanie się na przyjęcie Wojska Polskiego, to też czynił przygotowania, widząc cofające się wojska hajdamackie. Przygotowania te wzmogły się, gdy proboszcz dowiedział się o zajęciu odległego o 7 kilometrów Jaworowa przez oddziały polskie, jak również, gdy w tym dniu nad ranem ujrzał osobiście patrole polskie u siebie na plebanji. W miłym nastroju spędzono tych niezapomnianych parę chwil w domu czcigodnego proboszcza, i bataljon wyruszył w dalszą drogę, żegnany szczeremi życzeniami i znakiem krzyża świętego, przez zacnego gospodarza, który żegnając maszerujących żołnierzy słowami: „Idźcie na zwycięstwo, wy prawdziwi i niezachwiani Rycerze Polscy”, długo patrzył za odchodzącą kolumną bataljonu.

Pomimo że z rana pogoda zapowiadała się bardzo pięknie, to jednak o godzinie drugiej po południu zaczął padać śnieg i coraz silniejszy wiatr utrudniał marsz żołnierzom, zasypując oczy. Pod wieczór wiatr nabrał większej mocy i zamienił się w istny huragan, tnąc w oczy maszerujących żołnierzy z taką siłą, że zmarzniętymi grudkami lodu kaleczył im policzki do krwi. Żołnierze szli zmęczeni, zakrywając sobie twarze rękawami od płaszczy, znosili bez szemrania te dolegliwości. Po przejściu Starzysk i dojściu do Wereszycy, żołnierze byli przemoknięci i wyczerpani. Zapadał szybko zmrok, a szalejąca śnieżycą z gradem zamieniła się w istne piekło na ziemi. Silny wichur był ponuro, jak całe stado złych duchów, tnąc niemiłosiernie i bezustannie w oczy. Kapitan Bogaczewicz, chcąc przeczekać złą pogodę, zarządził w Wereszycy odpoczynek i po ubezpieczeniu się od strony Wiszenki Wielkiej, schronił żołnierzy do mieszkań w wiosce. Zmęczeni i przemoknięci żołnierze, w tym dniu nie chcieli pobierać kolacji, byleby po nią nie wychodzić z zacisznego mieszkania, na tę zawieję śnieżną, na którąby nawet psa kijem wypędzić nie można było, tak, że dowódcy kompanji wydawali rozkazy i żołnierze posłuszni rozkazowi, wybiegali z mezażkami po strawę, powracając biegiem za chwilę, zasypani śniegiem i gnani potężnym wichrem, z trzaskiem zamykającym

za nimi drzwi skromnych chatek, które im udzieliły schronienia, wśród tej niezwyklej zamięci.

Kapitan Bogaczewicz, jako doświadczony dowódca, nie miał zbyt chęci maszerować do Wiszenki Wielkiej, w tak niekorzystnych dla siebie warunkach atmosferycznych, wiedząc, że tam napotka większe siły nieprzyjacielskie, do zwalczania których musi mieć żołnierza wypoczętego, to też wysłał adjutanta do dowódcy grupy operacyjnej, pułkownika Beckera, z meldunkiem, by mu pozwolił przeczekać w Wereszycy do rana, w którym to czasie spodziewał się poprawienia pogody, co by mu mocno ułatwiło akcję na Wiszenkę Wielką, po uprzednim wyjaśnieniu sytuacji przy pomocy patroli, lecz sytuacja widocznie wymagała pośpiechu, gdyż adjutant powrócił i przywiózł rozkaz, nakazujący natychmiastową akcję i zdobycie Wiszenki Wielkiej. Kapitan Bogaczewicz wydał rozkaz do natychmiastowego marszu. Oficerowie i żołnierze wybiegli na drogę z zacisznych chat, porwani huraganem zawiei śnieżnej, która syjąc im w oczy grudki lodu, nie pozwalała patrzeć przed siebie. Ciemności panujące dokoła i tumany śniegu utrudniały obserwację, nawet na najbliższe odległości. Wicher targał konarami drzew i z wyciem, oraz chichotem biegł dalej, jakby szydził z tej garstki ludzi niezłomnych, którzy oderwani od swej grupy operacyjnej, wśród tej zamięci, idą po nocy na niepewne jutro, aby zwyciężyć lub zginąć, wiedząc, że w Wiszence Wielkiej są zgrupowane większe siły nieprzyjacielskie, z którymi do ważniejszej rozprawy wkrótce dojść musi.

W straży przedniej bataljonu maszerowała 3 kompania podporucznika Łukasińskiego Konrada, niaustrzonego i dzielnego oficera, z dawniejszych czasów znanego w P. O. W. jako jeden z działaczy, z którymi okupanci mieli najwięcej kłopotu. Obawiając się, by nie zabłądzić wśród tej ciemnej nocy, podporucznik Łukasiński zabrał z Wereszycy chłopą, jako przewodnika, któremu kazał prowadzić się najkrótszą i najlepszą, drogą do Wiszenki Wielkiej, ostrzegając go, że w razie ucieczki, zdrady lub wskazania złej drogi, wpakuje mu kulę w łeb. Wobec tak przekonywujących argumentów chłop szedł posłusznie naprzód ze szperaczami czołowymi szpicy, obserwując dobrze drogę w lesie na zakrętach, by nie zbłądzić przypadkowo. Ośmiokilometrową drogę do Wiszenki Wielkiej bataljon przebył w niespełna dwie godziny i szpica bataljonu znalazła się przy pierwszych zabudowaniach wsi. Pomimo, że chłodno i głodno i do domu daleko, a wicher bezustannie ciął w oczy i wróg czyhał zdradliwy, żołnierze nie tracili fantazji i idąc, dowcipkowali między,

sobą, wyśmiewając mniej odpornych na zimno, aż ich dowódcy przywoływali do uspokojenia się, gdyż regulamin i doświadczenia nakazują na wojnie, w działaniach nocnych w pobliżu nieprzyjaciela, ciszę i spokój. Po zbliżeniu się szpicy do zabudowań Wiszenki Wielkiej, stojąca przy drodze czujka nieprzyjacielska oddała strzał i uczyniła to, co uważała za stosowne, wycofała się do swej placówki za rzekę, gdzie mieściły się oddziały nieprzyjacielskie. Wicher w tym czasie był tak silny, że oddanego przez nieprzyjacielskiego żołnierza strzału, którego huk mieszał się z wyciem wichru i szumem drzew, nie tylko nie słyszała straż przednia, lecz nikt z bataljonu. To też nie przeczuwając, że bataljon jest oddalony zaledwie o trzysta kroków od sił nieprzyjacielskich, kapitan Bogaczewicz zarządził rozmieszczenie bataljonu w domach, ubezpieczając się jedynie placówką w sile jednego plutonu przy moście, na rzeczce. Obawiając się jednak zaskoczenia ze strony nieprzyjaciela w nieznannej okolicy, kapitan Bogaczewicz nie dał żołnierzom wygodnych kwater we wsi, nie chcąc rozmieszczać bataljonu w rozległej wsi, lecz umieścił go w czterech domkach i stodołach, stojących w oddaleniu 500 kroków od Wiszenki Wielkiej, i to go uratowało.

Przemoknięci i zmęczeni żołnierze padli pokotem na podłogę i zasnęli snem kamiennym. O godzinie drugiej w nocy adjutant bataljonu wyszedł na podwórko, by sprawdzić, czy przemęczeni żołnierze dobrze czuwają na posterunkach alarmowych, gdy podjechał do niego jakiś jeździec na koniu. Nie przeczuwając, by to mógł być jeździec nieprzyjacielski, podporucznik Wadas podszedł do niego i zapytał:

— „Co cię tu, chłopie, gna po nocy, że się włóczysz i ludziom spać nie dajesz?”

Na te słowa jeździec zeskoczył z konia i podnosząc ręce do góry, błagał o darowanie życia, tłumacząc się, że on tylko przyjechał poszukać trochę siana dla głodnego swego konia. Od owego zabłąkanego jeńca dowiedział się kapitan Bogaczewicz, że większe siły nieprzyjacielskie stoją tuż za rzeką, naskutek czego nakazał wzmocnienie placówek i zwiększenie czujności, oraz zarządził ostre pogotowie odpoczywających kompanij.

ROZDZIAŁ IV.

Bój pod Wiszenką Wielką.

Dnia 27 marca, o godzinie 5-tej rano, z pierwszym braskiem dnia, placówki silnym ogniem zaalarmowały bataljon, zwiastując natarcie nieprzyjacielskie, które jak się okazało hajdamacy prowadzili przeważającymi siłami, starając się sforsować most i przejść za rzekę. Nieliczne placówki, broniąc dzielnie i zdecydowanie przystępu nieprzyjacielowi do mostu, strzelały bez przerwy, zadając straty jego nacierającym oddziałom. Dowódcy kompanij, słysząc wciąż wzrastającą strzelaninę, nie czekając na rozkazy, zaalarmowali swoje kompanje, których żołnierze wybiegali z chat na podwórka, z karabinami w ręku, zakładali pośpiesznie rynsztunek i przyjmowali samorzutnie szyk tyraljery, skierowany w stronę odgłosu strzałów. Nadbiegł kapitan Bogaczewicz i oceniając ciężką sytuację swego bataljonu rozkazał kompanjom zająć niezwłocznie długie, ciągnące się przeszło na dwa kilometry, wysokie wzgórze, oddzielające bataljon od nieprzyjaciela. Były wprowadzić na wspomnianem wzgórzu placówki bataljonu, te jednak mogły być wkrótce wyparte przez nieprzyjaciela, a skoro nieprzyjaciel zająłby wspomniane wzgórze, miałby możliwość ogniem karabinów maszynowych zniszczyć lub zdziiesiątkować bataljon, gdyż od dominującego wzgórza w kierunku zachodnim t. j. Wereszycy, ciągnęła się gładka jak stół, przeszło trzy kilometrowa równina, która nie mając osłon, nie dawałaby bataljonowi schronienia i ukrycia, pod morderczym ogniem nieprzyjaciela, co ułatwiłoby nieprzyjacielowi zdziiesiątkowanie, a może nawet całkowite rozbitcie bataljonu. Po otrzymaniu rozkazu kompanje ruszyły na wzgórze niezwłocznie. Sześćsetmetrową przestrzeń przebyły prawie że biegiem, zajmując i obsadzając wzgórze. Ten pośpiech nakazany przez dowódcę bataljonu i wykonany skrupulatnie przez dowódców kompanij, uratował w tym dniu ciężką sytuację bataljonu, gdyż dwie kompanje po dojściu do wzgórza, uderzeniem na bagnety odrzuciły oddziały nieprzyjacielskie, które wdarły się na wzgórze wcześniej.

Zawrzał całodzienny bój bez przerwy, zakończony o godzinie 16-tej min. 45 zwycięskim kontratakiem bataljonu kapitana Bogaczewicza. Nieprzyjaciel w ciągu dnia przechodził sześć razy do ataków, które zostały każdorazowo krwawo odparte. Strzelanina obustronna wzmagala się coraz bardziej. Wozy amunicyjne i sanitarne kursowały bez przerwy, dowożąc amunicję i odwożąc rannych z placu boju. Lekarz bataljonu, porucznik lekarz Skalski Tadeusz, przez cały dzień miał nadmiar pracy, opatrując bez przerwy rannych, których sanitariusze prowadzili i znosili na noszach, znacząc smugami krwi dróżki na śniegu, od linii bojowej do punktu opatrunkowego bataljonu, te zaś na jaśniejącym od słońca śniegu widniały, jak porozrzucane maki polne, w tej uroczej górskiej okolicy. O godzinie 11-tej kapitan Bogaczewicz wysłał meldunek do dowódcy grupy, pułkownika Beckera, o ciężkiej sytuacji bataljonu w walce z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, naskutek czego bataljon otrzymał do pomocy 1 kompanię 21-go pułku piechoty z baterją artylerji polowej. Nieprzyjaciel nadal ponawiał ataki zaciekle. Po przybyciu pomocy, kapitan Bogaczewicz rozkazał kompanji 21 pułku obsadzić wzgórze po środku swego bataljonu. Z godnem uznania poświęceniem dowódca tej kompanji, podporucznik Lehr, wyruszył do boju, lecz nie pozwolił mu los oglądać zwycięstwa bohaterskich jego żołnierzy, bo w niespełna pół godziny od chwili wyruszenia do boju, otrzymał kulę karabinową prosto w serce, kończąc swój bohaterski żywot, po przebytych bojach pod Lwowem i w Pierwszej Brygadzie Legionów, gdzie przebywał od początku i brał szczęśliwie udział w walkach Legionów, w czasie wojny światowej.

Po śmierci podporucznika Lehra, dowództwo nad kompanją 21 pułku objął oficer tejże kompanji, podporucznik Sadowski, który dzielnie dowodził nią do końca boju, tracąc 6-ciu podoficerów i około 20 szeregowców.

Podczas tego boju najwięcej zaciekle walki toczyły się na prawem skrzydle bataljonu, na odcinku 3 kompanji, gdzie podporucznik Łukasiński w tym dniu odparł dwa ataki na bagnety. Szczególnie w tym boju odznaczył się s. p. kapral Dyktarowski Jan, syn ubogiego wieśniaka z pod Radomia, który został zakłuty bagnetami przez hajdamaków, podczas strzelania z karabinu maszynowego, strzelając do ostatniego tchu swego życia, czem zadał nieprzyjacielowi duże straty.

Zbliżał się wieczór, a bój miast ustawać, wzmagał się coraz bardziej. Widocznie nieprzyjaciel otrzymał świeże posiłki, które wprowadzał do boju, z zadaniem bezwzględного wyparcia batal-

jonu, z zajmowanej pozycji. Kapitan Bogaczewicz wiedział, że jedynie wystąpienie zaczepne z jego strony może uratować ciężką jego sytuację, gdyż jeżeli nawet atak jego na nieprzyjaciela nie powiedzie się, to jednak da poznać nieprzyjacielowi, że nie jest tak słaby, skoro pod wieczór ośmiela się występować zaczepnie, po całodziennym bez przerwy boju. Bez chwili namysłu kapitan Bogaczewicz wprowadził swój plan w czyn, wysyłając do kapitana Wieczorkiewicza, stojącego z bataljonem we wsi Wiszence Małej, pismo przez gońca, aby bataljon jego o godzinie 16-tej wspólnie uderzył na nieprzyjaciela, z bataljonem kapitana Bogaczewicza. Nadeszła przychylna odpowiedź i akcja zaczepna była postanowiona. Bataljon kapitana Wieczorkiewicza wyszedł z Wiszenki Małej i kierując się na północny zachód, obszedł niepostrzeżenie pod osłoną lasów prawe skrzydło nieprzyjacielskie, uderzając od tyłu na nieprzyjaciela, walczącego od rana z bataljonem kapitana Bogaczewicza. Na tyłach nieprzyjaciela zagrała piekielna muzyka karabinów maszynowych i granatów ręcznych. Zdawało się, że gromy wałę w las i nieprzyjaciela. Naskutek boju bataljonu kapitana Wieczorkiewicza z nieprzyjacielem, nadbiegł adjutant bataljonu, podporucznik Wadas, i ruszył do szturm lewe skrzydło bataljonu. Nieprzyjaciel rzucił się do ucieczki, pozostawiając na placu boju zabitych, rannych i jeńców. Po chwili zaczęły wyłaniać się z lasu zwycięskie tyraljery bataljonu kapitana Wieczorkiewicza, prowadząc jeńców, a wróg w tym czasie cofał się w pośpiechu, tak, że wysłane za nim patrole bojowe powróciły i zameldowały, że kontaktu z nieprzyjacielem nie mogły utrzymać, wskutek szybkiego oderwania się i ucieczki wroga. Bataljon kapitana Wieczorkiewicza, który w tej walce tak znacznie dopomógł kapitanowi Bogaczewiczowi, był z 14, czy też z 16 pułku, ziemi Jarosławskiej, bliższych szczegółów o kapitanie Wieczorkiewiczu nie posiadam.

Szczęśliwym trafem, bataljon kapitana Bogaczewicza, mając młodych, źle wyszkolonych i niedoświadczonych, przebywających od tygodnia na froncie żołnierzy, wytrwał cały dzień w tym ciężkim boju, zawdzięczając wielkiemu doświadczeniu i poświęceniu oficerów, którzy z zaparciem się siebie, za cenę życia w tym boju wytrwać postanowili. O napięciu siły ogniowej w tym dniu najlepiej będzie świadczyć fakt, że 4 karabiny maszynowe Schwarzslosse bataljonu wystrzeliły w boju 60.000 amunicji, nie licząc ognia karabinów ręcznych, które w ciągu całego dnia ziały bezustannie ogniem na nieprzyjaciela.

ROZDZIAŁ V.

Bój nocny pod Wiszenką Wielką.

Po odniesionem zwycięstwie nad nieprzyjacielem, kompanje zaraz przystąpiły do zorganizowania i obsadzenia zdobytego terenu gdyż wieczór zbliżał się szybko. Po zorganizowaniu pozycji, połowa żołnierzy przebywała na placówkach i na pozycji obronnej, reszta zaś odpoczywała we wsi na kwaterach. Dowództwo bataljonu umieściło się na plebanji w Wiszence Wielkiej, gdzie na ganku leżał dogorywający w agonji żołnierz hajdamacki z przestrzeloną na wylot głową. Leżał nieprzytomny i nie poznawał nikogo, mając oczy przymknięte. Wskutek uszkodzeń wewnętrznych głowy, z ust, nosa, oczu i uszu tego nieszczęśliwca krew sączyła się bez przerwy. Nie było dla niego ratunku, był bezapelacyjnie skazany na śmierć. Lekarz bataljonu, porucznik Skalski nałożył opatrunek rannemu, pozostawiając go na miejscu, by skończył w spokoju, gdyż przy tym stanie nie można było go przewozić do szpitala. Przykro było patrzeć na tę ofiarę obowiązku, której nic pomóc nie było można. Pomimo jednak tego strasznego okaleczenia, nieszczęśliwy hajdamak rzucał się w angonji przeszło cztery godziny, zanim skończył. Widocznie organizm miał silny. W pierwszej chwili, patrząc na jego cierpienia, którym według opinji porucznika lekarza Skalskiego, nic pomóc nie było można, przyszła mi do głowy myśl, by wystrzeliłem z rewolweru położyć kres cierpieniom jego, lecz popatrzywszy na nieszczęsnego, czułem, że łatwiejby mi było rzucić się do boju i zniszczyć stu nieprzyjaciół, niż oddać jeden strzał do nieszczęsnej, dogorywającej ofiary, dla której ten strzał może byłby wyzwoleniem ze strasznych cierpień, jakie odczuwał człowiek z rozstrzaskaną doszczętnie głową. Czy odczuła ten moment ostatnich cierpień rodzina dogorywającego? Czy ze smutkiem matka, brat, siostra lub dziecię nie myślało o jego przykrym losie? A może myśleli o nim i łudzili się nadzieją, że wkrótce powróci, lub da znać listownie, że żyje.

Niepewny jest los żołnierza na wojnie, z którego sobie należycie zdaje sprawę każdy, patrząc często na śmierć i cierpienia konających. Wie on, że dziś ten, jutro drugi, a trochę później i on polegnie. I nieraz możeby się poddał żołnierz na wojnie przykrej depresji moralnej, gdyby nie ta świadomość, która w każdej ciężkiej chwili przypomina patriotycznemu żołnierzowi, że walczy za cele wzniosłe, za Ojczyznę dla której pragnie żyć i umierać, na chwałę i pożytek przyszłym pokoleniom. I te rozmyślenia wlewają w serca żołnierskie taką niewypowiedzianą słodycz, jak balsam odżywczy, że człowiek nie myśli o niczem, jak tylko o dalszej walce i wytrwaniu na froncie, aż do ostatecznego zwycięstwa.

Lecz nie odiegajmy od tematu.

Tegoż dnia noc zapadała szybko i tak ciemna, że na dwa kroki nie można było zauważyć i rozpoznać człowieka. Zginął mróz i zaczęła się odwilż. Ciężkie, czarne chmury przesuwwały się leniwo nad ziemią, jak złe fatum, co nad nią zawisło. Godziny mijały, a cisza niczem nie zamącona trwała nadal bez przerwy. Pomimo tej ciszy, czuć było w powietrzu, że jest to cisza przed burzą. Słuszne były przeczucia żołnierzy.

O godzinie 23-ciej, po wydaniu żołnierzom kolacji z kuchni polowych, kapitan Bogaczewicz wezwał mnie do siebie i wydał mi rozkaz, abym przeszedł się wzdłuż całej linii bojowej bataljonu, sprawdzić czujność żołnierzy, gdyż ma jakieś złe przeczucie. Po otrzymaniu rozkazu, udałem się niezwłocznie na kontrolę, rozpoczynając od prawego skrzydła bataljonu, które było oparte o rzekę. Po dojściu do cmentarza, który znajdował się w połowie odcinka bataljonu, usłyszałem strzelaninę, na następnej placówce w lewo, dokąd pobiegłem natychmiast, pytając o przyczynę strzałów. Dowódca placówki, kapral, zameldował mi, że jacyś ludzie biegali na przedpolu jego placówki i że rozkazał otworzyć ogień, aby ich odpędzić i zaalarmować oddziały o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Były to rzeczywiście patrole nieprzyjacielskie, które po strzałach placówki wycofały się pośpiesznie. Zarządziłem natychmiast wysłanie patrolu na przedpole, w celu sprawdzenia tej wiadomości, wysyłając jednocześnie łącznika z meldunkiem do dowódcy bataljonu, sam natomiast wpatrywałem się bacznie w teren wśród nocy, lecz nic nie zauważyłem, prócz podejrzanych szmerów w pobliskim lasku na przedpolu, który obserwowałem. Były to oddziały nieprzyjacielskie, które korzystając z ciemnej nocy, podeszły skrycie na bliską odległość, znając teren dobrze, gdyż stały tu przedtem od szeregu dni.

Oczekując powrotu patrolu i patrząc w czerń nocy, trwałem w zadumie, którą przerwało mi gwałtowne rozpoczęcie się bitwy. Naraz z okrzykiem „hurra” tysiące karabinów zionęło ogniem, a grom granatów ręcznych, połączony z trzaskiem karabinów ręcznych, stworzył istne piekło na ziemi, wśród tej nocy ciemnej, która stwarzała wciąż nowe niespodzianki dla walczących. Tysiące gromów uderzało w ziemię, a nadmierny trzask karabinów ręcznych i maszynowych, podobny był do świergotu jakichś piekielnych ptaków, szarpiących gałęziami i wierzchołkami drzew pobliskiego lasu, których gałęzie ścinane kulami, spadały bez przerwy pod nogi walczących.

W pierwszej chwili myślałem, że pośród ciemnej nocy, sami swoi postrzelali się wskutek zbytnej czujności, po całodziennym boju, lecz wnet porzuciłem to mniemanie i nabrałem nieomylnego przekonania o faktycznej sytuacji. Ku górze buchnęły snopy światła rakiet, których bataljon w tym dniu nie posiadał, co upewniło mnie, że bataljon został napadnięty przez nieprzyjaciela. Główny bój wypadł na terenie pomiędzy mną a bataljonem, tak, że zostałem odcięty od swoich walczącymi oddziałami nieprzyjaciela. Nie czekając ani chwili, zebrałem placówkę i pobiegłem w stronę boju, oddalonego ode mnie nie więcej, jak dwieście metrów. Przebiegając przez cmentarz, trawiliśmy mogiły, wywracając się o nierówny teren. Od strony boju widniał blask pożaru, gdyż hajdamacy podpalili kilka domów, w celu oświetlenia sobie terenu w czasie walki nocnej.

Od strony walczących zamajaczyły, na tle pożaru jakieś sylwetki. „Czyżby nas zauważyli i pędzą w pościgu, czy też ratując się ucieczką, uchodzić zaczynają z placu boju?”

Zanim zdołaliśmy zorjentować się, nadbiegli. Naprzód leciało dwóch, a za nimi jeszcze paru. Przypadłem z garstką swych żołnierzy do ziemi w zasadzce i czekałem. Gdy nadbiegli pierwsi dwaj, zatrzymałem ich okrzykiem: „Kto?” — nie chcąc przedwcześnie zdradzać się mową polską. Odpowiedzieli mi w języku nieprzyjacielskim: „Sicz”! Bez słowa rozkazu i komendy gruchnęły strzały karabinowe i pierwsi dwaj nieprzyjacielscy cykorjarze padli przeszyci kulami, między mogiły cmentarne. Może przeczuwając śmierć, nerwy ich nie wytrzymały i próbowali ująć z placu boju na tyły własne, ratując się ucieczką, lecz i tutaj dosięgnął ich los przeznaczenia. Po pierwszych strzałach, biegnący z tyłu żołnierze nieprzyjacielscy zboczyli w lewo i wywracając się o mogiły uciekli w pośpiechu, kryjąc się wśród ciemności nocy.

Biegnać dalej w stronę boju, z podchorążymi Reslerem Józefem i Pietrusiewiczem Wacławem, mając przy sobie dziesięciu żołnierzy, dobiegliśmy do końca cmentarza, skąd obserwowaliśmy plac boju. Kule ze świstem i zgrzytem przelatywały obok nas, uderzając w pomniki cmentarne, od których odbijając się, przelatywały dalej z warkotem i zgrzytem, jak oddalone śmigła aeroplanów, lub stada owadów.

Dążąc bez przerwy w stronę boju, dobiegliśmy do skraju lasu, skąd dobrze było widać walczących, lecz co najgorsze, że trudno było odróżnić swoich od nieprzyjaciela, gdyż płomienie pożaru, bardzo raziły wzrok wśród ciemnej nocy. Na pagórku, obok palącego się domu, w którym przed bitwą nocną była zakwaterowana 4 kompanja podporucznika Laskowskiego Stefana, stała gromada żołnierzy, strzelająca z karabinów w różne strony. Byli od nas oddaleni nie więcej jak 60 do 80 kroków. Byłem pewny, że to bronią się osaczeni żołnierze 4-tej kompanji, gdyż blask pożaru utrudniał mi obserwację, jak również niebezpieczna chwila wymagała jak najenergiczniejszego i szybkiego działania, by nie pozostać na tyłach nieprzyjaciela do zakończenia boju, co równałoby się dostaniu się do niewoli, a tego ani ja, ani też żaden z przebywających przy mnie żołnierzy nie życzył sobie, gdyby nawet podczas walki należało poświęcić życie.

Nie wiem! Czy ciągłość walki wpłynęła na mnie, czy też złudzenie bliskości własnych żołnierzy, dość, że nabrawszy nadmiernej pewności siebie i czując się potężnym, jakbym był zwycięzcą tego nocnego boju, odrzuciłem z pogardą gałęzie zagajnika, który krył mnie przed widokiem nieprzyjaciela i piorunującym głosem krzyknąłem: „Nie strzelać, bo tu swoi!” Trudno sobie wyobrazić: czy piorunujący mój głos podziałał na strzelającego nieprzyjaciela, czy też siła woli, z jaką ten rozkaz wypowiedziałem, to spowodowała, dość, że na całej linii bojowej przerwano ogień i zapanowała grobowa cisza, pośród której stałem, czując się potężnym, i patrzyłem przed siebie. Niedługo trwała ta chwila, bo po jednej sekundzie przerwy w strzelaniu przeszło stu hajdamaków rzuciło się w moją stronę z krzykiem, strzelając bezładnie. Napewno nie wycofałbym się z tej sytuacji, zaskoczony olbrzymią przewagą wroga, gdybym przyjął walkę z garstką swoich żołnierzy, do czego szykowałem się, chwytając za rewolwer i granaty ręczne, które miałem zawsze dwa za pasem, lecz stojący obok mnie z lewej strony podchorąży Pietrusiewicz wrzasnął mi nad uchem:

„Rany Boskie! Bo kozacy bez koni!”

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, z dotychczasowego triumfatora, rzuciłem się do ucieczki z garstką swych żołnierzy, biegnąc wprost do rzeki, która miała brzegi bagniste i po której płynęła kra lodowa, gdyż wiedziałem, że most na rzece jest napewno obsadzony przez nieprzyjaciela. Jeżeli nie zginąłem w beładnym odwrocie, to zawdzięczam jedynie temu, że miałem za pasem dwa granaty ręczne, z których jeden rzuciłem na wstępie w olbrzymią bandę hajdamaków, którzy biegnąc deptali nam po piętach, wzywając do poddania się. Wybuch granatu z tyłu za nami przyspieszył pęd uciekających moich żołnierzy i powstrzymał ścigających, którzy po wybuchu granatu padli na ziemię, co ułatwiło nam oderwanie się na parę kroków od nieprzyjaciela, który nie dawał za wygraną i ścigał nas nadal. Przynaglając do szybszego biegu swoich żołnierzy, którzy ostrzegając się, zatrzymywali odwót, biegłem z tyłu ostatni, wyrzucając nad głową dogóry drugi granat ręczny, który wybuchając poza moimi plecami nie więcej, jak w odległości 10 kroków, powtórnie powstrzymał chwilowo pościg nieprzyjaciela. Obejrzałem się poza siebie. Banda nieprzyjaciół pędziła nadal za nami, zarysowując się dobrze na tle jasnego pożaru wsi. Nie mając więcej granatów ręcznych, chwyciłem za karabinek, przewieszony na ramieniu, z którym się na wojnie nigdy nie rozstawałem i biegłem nadal w stronę rzeki, przynaglając żołnierzy do pośpiechu. Uchodząc przed pościgiem, dobiegliśmy do rzeki i pomimo że po wierzchu płynęła kra lodowa i brzeg w tym miejscu był przeszło na metr wysoki, wszyscy bez namysłu wskoczyliśmy do wody, by przedostać się na drugą stronę i ująć pogoni, byleby się nie dostać do niewoli. Pomimo zimowej pory i lodu w wodzie, woda była ciepła, a przynajmniej taką wydawała się, jak podczas letniej kąpieli. Ciężki to był odwrót przez wspomnianą rzekę, którego człowiek w życiu nigdy nie zapomni. Mocno bagniste dno chwyciło żołnierzy za nogi, jakby chciało przytrzymać cofających się i oddać w ręce nieprzyjaciela, wówczas gdy cofający się pragnęli tę rzekę przebyć jednym skokiem. Nadomiar złego, hajdamacy dobiegli do brzegu i widząc cofających się przez wodę żołnierzy, zasypali ich ogniem. Przykry to był widok dla nas, widzieć na tle pożaru stojących na brzegu hajdamaków, którzy bezkarnie strzelali do cofających się żołnierzy przez rzekę, jak do dzikich kaczek na polowaniu. Pomimo silnego ognia nieprzyjacielskiego, narazie nikt z żołnierzy nie był ranny, choć kule gęsto padały w pobliżu, zalewając żołnierzom twarz i oczy, rozpryskującą się od uderzeń kul, wodą. Szczęśliwy traf sprzyjał nam w tej ciężkiej chwili, gdyż wysoki brzeg,

który przeklinali żołnierze, wskakując do wody, zasłaniał ich przed obserwacją nieprzyjaciela, rzucając cień na wodę. Rozkazałem żołnierzom odpowiedzieć nieprzyjacielowi ogniem. Posłuszni rozkazowi żołnierze, zanurzeni po samą szyję w zimnej wodzie, przestali cofać się i zaczęli prażyć z karabinów do dobrze widocznego na tle pożaru nieprzyjaciela. To też po pierwszych strzałach paru hajdamaków zwało się z jękiem na ziemię. Po raz pierwszy w życiu w tym momencie obudziło się we mnie zwierzę. Strzelając do stojących nad rzeką hajdamaków z odległości dziesięciu kroków, celowałem im prosto w brzuchy, wiedząc, że to jest rana bolesna i bardzo mało kiedy uleczalna. Strzelając, nie zwracałem uwagi na niebezpieczeństwo, lubując się widokiem padających z jękiem na ziemię nieprzyjaciół. Hajdamacy widząc paru swoich żołnierzy, leżących na ziemi, wycofali się do wsi, ścigani ogniem moich żołnierzy, na tle palących się domów w Wiszence Wielkiej.

Po ucieczce nieprzyjaciela wyszliśmy szybko na przeciwny brzeg rzeki, strzelając do widocznych we wsi żołnierzy nieprzyjacielskich. Strzelanina ucichła i niebezpieczeństwo minęło. Grupka żołnierzy jakoś szczęśliwie wyniosła z tych opresyj głowy. A skoro niebezpieczeństwo minęło, zaraz i człowiek, któryby może siedział do rana w lodowej wodzie, byleby ująć cało od śmierci, czy też niewoli, stał się więcej dbałym o swoje wygodę. Nic też dziwnego. Po wyjściu z wody, ubranie na żołnierzach marzło momentalnie i stawało się twarde jak skóra. Doszczętnie przemoczeni żołnierze mieli pełno wody w butach, to też mróz dokuczał im straszliwie. Trzeba było myśleć o wycofaniu się i wysuszeniu żołnierzy pod dachem, gdyż groziło im przeziębienie.

Nie mogę nie wspomnieć o przygodach tej nocy podchorążego Reslera. Cofając się wraz ze mną przez opisany powyżej cmentarz, w chwili kiedy krzyknąłem „Nie strzelać bo tu moi“, myśląc, że jestem dobrze tego pewny, skoczył ku swoim. Jakież musiało być jego zdziwienie, gdy zamiast swoich ujrzał się sam jeden, otoczony przez gromadę hajdamaków, którzy biegnąc za nim, chcieli go koniecznie pochwycić. Ale, że to był człowiek, który miał długie nogi i rewolwer w ręku, więc położywszy paru, którzy mu drogę zabiegli, popędził na most, gdzie potknął się o nieprzyjacielski karabin maszynowy, lecz szybko poderwał się z ziemi i pod ogniem nieprzyjacielskim przedostał się za rzekę, gdzie był uratowany, unikając niezbyt przyjemnej kąpieli, której w tym czasie nie był spragniony.

Mając przemoczonych i zziębniętych żołnierzy, rozpocząłem odwrót do tyłu, by połączyć się z resztą bataljonu i wysuszyć swoich żołnierzy, lecz skoro uszedłem kilka kroków, dostałem się pod tak silny ogień własnych karabinów maszynowych, że wszyscy żołnierze padli na ziemię i widocznie się im znów ciepło zrobiło. To własne oddziały, widząc zbliżający się oddział, wzięły nas za nieprzyjaciela. Po chwilowem nawoływaniu, przyszedł patrol i zobaczywszy, że to są swoi, przepuścił nas dotyłu, po za linię bojową. Przebywający na linii ogniowej żołnierze cieszyli się, że nikogo nie zabili, podczas strzelania. Nieco wtyłu, oficerowie zbierali swoje kompanie, szykując się do akcji na Wiszenkę Wielką, gdyż we wsi pozostał dowódca bataljonu, kapitan Bogaczewicz, któremu pragnęli iść na pomoc. Podporucznik Łaskowski i Łukasiński zebrali swoje kompanie i porządkując je do akcji na Wiszenkę Wielką, omawiali sprawy ataku. W Wiszence Wielkiej panował spokój i cisza, przerywana trzaskiem dogasającego pożaru. W tym czasie od strony Wiszenki Wielkiej nadbiegł jeden z oficerów i rozpaczliwie zaczął zawodzić:

„Rany Boskie! Byłem na plebanji. Kapitan Bogaczewicz zastrzelił się. Adjutanta i doktora Skalskiego zabrali hajdamacy do niewoli. Wszystko stracone. Szkoda tam chodzić, ponocy!“. Wobec takiego postawienia sprawy przez naocznego jakoby świadka, kompanie zaniechały powrotu do Wiszenki Wielkiej, a wycofały się do Wereszycy, by zaalarmować stojący tam bataljon w odwodzie z artylerją, oraz by wysuszyć przemokniętych i zmarzniętych żołnierzy.

Jak się później okazało, wiadomości podane przez wspomnianego oficera, nie były ściśle, gdyż nazajutrz zrana kapitan Bogaczewicz przybył do Wereszycy i odnalazł swój bataljon. Był jednak tak przygnębiony wypadkami ubiegłej nocy, że nie można było go poznać. O wspomnianej nocy i awanturach na plebanji wspomnę tutaj krótko, pomimo że była to noc, o okropnościach której możnaby napisać dwa tomy powieści

Otóż po wyjściu mojem na kontrolę pozycji, kapitan Bogaczewicz siedział na plebanji w towarzystwie adjutanta, podporucznika Wadasa i porucznika lekarza Skalskiego przy stole. Rozmawiali o przeżyciach dnia ubiegłego i o tem, że o godzinie 24-tej ma przyjść inny bataljon na zmianę. Ranny w głowę dowódca 1-szej kompanji podporucznik Żołędziowski, który nie chciał pomimo otrzymanej rany wyjechać do szpitala, leżał na łóżku. Naraz szyby z brzękiem wyleciały i do pokoju wpadły trzy granaty ręczne. Wszyscy trzech wspomniani oficerowie, nie

mówiąc nic do siebie, schwycili z narażeniem życia wrzucowe granaty ręczne i wyrzucili je za okno, gasząc momentalnie światło. Wyrzucone zpowrotem granaty ręczne, wybuchły z trzaskiem i hukiem pod nogami tych którzy je nieumiejętnie wrzucili do plebanji. Nieprzyjaciel zasypał plebanję gęstym ogniem, przystępując do szturm. Kapitan Bogaczewicz chwycił za rewolwer i biegł z adjutantem do sieni, gdyż jak sobie przypominał ze słów córki popa rusińskiego, drzwi do ogrodu nie domykały się należycie i stamtąd kapitan Bogaczewicz spodziewał się wtargnięcia nieprzyjaciela do budynku. Przewidywania jego były słuszne. Po doleceniu przez kapitana Bogaczewicza do drzwi od ogrodu, ktoś silnie pchnął je i drzwi padając na ziemię, uderzyły kapitana Bogaczewicza dość boleśnie w głowę. Nie miał czasu kapitan Bogaczewicz rozmyślać nad znikomym bólem głowy, gdyż zaraz ujrzał wymierzone przeciw sobie bagnety żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy z ganku wzywali go do poddania się. Kapitan Bogaczewicz nie stracił zimnej krwi. Lewą ręką zagroził hajdamakom wejście do sieni, a prawą bez namysłu wypalił z odległości jegnego kroku w zniechęcone gęby wrogów całą zawartość magazynka swego rewolweru, nabitego dziecięciami nabojami, co poskutkowało i uratowało osaczonych, gdyż paru żołnierzy nieprzyjacielskich zważyło się z jękiem na ziemię, a pozostali cofnęli się od drzwi dalej na ganek. Nie zwracając uwagi na to, że nieprzyjaciel z ganku strzelał do sieni ogniem karabinowym, kapitan Bogaczewicz nie cofnął się, lecz chwyciwszy granat ręczny, który podał mu adjutant, odbezpieczył go i rzucił na ganek między nieprzyjacielskich żołnierzy. I tutaj dopiero następuje tragedia... Granat nie wybucha. Sześć sekund, których potrzeba na spalenie się lontu w granacie ręcznym, t. j. od chwili zapalenia do chwili wybuchu, zdawały się kapitanowi Bogaczewiczowi wiekiem oczekiwania. W rewolwerze również już kul nie miał, bo przed chwilą wystrzelił wszystkie, a na ładowanie świeżych kul nie było czasu. Wreszcie, w tej przykrej chwili wyczekiwania, potężny huk rozdarł powietrze i żołnierze nieprzyjacielscy, z krzykiem i wrzaskiem, odskoczyli z ganku na podwórko, pozostawiając zabitych i rannych, od wybuchu granatu ręcznego, których zabrać nie mieli czasu. Nieprzyjaciel nie dawał za wygraną i z podwórka rozpoczął silnie ostrzeliwać okna plebanji, ogniem karabinowym. Kapitan Bogaczewicz pozostawił przy drzwiach adjutanta z dwoma żołnierzami, którzy z bez przerwy strzelali z karabinów na ganek, by nie dopuścić nieprzyjaciela, a sam pobiegł do pokoju, w którym zastał żołnierzy leżących w ukryciu na podłodze,

i wydał rozkaz otwarcia ognia przez ostrzeliwane okna, do nieprzyjaciela. Pierwszy na rozkaz dowódcy bataljonu dobiegł do okna kapral Janiszewski, syn dróżnika kolejowego z pod Radomia, i rozpoczął strzelać do nieprzyjaciela, lecz zanim wystrzelił parę naboju, zwałił się na ziemię, ugodzony trzema kulami w piersi. Nie zwracając uwagi na silny ogień nieprzyjacielski, żołnierze kapitana Bogaczewicza wytrwali, ostrzeliwując nieprzyjaciela przed domem. Wkońcu z ganku odezwał się karabin maszynowy, który wraz z plutonem trzymał kapitan Bogaczewicz na plebanji w odwodzie. Nieprzyjaciel nie wytrzymał oporu broniących się i cofnął się nieco do ogrodu, z czego skorzystał kapitan Bogaczewicz i wydał żołnierzom rozkaz do wyjścia z domu na podwórko, w celu łatwiejszej obrony. Posłuszni rozkazowi żołnierze, drzwiami i oknami poczęli wyskakiwać z osaczonego domu i rozpoczęli dalej ostrzeliwać cofających się do ogrodu hajdamaków. I zwyciężyła siła moralna. Kapitan Bogaczewicz, ostrzeliwując oddział nieprzyjacielski, napierał na niego bez przerwy, tak, że hajdamacy nie wytrzymawszy zdecydowanego naporu, cofnęli się do ogrodu, pozostawiając zabitych i rannych na podwórku plebanji. Parkan ogrodu był wysoki prawie na dwa metry i wycofawszy się do ogrodu, żołnierze nieprzyjacielscy nie mogli się z niego wydostać, a żołnierze kapitana Bogaczewicza postępowali za nimi bez przerwy, strzelając z karabinów ręcznych i maszynowych. Strzały błakających się po ogrodzie hajdamaków, stawały się coraz słabsze, a jęki i krzyk rannych z ogrodu żołnierzy nieprzyjacielskich coraz bardziej dolatywał do uszu zwycięzców. Tak umierali pod ogniem żołnierzy kapitana Bogaczewicza pośród tej strasznej i ciemnej nocy ci, którzy w zdradziecki sposób napadli na plebanję, chcąc zniszczyć przebywającego tam dowódcę bataljonu z żołnierzami.

Bitwa ustała i kapitan Bogaczewicz udał się na poszukiwanie swego bataljonu. Błądząc sam jeden z adjutantem po Wiszence Wielkiej z rewolwerem w ręku, zaszedł do chaty, gdzie baba lała wodę na głowę mocno rannemu hajdamakowi, od którego dowiedział się, że hajdamacy zabrali do niewoli tylko sześciu żołnierzy polskich. Wobec tych wiadomości szedł dalej przez pustą wieś, ten „Nieustraszony Dowódca“ na poszukiwanie swych żołnierzy. I gdy tak idąc, wyszedł na skraj lasu, serce mu się ścisnęło i zalało krwią. Widział na skraju lasu, w pobliżu formujące się i odmaszerowujące kolumny nieprzyjacielskie do tyłu, po wykonanym wypadzie, i myślał, że to jego bataljon hajdamacy do niewoli prowadzą. Zaszedł tedy lasem bliżej drogi z tą myślą, że gdy usłyszy polską mowę, to zacznie

działać okrzykiem, i rozkazem porwie prowadzonych do niewoli swoich żołnierzy do czynu i, pomimo porażki, odniesie zwycięstwo. Lecz pomimo że stał przy drodze w krzakach, nie dalej jak dziesięć kroków od przechodzących oddziałów nieprzyjacielskich, nie usłyszał ani jednego polskiego wyrazu, to też z bólem serca powrócił na plebanję, zabrał żołnierzy, załadował rannych na wozy i wyruszył do Wereszycy. Na podwórzu w plebanji leżało dużo zabitych i rannych żołnierzy nieprzyjacielskich, tak, że by wyprowadzić konie i wozy, trzeba było ich odnosić nabok z drogi.

Jakież zdziwienie było kapitana Bogaczewicza, gdy cofając się do Wereszycy, przy wyjściu z Wiszenki Wielkiej został ostrzelany ogniem artylerji. Nie była to jednak artylerja nieprzyjacielska, lecz strzelała na Wiszenkę Wielką artylerja polska z Wereszycy, na wiadomość o zajęciu Wiszenki Wielkiej przez nieprzyjaciela, o czem dowiedziała się artylerja w Wereszycy od przemokniętych żołnierzy z bataljonu kapitana Bogaczewicza, którzy przybyli tutaj, aby się wysuszyć i ogrzać po wspomnianej kąpieli.

Straty w boju pod Wiszenką Wielką były następujące: 1 oficer, 8 szeregowych — zabitych, 1 oficer, 36 szeregowych — rannych, 1 oficer, 82 szeregowych — zaginionych, z tem, że wzięty do niewoli dowódca 2-giej kompanji, podporucznik Lelito, tej samej nocy uciekł z niewoli i dołączył się do bataljonu. Poza tem około 40 żołnierzy wyjechało nazajutrz do szpitala, chorych na zapalenie płuc.

Nazajutrz z rana, 28 marca o świcie, kapitan Bogaczewicz przybył z podporucznikiem Wadasem, doktorem Skalskim i rannym w głowę podczas boju podporucznikiem Żołędziowskim Aleksandrem, oraz przebywającym na plebanji plutonem odwodowym do Wereszycy, gdzie ku wielkiej swej radości zastał swój bataljon. Tegoż dnia bataljon wyruszył z Wereszycy do Starzysk, gdzie stanął na odpoczynku w wygodnych kwaterach, ubezpieczając się placówkami.

Czas w Starzyskach schodził żołnierzom na ćwiczeniach i wypoczynku. Poza tem żołnierze odbyli spowiedź Wielkanocną, w miejscowym kościółku, przystępując w skupieniu ducha do Komunji Świętej. Obserwując żołnierzy, widziałem jak gorliwie umie modlić się żołnierz na wojnie, gdzie nie wie dnia ani godziny śmierci swojej, czując w każdej chwili krążące nad jego głową niebezpieczeństwo.

Po trzechdniowym odpoczynku, bataljon został nagle zaalarmowany, naskutek zbliżania się nieprzyjaciela do miejsc-

wości Kurnik, dokąd kapitan Bogaczewicz wysłał niezwłocznie, dwie kompanie, z rozkazem odrzucenia nieprzyjaciela. Poszła do tego boju kompania podporucznika Żołędziowskiego i kompania podporucznika Łukasińskiego, które dopędziły nieprzyjaciela i po krótkiej walce zmusiły go do wycofania się. Charakterystyczne zdarzenie było w tym boju, rzucające światło na fakt, który zwie się „przeznaczenie” i w który na wojnie żołnierz wierzy. Otóż ranny w głowę w boju pod Wiszenką Wielką, podporucznik Żołędziowski Aleksander, nie chciał wyjechać do szpitala, pragnąc pozostać ze swoją kompanją na froncie, i czuł się po paru dniach na tyle dobrze, że poszedł na ochotnika pod Kurnik. I dziwny los spotkał tego oficera. Podczas boju pod Kurnikiem w obu kompanjach nie został ranny żaden oficer, ani żołnierz, prócz podporucznika Żołędziowskiego, który otrzymawszy silny postrzał łófką szrapnela w staw kostny lewej nogi, tym razem już ciężko ranny wyjechał do szpitala wojskowego.

Po tygodniowym pobycie w Starzyskach, bataljon powrócił do Sądowej Wiszni, gdzie stojąc na pozycjach pod miastem, ubezpieczał się, patrolując przedpole. Wiosna zbliżała się szybko. Pod wpływem ciepłych promieni słonecznych, śnieg stopniał doszczętnie i ziemia obeschła, czyniąc służbę w okopach znośniejszą dla żołnierzy. Żołnierze odpoczęli i nabrali humorów, po przebytych trudach i męczącej służbie.

Pewnego dnia zgłosili się do mnie dwaj ochotnicy, z prośbą o przyjęcie do wojska. Ubrani byli w mundury wojskowe, jak również postawę żołnierską mieli dobrą. Po energicznem żołnierskiem zameldowaniu się, zrobili na mnie dobre wrażenie, tak, że bez żadnych skrupułów przyjąłem obydwóch do swej kompanji karabinów maszynowych. Ochotnicy ci pełnili służbę na placówkach w obliczu nieprzyjaciela bardzo gorliwie, podczas słoły i mrozu, tak, że byłem z nich bardzo zadowolony i meldowałem nawet dowódcy bataljonu o zdobyciu wartościowych ochotników, lecz jakie było moje zdziwienie, gdy po czterech dniach zauważyłem, że są to przebrane kobiety, które jednak na wojnie znały się dobrze, gdyż służyły na froncie w odsieczы Lwowa, od listopada 1918 roku. Były to: Krawczykówna Irena i Niklewska Kazimiera, obie Lwowianki. Ze względu na to, że potrzeba mi było żołnierzy do obsługi karabinów maszynowych, wskutek strat po przebytych bojach, i widziałem w obu ochotniczkach szczerą chęć do pracy, zatrzymałem je nadal w kompanji, nie czyniąc im żadnych ulg w służbie. Na początku mu-

siałem zbesztać przed frontem paru łobuziaków z pośród swoich żołnierzy, którzy pozwalali sobie na niegrzeczne, dwuznaczne rozmowy w towarzystwie wspomnianych ochotniczek, lecz już po tygodniu czasu warunki między żołnierzami i ochotniczkami tak się ułożyły, że żołnierze w ochotniczkach widzieli tylko swoich towarzyszy broni, miast kobiet. To też panowała w kompani harmonja bez zarzutu, co dało mi zauważyć, że w razie wojny z przewagą wroga, gdy kraj będzie w niebezpieczeństwie, mogą stanąć do boju dzielne kobiety polskie, walcząc z bronią w rękę, gdy będą miały do tego odpowiednie przygotowanie, jak również, gdy dowódcy będą umieli wobec nich zachować należyty takt i powagę.

ROZDZIAŁ VI.

Na pozycjach pod Chyrowem.

16 kwietnia 1919 roku bataljon został nad ranem załadowany do pociągu i transportem kolejowym odjechał do Chyrowa, dokąd przybył o godzinie 18-tej. Po przybyciu transportu do Chyrowa na dworcu panował popłoch. Komendant dworca i kolejarze biegali dokoła transportu i naglili do pośpiesznego wysiadania żołnierzy, gdyż hajdamacy mieli na tej pozycji bardzo silną artylerję, bombardując nią często miasto i dworzec kolejowy. Żołnierze nie dali sobie dwa razy powtarzać rozkazu, powyskakiwali szybko z pociągu, który niezwłocznie całą parą odjechał z powrotem i skrył się na zakręcie w lesie. Na szczęście nieprzyjacielska artylerja nie oddała w tym dniu ani jednego strzału, pomimo że zgrupowany na dworcu bataljon wojska dawał dla niej wymarzony cel. O zmroku bataljon wmaszerował do miasta, gdzie został zakwaterowany, obejmując nazajutrz zrana pozycje obronne, pod Chyrowem.

Ponury i przykry był widok tego nieszczęśliwego miasta, bombardowanego często silnym ogniem artyleryjskim nieprzyjaciela. Dokoła sterczały zgłiszczona pożarów i porozwalane domy, od pocisków armatnich. Nieszczęsne miasto miało wygląd, jakby przeszło ciężkie trzęsienie ziemi. Tylko na tle tych ruin i przygnębiającego wyglądu miasta, sterczały triumfująco i dumnie, potężne mury „Zakładu Świętego Józefa”, utrzymywanego przez Ojców Jezuitów, które to mury, czteropiętrowej wysokości i mocno zbudowane, pomimo, że miejscami poszczerbione ogniem ciężkiej artylerji nieprzyjacielskiej, stały niezachwianie, jakby „potężna jakaś twierdza kresowa — niezdobyta”.

Następne trzy dni przeszły na froncie również spokojnie, przerywane pojedynczemi strzałami karabinowemi na placówkach. Miałem kwaterę w ładnej willi, naprzeciw apteki, przy wylocie z miasta w stronę Dobromila, w której mieściło się również dowództwo bataljonu i kwatera kapitana Bogaczewicza. Myśleliśmy, że Święta Wielkiej Nocy przejdą nam spokojnie.

Tymczasem o godzinie 5-tej rano, 20 kwietnia, czyli w pierwszy dzień Świąt, silna kanonada artyleryjska przerwała nam dumania świąteczne. Pociski padały bardzo gęsto obok zamieszkiwanego przez nas domu. Jeden pocisk artylerji ciężkiej uderzył w stojący obok dom, rozbijając go. Na szczęście nikt z zakwaterowanych w nim żołnierzy, jak również z ludności cywilnej, nie otrzymał ran, prócz ciężko zranionej krowy, która okaleczona kilkoma odłamkami pocisku armatniego, leżąc na ziemi, wyla się z bólu i smutnemi ślepiami wodziła po obecnych, jakby prosiła o pomoc w cierpieniach. Nic nie pomogło biednemu stworzeniu, bo mu gospodarz zaraz łeb urznął z zadowoleniem, otrzymując zapłatę od oficera prowiantowego, który zakupił ranne bydlę na mięso dla żołnierzy.

Po krótkiej, lecz gwałtownej strzelaninie, kanonada artyleryjska ucichła, nie wyrządziwszy krzywdy żadnemu z żołnierzy, raniąc jednak kilka osób cywilnych, które, nie umiejąc się chronić przed ogniem artyleryjskim, wybiegały z domów z lamentem i biegając po ulicach, szukały ratunku, miast kryć się do piwnic, lub innych silnych schronów. Nie winne są ręce, które wystrzeliły z morderczych gardzieli armat te nieszczęśliwe pociski, godzące w ludność cywilną, lecz po stokroć niech będą przeklęte usta, które wydały rozkaz do rozpoczęcia ognia w Tym „Wielkim Dniu Zmartwychwstania“, plugawiąc to „Wielkie Święto Całego Świata Chrześcijańskiego“, rozlewem krwi nieszczęsnego ludu obszarów przyfrontowych, który miast w tym czasie zaśpiewać na pokrzepienie zbolełego serca „Wesoły nam dzień dziś nastał“, musiał leczyć otrzymane bolesne rany, spędzając w gronie najbliższej rodziny chwile smutku i niedoli, zakończone niejednokrotnie śmiercią drogiej osoby.

Niedługo bataljon przebywał na pozycjach pod Chyrowem, bo zaledwie 18 dni, lecz to, co człowiek widział przez ten krótki czas, są to przykre momenty, które utkwily mi w pamięci na całe życie. Hajdamacy, zajmując pozycje na wysokich wzgórzach, w pobliżu toru kolejowego od strony Sambora, mieli dobry wgląd do miasta Chyrowa, a posiadając na tej pozycji dość dużo artylerji, nie szczędzili jej pocisków na nieszczęsne miasto, które pomimo że było już doszczętnie rozbite pociskami artylerji nieprzyjacielskiej i wyglądało jak po straszliwym trzęsieniu ziemi, podlegało nadal częstemu bombardowaniu, podczas którego ludność cywilna, wystraszona i wynędzniała, ratując się, biegła odruchowo z jednego końca miasta na drugi, ciągnąc za sobą małe płaczące dzieci i resztę zniszczonego dobytku. Prawie codziennie wyruszały na miejscowy cmentarz ponure i skrom-

ne kondukty pogrzebowe nieszczęsnych ofiar, bestjałskiego barbarzyństwa. Kto widział te „nieszczęśliwe wędrówki narodu“, musiał im współczuć, choćby miał serce z kamienia. Wystraszzone i nieszczęściem przygnębione miny mieszkańców, płacz kobiet i dzieci, połączony z wyciem przelatujących pocisków armatnich i piekielnym traskiem ich wybuchu, wzbudzały litość bezgraniczną nad niedolą tych nieszczęśliwców.

O ile Szlachetne Narody Świata dojdą do równowagi życiowej, po tych strasznych i krwawych wojnach, i obudzą się w nich sumienie i współczucie dla niedoli bliźniego, to winny w pierwszej mierze, wraz z gazami trującymi i innymi niedozwolonemi metodami wojny, jak zatapianie okrętów przez łodzie podwodne, zabronić bombardowania miast, gdzie głównie od ognia artyleryjskiego cierpi ludność cywilna i niszczy się doszczętnie długoletnią krwawicę ludności.

ROZDZIAŁ VII.

Na pozycjach pod Ustrzykami Dolnemi.

Zbliżała się chwila Ofensywy Majowej i w związku z przybyciem do Chyrowa 3-ej Dywizji Legionów, bataljon kapitana Bogaczewicza został zluzowany przez 7 pułk piechoty z pozycji, pośpiesznie załadowany do transportu kolejowego i w dniu 4 maja wyjechał do Ustrzyk Dolnych, skąd po przybyciu udał się niezwłocznie na pozycje do następujących miejscowości:

Dowództwo bataljonu pozostało w Ustrzykach Dolnych, gdzie kapitan Bogaczewicz objął dowództwo grupy operacyjnej.

Porucznik Budzoń z 1-szą kompanją obsadził Choszowczyk

Podporucznik Lewensztejn z 2-gą kompanją obsadził Ustjanów.

Podporucznik Łukasiński z 3-cią kompanją obsadził Staszewicze.

Podporucznik Laskowski z 4-tą kompanją obsadził Zamłynie.

Jak wynika z powyższego, bataljon obsadził odcinek w górach i lasach, przeszło dziesięciokilometrowej długości.

Pierwszy tydzień pobytu na tych rozległych pozycjach przeszedł dość spokojnie. Poza bezustanną obustronną działalnością patroli, ważniejszych wydarzeń nie było. Dopiero po cząwszy od dnia 12 maja, nieprzyjaciel rozpoczął częste ataki dzienne i nocne, na całym odcinku bataljonu, który pomimo dużej przewagi liczebnej wroga, trzymał się na wyznaczonych pozycjach. Kapitan Bogaczewicz, widząc ciężką sytuację swych kompanij, pragnął im przybyć z pomocą, lecz nie mógł tego uczynić, gdyż wszystkie jego kompanje były na pozycjach, a jedyną rezerwą, jaką posiadał na wypadek wdarcia się nieprzyjaciela do miasta Ustrzyk, był na dworcu kolejowym, pociąg pancerny „Wilk”. To też na częste meldunki dowódców kompanij, proszących o pomoc, kapitan Bogaczewicz odpowiadał, że jej nie ma, przypominając dowódcom kompanij obowiązek bezwzględnego wytrwania na powierzonych bataljonowi pózycjach.

Im bliższy był dzień rozpoczęcia ofensywy Polskiej, tem ataki hajdamaków stawały się zacieklejsze. Widocznie atakując często słabiej obsadzone odcinki, chcieli tym sposobem zmusić Naczelne Dowództwo Polskie do osłabienia przygotowanych grup uderzeniowych, na korzyść zagrożonych odcinków. Lecz Naczelne Dowództwo nie odstępowało od powziętego zamiaru i planu. Grupy uderzeniowe Generała Iwaszkiewicza, Zielińskiego i inne, stały w pogotowiu do rozpoczęcia ofensywy, a zagrożone oddziały na froncie, musiały wytrwać. Najwięcej zagrożony przez nieprzyjaciela był odcinek „Zamłynie”, do którego na odległość stu kroków podchodziły ciągnące się od strony nieprzyjaciela lasy. Odcinek ten został mocno odrutowany i obsadzony ogniami, karabinów maszynowych, tak, że kilkakrotne ataki nieprzyjacielskie na tę pozycję, nie odniosły skutku.

Dużą pomoc w obronie odcinka Zamłynie i innych, wyświadczył bataljonowi dowódca baterji „Kozak”. Był to pseudonim porucznika artylerji Pasternaka Karola, doborowego artylerzysty i nieustraszonego oficera. Dzielnym ten oficer, na początku listopada 1918 roku, jak głosiły frontowe legendy, podjechał z parowozem z Sądowej Wiszni do Chyrowa i złapał hajdamakom pociąg pancerny, którym dzielnie walczył w pierwszych dniach walk pod Lwowem. A że porucznik Pasternak nie oszczędzał siebie, jak również swego zdobytego pociągu i rzucał się z nim w wir walk z nieprzyjacielem, to też spotkał go ten przykry los, że nieustraszony jego pociąg pancerny został przez artylerję nieprzyjacielską rozbity pod Chyrowem. Nie mogąc przeboleć straty swego pociągu pancernego, porucznik Pasternak przeszedł niepostrzeżenie przez linię bojową z garstką swych zuchów i na tyłach hajdamackiej linji bojowej zdobyli baterję haubic, które szczęśliwie podobno przeprowadzili z powrotem na naszą stronę i niemi już walczyli do końca wojny pod Lwowem. Bracia żołnierska porucznika Pasternaka składała się częściowo z młodzieży akademickiej i z batiarów lwowskich, chętnych do bitew i poświęceń, tak, że podczas całej wojny światowej i na froncie polskim, była to jedna z niewielu baterji, które nie żądały od piechoty ubezpieczenia, licząc na własne siły.

Zdarzały się też wypadki, że hajdamacy, pragnąc odwzajemnić się porucznikowi Pasternakowi za jego ogień artyleryjski, który w postaci celnych pocisków, jak gromy rzucał często na ich głowy, napadali na jego armaty, lecz bezskutecznie, gdyż żadna pantera czy też lwica nie zdolna byłaby bronić z takim zaparciem się siebie swych zagrożonych szczeniąt, z jakim żołnierze porucznika Pasternaka bronili za każdym razem zagrożo-

nych armat. Tak ukochali, żołnierze porucznika Pasternaka, swe „drogie działa”, które walczyli zwycięsko.

Nie zapomnę nigdy, ile to żalu i zmartwienia było w całej baterji, gdy pewnego dnia pocisk wybuchł w lufie i poszarpał im najlepszą haubicę, imieniem „Basia”. W całej baterji panował smutek i przygnębienie, jak po stracie nie czegoś, a kogoś bardzo drogiego. Nawet dowódca baterji, porucznik Pasternak, z usposobienia wesoły i kawalarz, nie mógł zdobyć się przez dłuższy czas na równowagę duchową, pokazując każdemu swą ukochaną armatę, która z poszarpaną lufą stała niema i okaleczona, jak ktoś, co spełnił aż do ostatniej chwili swój zaszczytny obowiązek. Nie dziwiliśmy się smutkowi dzielnych artylerzystów. Prawdziwy żołnierz bojowy kocha nad wszystko swą broń zwycięską.

Przy wsparciu ogniem wspomnianej baterji porucznika Pasternaka, bataljon wytrwał na rozległych i trudnych do obrony pozycjach i nie załamał się ani w jednym boju, pomimo że nieprzyjaciel w ostatnich dniach ponawiał ataki kilkakrotnie. 18-go maja, podczas boju, został wzięty do niewoli żołnierz nieprzyjacielski, który zeznał, że w szeregach hajdamackich szerzy się w zastraszający sposób tyfus i dezercja, oraz że żołnierze porzucają broń i w nocy uciekają do pobliskich domów. Była to dla nas zapowiedź, wkrótce mającej nastąpić, klęski armji hajdamackiej. W celu sprawdzenia tych wiadomości, kapitan Bogaczewicz zarządził w dniu następnym wypad dwu kompanij na przedpole. Oddziały nieprzyjacielskie nie wytrzymały natarcia i w popłochu wycofywały się na południe.

ROZDZIAŁ VIII.

Ofensywa majowa 1919 roku.

Rozpoczęła się ofensywa Majowa 1919 roku. Owiane duchem zwycięstwa i chęcią poświęcenia oddziały Generała Iwaszkiewicza, Generała Zielińskiego i inne pędziły przed sobą cofające się oddziały wroga, aż do granicy czecho-słowackiej. Kapitan Bogaczewicz nie otrzymał do ofensywy żadnych rozkazów, nie chcąc jednak być bezczynnym w chwili, gdy inne oddziały polskie walczyły zwycięsko, zebrał swój bataljon w Zamłynie z baterją porucznika Pasternaka, pozostawiając na obronę miasta i dworca kolejowego, pociąg pancerny „Wilk”, na dworcu kolejowym w Ustrzykach Dolnych, a z bataljonem wyruszył dnia 20 maja o godzinie 7 ej, przez Rabę, Łomny, do Turki nad Stryjem i następnie dalej po zajęciu Turki, na Sianki, Libuchorę i Wołosatkę, ścigając cofające się oddziały nieprzyjacielskie, aż do granicy czecho-słowackiej.

Przykry to był pochód bataljonu, jak przez jakieś okolice zadżumione. W chatach wiejskich i po miasteczkach leżeli nieprzytomni, chorzy na tyfus, pozostawieni żołnierze hajdamaccy. Ci nieszczęśliwi, pozostawieni przez swoich dowódców i kolegów, na łaskę oddziałów polskich, leżeli najczęściej nieprzytomni w gorączce, nie zdając sobie sprawy ze swego wielkiego nieszczęścia. Mniej chorzy, leżeli smutni i zrezygnowani, patrząc wystraszonem przez łzy wzrokiem na polskich żołnierzy, którzy nie zbliżali się zbyt do nich, lecz im również krzywdy nie czynili.

Kapitan Bogaczewicz wydał rozkazy i oddziały maszerując, nie zatrzymywały się po wioskach na odpoczynki, lecz uskuteczniały je w polu, poza wsiami, by uchronić żołnierzy przed zarażeniem się tą straszną chorobą. Zarządzenia w tej sprawie poskutkowały, gdyż żaden z żołnierzy, podczas wspomnianego przemarszu, na tyfus nie zachorował.

Maszerując w pościgu za cofającymi się oddziałami nieprzyjacielskimi, bataljon o godzinie 16-ej tegoż dnia zajął bez boju

Łomnę, skąd przed chwilą wycofały się oddziały nieprzyjacielskie. Piękny i niezapomniany pozostanie dla mnie na całe życie moment, po zajęciu Łomny, przez bataljon kapitana Bogaczewicza. Przełożona tamtejszego klasztoru poubierała przebywające tam dziewczątka odświętnie i wyprowadziła przed klasztor, na powitanie zbawczych swoich wojsk, po długich dniach udręki i prześladowań, ze strony hajdamaków. Ubrane odświętnie, w konfederatkach na główkach dziewczątka, śpiewały patriotyczne pieśni, rzucając żołnierzom pod nogi kwiaty, które obficie zrywały z klasztornych klombów. Po ubezpieczeniu się na pobliskich wzgórzach od strony Turki, bataljon został zakwaterowany w klasztorze i pobliskiem miasteczku, poczem wszyscy oficerowie udali się na przyjęcie do klasztoru, gdzie byli mile podejmowani przez zacne gospodynie. Podczas przyjęcia zjawiał się miejscowy ksiądz proboszcz, który ukrywał się przez dłuższy czas przed zemstą hajdamaków w podziemiach klasztoru i na cześć zwycięstwa odprawił, pierwsze w tym roku, dla klasztoru i żołnierzy, Nabożeństwo Majowe, na którym były obecne wszystkie siostry klasztorne z młodzieżą szkolną, oraz wolni od służby oficerowie i żołnierze. Do późnej godziny dnia tego bataljon spędzał niezapomniane i miłe chwile, słuchając patriotycznych pieśni młodocianych dziewczątek, poczem żołnierze odśpiewali modlitwę wieczorną i udali się na spoczynek, aby wypocząć nieco do dalszej akcji w dniu następnym. Nie spali i nie odpoczywali jedynie żołnierze na placówkach i wysyłanych często patrolach, którzy zapatrzeni w czerni nocy — czuwali, by pod ich osłoną mogli spokojnie odpoczywać, przemęczeni ich kole-dzy i towarzysze broni.

21 maja, o godzinie 7-mej zrana, bataljon oczekiwał w karnym ordynku na dalsze rozkazy, gotów do odmarszu na Turkę. Przebywające w klasztorze dziewczątka, w dniu tym wstały wcześniej jak zwykle i nie chcąc iść na śniadanie, oczekiwały z kwiatami odmarszu żołnierzy, jakby pragnęły odwdzińczyć się im za to, że wybawili je z przykrej, pełnej szyskan i dolegliwości, niewoli hajdamackiej, i że będą mogły obecnie żyć spokojnie i szczęśliwie na Polskiej Swej Ziemi. Bataljon wyruszył do dalszej swej akcji, żegnany przez zacne mieszkanki klasztoru, i przybył do Turki o godzinie 14-tej, gdzie zastał już przybyłe wcześniej oddziały 6-go pułku ułanów. Ludność Turki, gnębiona przez hajdamaków, witała bataljon owacyjnie i szczerze. Kapitan Bogaczewicz założył niezwłocznie dowództwo bataljonu w Turce i pragnął jak najspieszniej przystąpić do dalszego poscigu za cofającym się nieprzyjacielem, w czym mu przeszkadza-

dzali bardzo miejscowi patrioci, gdyż każdy szczerzy i dobry Polak, miał chęć spędzić małą chwilkę czasu w towarzystwie zwycięskich oficerów i żołnierzy.

22 maja kompanje o świcie wyruszyły w dalszy pościg, za cofającym się nieprzyjacielem. Kapitan Bogaczewicz wysłał swój bataljon w dwóch kierunkach; t. j. po osi marszu: Borynia, Sianki, aż do przełęczy Użockiej, i drugi pościg przez Jabłonkę, Bóbrkę do Wołosatki. Po czterech dniach kompanje powróciły do Turki, prowadząc ze sobą: 6 armat, przeszło 10 karabinów maszynowych, mnóstwo broni ręcznej i amunicji, oraz przeszło 80 wozów z końmi, którą to zdobycz oddziały hajdamackie porzuciły w pośpiechu, przed przekroczeniem granicy czecho-słowackiej.

Po dojściu do granicy w Wołosatce, żołnierze 4-tej kompanji podporucznika Laskowskiego, ustawili na wysokiem wzgórzu za wsią, przed granicą, wielką chorągiew biało-amarantową, która triumfująco powiewała; będąc zdaleka widoczną od strony polskiej i czecho-słowackiej, jako symbol przynależności tych „Ziem Odwiecznych” zpowrotem do Polski. Usadowieni na wzgórzu w okopach żołnierze czescy, z zainteresowaniem przyglądali się tej akcji. Wspomnianą chorągiew żołnierze wykonali na miejscu, z podarowanej im przez miejscową ludność czerwonej kołdry i dużego zgrzebnego prześcieradła. Pod godłem tej chorągwi, żołnierze owiani duchem patriotyzmu, jako zwycięzcy wznosili okrzyki na cześć „Niezwalczonej Armji Polskiej” i „Jej Zwycięskiego Wodza”. Tak chlubnie zakończył bataljon kapitana Bogaczewicza zwycięską wojnę o Małopolskę Wschodnią.

ROZDZIAŁ IX.

Postój na granicy.

Po czterech dniach, kompanje powróciły do Turki, obladowane zdobyczą, porzuconą przez cofających się hajdamaków, ku wielkiej radości mieszkańców Turki i okolic, gdyż bardzo dużo mieszkańców poznawało swoje konie i wozy, które były im zwracane, po wylegitymowaniu. Nie brakowało też między wspomnianymi ludźmi niesumiennych, którzy przyznawali się do koni wojskowych, prosząc o zwrot, niby swej własności.

Wkrótce wszystkie kompanje wyruszyły zpowrotem na granicę, gdzie stojąc w Siankach, Butli i Libuchorze, zażywały uroczego letniska, w lesistej i górskiej okolicy, w pobliżu przełęczy Użockiej. Czas upływał żołnierzom przyjemnie, podczas ciepłych dni i odpoczynku. Czterogodzinne ćwiczenia codzienne uprzyjemniały żywot żołnierzom. I zdawało się, że ten całkiem zasłużony odpoczynek, potrwa dłużej. Niestety! Wyścig krwi i czynów nie pozwolił bataljonowi na dłuższe wywczasy w tej uroczej okolicy, gdyż naskutek wiadomości o ciężkiej walce bataljonu 36-go pułku piechoty, Legji Akademickiej, pod Czortkowem, i bohaterskiej śmierci dowódcy tegoż, majora Bobrowskiego, bataljon został zdjęty z granicy i pośpiesznie przerzucony pod Brody, na zlikwidowanie ofensywy nieprzyjacielskiej.

10 lipca bataljon został załadowany w Siankach do transportu kolejowego i pośpiesznie odjechał, przez Przemyśl, na front bolszewicki, pod Brody. Nazajutrz zrana, po całonocnej jeździe, transport zatrzymał się w Przemyślu na pół godziny, w celu umożliwienia wydania żołnierzom śniadania. Podczas tego krótkiego postoju, przez Przemyśl przejechało kilka transportów kolejowych z wojskiem, zdążających w szybkim tempie, na zagrożony front. Po półgodzinnym postoju, transport bataljonu ruszył z miejsca i jak zawierucha pędził bez przerwy, wśród za innymi transportami wojskowymi, jakby pragnął nie dać wyprzedzić się innym, w ostatecznym momencie zwycięstwa.

ROZDZIAŁ X.

W rejonie Brodów.

11 lipca 1919 roku, po południu, transport przybył do Brodów. Całe miasto i przyległe jego okolice wyglądały jak jeden obóz wojenny. Kwatery i place wypełnione były wojskiem. Od dworca, w różnych kierunkach, maszerowały zwycięskie i karne szeregi. Bataljon po wyładowaniu odmaszerował do Gajów Starobrodzkich, skąd nazajutrz wyruszył na pozycję, obsadzając wsie Nakwasze i Mikitiuki, w pobliżu Podkamienia. Zdala na przedpolu, pośród drzew, zarysowały się olbrzymie mury i złociste kopuły klasztoru Poczajowskiego, który był zajęty przez bolszewików. W czasie pobytu na pozycjach pod Nakwaszą i Mikitiukami, ważniejszych bitew bataljon nie miał, jedynie ciężka artylerja bolszewicka z rejonu Poczajowa uprzykrzała żołnierzom żywot swemi pociskami, któremi często zarzucała pozycje bataljonu. Artylerja polska też nie pozostawała dłużna i częstym ogniem odpowiadała bolszewikom, na ich strzały, tak, że na tej pozycji świst pocisków, połączony z wyciem szrapneli i traskiem pękających w pobliżu pocisków artyleryjskich, przerywał często ponurą zadumę żołnierzy.

Był to czas okresu żniw i olbrzymie łany zboża, tych urodzajnych niw, falując na lekkim wietrze, zakrywały olbrzymi szmat ziemi, z czego korzystając obie strony, prowadziły bezustannie wywiady, przerywając często ciszę dnia, raptowną i gwałtowną strzelaniną karabinową. Korzystając z zasłon zbożowych, polskie, jak i bolszewickie patrole, często podchodziły skrycie pod wrogie sobie okopy, zasypując je znienacka gęstym ogniem karabinowym. Od takiego zdradzieckiego ognia nieprzyjacielskiego omal że nie zginąłem na tej pozycji.

16 lipca, o godzinie 14-tej, wybrałem się z podporucznikiem Łukasińskim, dowódcą 3-ciej kompanji, na inspekcję jego odcinka, aby wybrać lepsze stanowiska dla karabinów maszynowych. Idąc zajęci swojemi sprawami, nie oglądaliśmy się na boki, ani też przed siebie, zwracając całą uwagę na teren,

w którym mieliśmy umieścić dodatkowe gniazda karabinów maszynowych, na wzmocnienie pozycji, gdy idąca za mną moja nieodstępna towarzyszka wypraw wojennych. wilczyca „Fryda” rzuciła się w stronę olbrzymiego ładu zboża, szczerkając zajadle. Bez jednej sekundy namysłu, rzuciliśmy się na ziemię, gdy w tej samej chwili salwa karabinowa przeszła powietrze, a stado kul, jak gromada złych duchów, przeleciała ze świstem, tuż nad naszymi głowami, na szczęście nie raniąc nikogo. To patrol bolszewicki oddał z zasadzki salwę, z oddalonego o sto kroków ładu zboża, lecz całe szczęście, że strzelali iście po bolszewicku głośno, a mniej celnie, jak również pocziwa psina, która rzuciła się szczerkając, w stronę bolszewików, przyczyniła się do tego, że uszliśmy cało z życiem. Leżąc na ziemi, pytaliśmy jeden drugiego, czy nie został kto ranny, patrząc z zadowoleniem na chwiejący się ład zboża, poruszany przez uciekających bolszewików, którzy pod ogniem karabinów maszynowych z naszej pozycji zmykali tak, że napewno gubili łapcie po drodze.

W odpowiedzi na te podstępne wystąpienie bolszewików, wyruszyły niezwłocznie na przedpole patrole własne i wkrótce pod okopami nieprzyjacielskimi dały się słyszeć zdradzieckie strzały, które zwiastowały klęskę nieostrożnych żołnierzy bolszewickich.

I tak bez większych zmian, w tej cudnej i zdrowotnej okolicy wśród dni pogodnych i słonecznych, gdyż pogoda w tym czasie bardzo nam dopisywała, spędzał bataljon czas na pozycjach.

W pierwszych dniach sierpnia, zadudniła ziemia od uderzeń kopyt końskich i marszów piechoty. Liczne pułki spieszyły na wyznaczone miejsca koncentracji. Czyniono szybkie przygotowania do mającej rozpocząć się ofensywy, lecz bataljon już w niej udziału nie brał, gdyż został wycofany z frontu do Kraju, na uzupełnienie i połączenie się z 25-tym pułkiem, którego nie znał jeszcze.

ROZDZIAŁ XI.

Powrót do pułku i formowanie się.

5 sierpnia 1919 roku, bataljon został zluzowany z pozycji i po załadowaniu na stacji kolejowej w Brodach, wyruszył tegoż dnia o godzinie 17-tej, transportem kolejowym przez Kraków, do Częstochowy, dokąd przybył rano, dnia 7 sierpnia. Po wyładowaniu z transportu, bataljon udał się niezwłocznie marszem, przez Kłobuck, do Zagórza, oddalonego o 14 kilometrów od Częstochowy. Przed wejściem do Kłobucka, powitał bataljon z orkiestrą i chorągwią pułkową, dowódca pułku, życzliwy i szlachetny starszek, pułkownik Zienkiewicz Michał, który w swem szczerem powitaniu, rad był z przybycia bataljonu do pułku. Po krótkim powitaniu, bataljon pomaszerował na kwatery do Zagórza, gdzie spotkaliśmy przybyły przed paru dniami z frontu, bataljon porucznika Studzińskiego Franciszka, który tym bataljonem dowodził dzielnie, przez cały czas na froncie, po wyjeździe kapitana Meraka do szpitala. Z obydwóch bataljonów nazajutrz został sformowany III-ci bataljon 25 pułku piechoty, pod dowództwem kapitana Bogaczewicza.

Kompanje objęli w nowo sformowanym bataljonie następujący oficerowie:

Porucznik Studziński Franciszek objął, dowództwo 9-tej kompanji.

Podporucznik Łukasiński Konrad, objął dowództwo 10-tej kompanji.

Porucznik Małachowski Stanisław, objął dowództwo 11-tej kompanji.

Porucznik Budzoń Józef, objął dowództwo 12-tej kompanji.

Podporucznik Salwik Aleksander, objął dowództwo 3-ciej kompanji karabinów maszynowych.

Pułkownik Zienkiewicz, mając swoich oficerów, starszych rangą i wiekiem, za wszelką cenę chciał odebrać podporucznikowi Łukasińskiemu i mnie kompanje, aby dać je swoim oficerom, którzy pomimo starszego wieku i wyższej rangi, dotychczas

na froncie nie byli, czemu sprzeciwił się kapitan Bogaczewicz i kategorycznie zażądał od dowódcy pułku pozostawienia mu jego dowódców kompanji, którzy przetrwali z nim szczęśliwie półroczny pobyt na froncie. Nigdy może kapitan Bogaczewicz nie bronił w życiu z takim uporem swych spraw osobistych, z jakim bronił sprawy swych pokrzywdzonych dowódców kompanij, którzy przetrwali z nim szereg szczęśliwych i zwycięskich bitew, to też dowódca pułku ustąpił i pozostał wyżej podany skład oficerów III-go bataljonu.



3-cia kompanja karabinów maszynowych 25 p. p. po powrocie z frontu i uformowaniu w Zagórz, ze swym dowódcą podpor. Aleksandrem Salwikiem.

Rozpoczął się gorączkowy okres wyszkolenia i przeglądów tak, że od rana do nocy oficerowie nie opuszczali swych kompanij, co przyczyniło się do tego, że po paru dniach bataljon wyglądał, jak stary, zgrany oddział bojowy.

10 sierpnia bataljon wyruszył na granicę niemiecką, gdzie pełnić służbę i uzupełniając wyszkolenie, przebywał bez przerwy do dnia 16 grudnia 1919 roku, w którym to czasie został wycofany do Częstochowy i odjechał na front bolszewicki. Bataljon był rozmieszczony na granicy kompanjami: w Bolesławcu, Wieruszowie i Prażce, jedna tylko kompanja przebywała z dowódcą bataljonu w Wieluniu. Przyzwyczajeni na froncie do

obowiązkowości, żołnierze pełnili służbę na granicy bardzo gorliwie, łapiąc często kontrabandy, szpiegów, a nawet żołnierzy niemieckich, którzy w nocy bez usprawiedliwionej przyczyny granicę przekraczali, tak, że na granicy zapanował ład i porządek wzorowy. Ludność miejscowa i okoliczna odnosiła się do żołnierzy bardzo życzliwie, goszcząc w swych progach oficerów, podoficerów i żołnierzy.

Najżyczliwiej względem żołnierzy było usposobione społeczeństwo miasteczka Wieruszowa, gdzie przy współudziale miejscowej obywatelki p. Stefanji Przybylskiej zawiązał się Komitet Opieki nad Żołnierzem Polskim, który to Komitet, pracując nader intensywnie, zaopatrywał żołnierzy w różne drobiazgi, jak czystą bieliznę, mydło, prowadził oświatę, urozmaicaną rozrywkami w postaci teatru amatorskiego i zabaw tanecznych, podczas których żołnierze tańczyli ochocz z nadobnemi wieruszowiankami, często do późnej godziny. Ten miły, pełen przyjemności dla żołnierzy pobyt w Wieruszowie, przeminał szybko, jak sen złoty, i wkrótce żołnierze pożegnali swych szczerych współbraci szykując się do wyjazdu na krwawe pola walk, dokąd rozkazy wzywały cały 25-ty pułk piechoty.

Pomimo że miasteczko Wieruszów, po zbombardowaniu go w maju 1919 roku, przez Niemców, miało wygląd miasteczka, które przeszło silne trzęsienie ziemi, to jednak życie w niem nie zamarło, a przeciwnie biło silnem tętnem życzliwości i przywiązania do ukochanych przez siebie żołnierzy, tak, że przy pożegnaniu żołnierze, jak i ludność cywilna miała smutek na twarzy.

6 grudnia 1919 roku kompanje wymaszerowały ze swych miejsc postoju i po zebraniu się w Wieluniu, cały bataljon odmaszerował do Częstochowy, gdzie był wyznaczony punkt zborny pułku, przed wyjazdem na front. W Częstochowie ruch pannał wielki. Kompanje pobierały pośpiesznie rynsztunek i umundurowanie, uzupełniając posiadane braki. Jak zwykle w takich razach, zaczęły się różne inspekcje i przeglądy. Nadszedł wreszcie rozkaz do wyjazdu. W przeddzień wyjazdu na front, w niedzielę dnia 16 grudnia, odbyła się wielka rewja wojskowa, na placu przed Klasztorem Jasnogórskim, zakończona defiladą przed dowódcą pułku i dowódcą garnizonu; pułkownikiem Aleksandrowiczem. Przeor Klasztoru Jasnogórskiego, Ojciec Paulin Markiewicz Piotr, dołożył wszelkich starań, by uroczystość pożegnalna pułku wypadła okazale i uroczystie. Nader miłym niezapomnianym dla mnie pozostał w pamięci moment udzielenia

wszystkim oficerom pułku błogosławieństwa, przed wielkim ołtarzem Klasztoru Jasnogórskiego, przez Ojca Paulina Łasińskiego Aleksandra, który błogosławiąc odjeżdżających na front oficerów, ze wzruszenia miał oczy pełne łez. Ksiądz Bolek, kapelan pułku, wygłosił w tym dniu bardzo podniosłe, okolicznościowe kazanie i na tem uroczystość została zakończona. Po uroczystości, jak zwykle, odbyło się wspólne zdjęcie fotograficzne wszystkich oficerów pułku, by uwiecznić na zawsze tych, którym los nie pozwoli wrócić, z tych krwawych zmagających po wojnie. Wspólny obiad całego korpusu oficerskiego zakończył uroczystość dnia tego, podczas którego wznoszono toasty i okrzyki na cześć dowódców i przyszłych zwycięstw.

ROZDZIAŁ XII.

Wyjazd na front i pobyt na pozycjach nad rzeką Uborć.

Nazajutrz zrana pułk wyjechał z Częstochowy na front bolszewicki, przez Kielce, Dęblin, Kowel, Sarny, do Olewska. III bataljon kapitana Bogaczewicza z Olewska odjechał do stacji kolejowej Skała, gdzie został wyładowany, i kompanje wprost z pociągu odmaszerowały na pozycje, obsadzając bardzo duży odcinek kompanjami: w Olewsku, Rudni Radowelskiej i Suszczanach, nad rzeką Uborć, która nie dawała żadnej obrony w tym czasie, gdyż była zamarznięta całkowicie i dostępna w każdym miejscu do przejścia.

Dowództwo pułku mieściło się w tym czasie w Żużewiczach, a kapitan Bogaczewicz z dowództwem bataljonu i kompanją odwodową przebywał w majątku Skała, u p. Bułhaków.

Zima w tym czasie była nader dokuczliwa. Bezludne prawie okolice, wśród dzikich i bagnistych lasów, zawiane mocno śniegiem, utrudniały pracę wywiadowczą, jaką w tym czasie bataljon prowadził bardzo intensywnie, gdyż z nieprzyjacielem kontaktu nie było. Bolszewicy, obawiając się akcji wypadowych z naszej strony, trzymali się zdala, tak, że we wsi Zamysłówicze, oddalonej od Suszczan o 20 kilometrów, spotykały się zaledwie nasze patrole z bolszewickimi. Bolszewicy większymi siłami obsadzali dopiero Korosteń.

Święta Bożego Narodzenia przeszły żołnierzom ponuro i smutno, na tem bezludziu, wśród bezbrzeżnych lasów, roznośzących echo wycia zgłodniałych wilków, które do tego stopnia były rozzuchwalone i zgłodniałe, że rzucały się często na żołnierzy stojących na czujce, lub patrolujących przedpole. Ofiarą tych żarłocznych i zgłodniałych bestyj padł patrol kawaleryjski, złożony z trzech ułanów, którzy doszczętnie zostali pożarci wraz z końmi, przez większe stado wilków. Więcej przebiegłe w tym czasie były lisy, które zgłodniałe wskakiwały gromadami na wozy przykuchenne i wylapywały z nich mięso. Te zgłodniałe zwierzaki w tym czasie, były raczej podobne do obłaskawionych

kotów, niż do dzikich i płochliwych zwierząt tych olbrzymich lasów. Nie lepiej działo się w tych nędznych okolicach i żołnierzom. W zniszczonej i bezludnej okolicy, nie można było nic kupić dla wojska, więc skoro transporty na czas żywności nie dowiozły, także i żołnierze nic do jedzenia nie otrzymywali, prócz obietnic, że wkrótce transport nadejdzie i że dostaną, co im się należy.



Dowódca 25 p. p. pułkownik Zienkiewicz Michał objężdża w towarzystwie ks. kapelana wojskowego Bolka pozycję pułku nad Uborcią, składając żołnierzom życzenia świąteczne.

Siedzą: 1) pułk. Zienkiewicz Michał, 2) ksiądz kapelan Bolek, 3) ś.p. por. Czajkowski Józef.

Pamiętnym dla mnie na całe życie pozostanie Wieczór Wigilijny, 1919 roku, spędzany z moimi żołnierzami na reducie w Suszczanach. Na rano tego dnia, żołnierze otrzymali kawę bez cukru i resztki pozostałych sucharów. Na obiad i na kolację wigilijną nie dostali nic, co jednak nie popsło im zbytnio humorów. Może tak udawali, gdyż śpiewając wieczorem kolendy, przy małych drzewkach tradycyjnych, które poumieszczali sobie w ziemiankach, mieli miny wesołe i beztroskie. Pokrzepieni na duchu modlitwą i odśpiewaną kolendą, spędzili żołnierze tę noc wigilijną szczęśliwie na placówkach i patrolach, a gdy nazajutrz obchodziłem ziemianki w Suszczanach, łamiąc się opłatkiem, i składałem żołnierzom serdeczne życzenia, abyś-

my szczęśliwie doczekali lepszych czasów i powrócili do domowych ognisk, gdzie oczekują nas z utęsknieniem rodziny. Dziękowali mi szczerze, mając miny rozweselone, i mówili, że jeszcze nie jest im tak źle, choć śniadania i obiadu, w pierwszy Dzień Świąt Bożego Narodzenia, również nie otrzymali, wskutek nadmiernych zasp śnieżnych, które uniemożliwiły dowóz prowiantów do bataljonu.

O godzinie 16-tej, pod wieczór w pierwszy Dzień Świąt, nadjechały wreszcie upragnione transporty żywnościowe, przywożąc poza jedzeniem łakocie i podarunki świąteczne dla żołnierzy. Najadłszy się do syta, po dwudniowym poście, żołnierze czuli się teraz naprawdę całkiem dobrze, to też oglądając ciepłą bieliznę i swetry, które otrzymali jako podarunki świąteczne, śpiewali kolendy tak głośno w ziemiankach, aż ich dowódcy musieli do uspokojenia się przywoływać, gdyż wszelkie zakłócanie spokoju i ciszy na wojnie, utrudnia pracę placówkom i czujkom, które muszą w każdej chwili na wojnie dobrze nasłuchiwać, by podczas nocy wróg zniemacka nie napadł na odpoczywających żołnierzy, co ma bardzo częste zastosowanie na wojnie.

Tych Świąt nie zapomnę nigdy w życiu i błogosławić je będę, jako jeden z najlepszych momentów mego życia, bo miałem możliwość, choć o głodzie i chłdzie, spędzić je w gronie naprawdę oddanych mi, szczerych i pełnych poświęcenia żołnierzy. Siedząc długo tej nocy, myślałem ponuro o domu dalekim i o drogich mi, szczerych Istotach, od których otrzymałem moc listów z życzeniami. Niczem mi były jednak te życzenia od kochanych mi i szczerych osób, w porównaniu z bezgranicznym poświęceniem się mych żołnierzy, którzy o chłdzie i głodzie, pędząc narażony w każdej chwili na śmierć lub kalectwo żywot, cierpieli, z wewnętrznym zadowoleniem i rozkoszą myśląc, że to dla Polski, Ich Wolnej Ojczyzny.

Niema na wojnie dla dowódcy, rzeczy droższych, ponad poświęcenie, oddanych mu, dzielnych żołnierzy, gotowych w każdej chwili na rozkaz dowódcy, złożyć swe życie w ofierze, gdyż tylko tacy żołnierze naprawdę zawsze zwyciężają, lub jeżeli się im to nie uda, schodzą jako bohaterowie do grobu, za sprawę swej Ojczyzny, bo taki jest los i przeznaczenie Polskiego Żołnierza, stojącego na straży potęgi swojego kraju, znajdującego się zawsze wśród powodzi wrogów.

Może zanadto uczuciowym jestem w tym wypadku marzyicielem, lecz usposobienia i duszy człowiek nie zmienia. Odległe lata z czasów krwawych walk, poświęcenie mych żołnierzy i rozsiane ich po różnych zakątkach, zrównane z ziemią mogiły.

stoja mi tak żywo w pamięci i przed oczyma, że jak Polska długa i szeroka, trafiłbym do każdej drogiej mi mogiły, poległego Towarzysza Broni, lub swego żołnierza w dzień, czy w nocy, nie tylko w Wileńszczyźnie, pod Baranowiczami, nad Horyniem, Słuczą, Styrem, Stochodem, Bugiem, czy inną rzeką, lecz nawet odnalazłbym miejsca tych „Drogich Mogił”, na dalekich polach Ukrainy, czy też w okolicach Bobrujska. Każda mogiła dobrego żołnierza, to duża część wyrwanego serca jego dowódcy i towarzyszy broni.

Po świętach, coraz bliżej wiosny, której przybycia żołnierz z utęsknieniem wyczekuje na wojnie, czas upływał monotonnie i ponuro, na tem bezludziu. Przez długie dni pobytu na tym froncie nie słyszeli żołnierze kanonady armatniej, czy też warkotu samolotu nierzyjacielskiego. Jediną rozrywką na tej ponurej pozycji były częste wyprawy patroli, na które żołnierze często chodzili, przyprowadzając czasami pochwyconych jeńców.

Pomimo że najlepszymi patrolowcami w bataljonie kapitana Bogaczewicza byli podporucznicy: Łukasiński Konrad i Koppel Henryk, to jednak w wyścigu bohaterskich czynów nie mogli wyprzedzić porucznika Studzińskiego Franciszka, powszechnie „Franusiem” zwanego. Nieustraszony i doświadczony zarazem ten oficer, posiadając nader oddanych sobie i bohaterskich podoficerów i żołnierzy, wychodził niejednokrotnie na patrole, po kilkadziesiąt kilometrów na tyły nieprzyjacielskie, napadając z nienacką na nieubezpieczone oddziały nieprzyjacielskie. W jednej ze swych wypraw na tyły bolszewickie, po przejściu Zamyśłowicz i Biełokorowicz, porucznik Studziński z całą kompanją zapuścił się aż pod Korosteń i napadając na oddziały nieprzyjacielskie w nocy, rozbijał je, siejąc strach na tyłach bolszewickich. Szczęście sprzyjało mu w tej trzydniowej akcji, gdyż zatrzymując się w lasach i polach pod gołym niebem, powrócił szczęśliwie, wioząc paru rannych swoich żołnierzy na wozach, jak również sam był w dużych tarapatach, gdyż miał płaszczyznię w dwóch miejscach przestrzelony kulami karabinowymi, podczas ostatniej potyczki nocnej z bolszewikami. Pominąwszy niebezpieczeństwo, jakie im groziło podczas pobytu na tyłach bolszewickich, również podróż powrotną mieli nie do pozazdroszczenia. Rozpoczęła się odwilż wiosenna i porucznik Studziński z całą swoją kompanją powracając do Suszczan, musiał miejscami przechodzić po pas w wodzie, by przebyć zalane wodą okolice.

Podczas pobytu pułku na pozycjach nad rzeką Uborć, większych walk nie było, poza utarczkami patroli, które często wyruszały na przedpole. Napatrzył się jednak człowiek w tej

okolicy na tak nadmierną nędzę i zgryzoty ludności cywilnej, obszarów przyfrontowych, że to wystarczyło za najcięższe boje. Gdy zjawił się we wsi patrol, lub oddział polski na przedpolu, obstępowała go wynędzniała ludność tej okolicy, prosząc o chleb, sól i zapalki, ofiarowując za to w pierwszej mierze wiadomości o nieprzyjacielu t. j. bolszewikach, których nienawidzili gorzej jak zarazy, za tę nadmierną nędzę, jaką im grabieżami i nadmiernymi rekwizycjami zgotowali. Wynędzniali z głodu i chorób, mieszkańcy po stronie bolszewickiej opowiadali ze smutkiem, że funt soli u nich kosztuje 400 rubli, pud mąki 3000 rubli i że tych kosztownych artykułów pierwszej potrzeby nie można dostać na miejscu, a wyjeżdżać z wiosek nie wolno, to też czuły na nędzę ludzką żołnierz polski oddawał nieraz tym nieszczęśliwym ostatni swój kawałek chleba, pocieszając ich, że wojna niedługo skończy się i że nastaną dla nich lepsze czasy.

Nie zapomnę nigdy w życiu jednego momentu nędzy ludzkiej we wsi Zamysłowicze, dokąd udałem się na patrol wraz z podporucznikiem Łukasińskim, na czele 30-tu żołnierzy. Bolszewicy przebywali na pozycjach za wsią i wieś była wolna od ich oddziałów. Po ubezpieczeniu wsi, trzeba było odpocząć, po dwudziestokilometrowym marszu, przez lesiste zasy pyłne, to też wstąpiliśmy do jednej z ubogich chat wiejskich, przy wylocie ze wsi, by chwilę wypocząć i ogrzać się. Na skromnym pościu, a raczej barłogu leżały trzy osoby chore na tyfus, tak wynędzniałe, że litość brała patrzeć na tych nieszczęśliwych. Do wspomnianej izby przychodzili ze wsi sąsiedzi, którzy wskazując ze smutkiem na leżących, nieprzytomnych od gorączki i głodu mieszkańców, mówili, że prawie w całej wsi nie dzieje się lepiej. W międzyczasie do izby weszła młoda jeszcze kobieta, lecz bardzo wynędzniała, i trzymając przy piersi, dwu lub trzyletnie dziecko, które z nędzy i głodu było raczej podobne do trupa, niż do żywego człowieka, przysłuchiwała się rozmowie, zapytując nieśmiało, kiedy wreszcie skończy się wojna. Wynędzniałe jej dziecko ze spuchniętym od głodu brzuchem, obracało powoli swą osłabioną głowę, osadzoną na długiej, cienkiej szyi, rozglądając się wkoło po obecnych. Na zwróconą przezemnie uwagę kobiecie, jak mogła do tego stopnia zagłodzić swe dziecko, odpowiedziała z rezygnacją i smutkiem, że niema na to rady i że wołałaby, gdyby umarło, tak jak już jej dwoje poumieralo, przynajmniej nie męczyłoby się tak, jak musi cierpieć teraz wśród nędzy i głodu. Podczas tego przykrego opowiadania, dziecko nawpół sennie, bawiło się wynędzniałą piersią matczyną, szukając w niej odrobiny pożywienia. Zdjęty litością nad

tą nieszczęśliwą dzieciną, nie myślałem o swem drugim śniadaniu i poleciłem ordynansowi oddać jakąś zeschlą bułkę wspomnianej kobiecie, by nią nakarmiła zgłodniałe i wyniszczone dziecko. W chwili, gdy ordynans zbliżył się do kobiety, wynędzniałe i senne dziecko, jakby odżyło na widok pożywienia i z taką siłą, jak dziki zwierz rzuciło się w stronę ordynansa, wrywając mu z ręki podawaną bułkę, że omal nie wypadło na ziemię z rąk matki. Nie jadło pochwyconej bułki, a pragnęło ją pożreć od razu całą, chwytając za nią osłabionemi ustami, trzymając ją przy ustach, jak krogulczemi szponami, wynędzniałemi i kościstemi paluszkami, obu rąk. Obserwując to nieszczęsne dziecko, miałem wrażenie, że zgłodniały i dziki zwierz rzucił się na pochwyconą przez siebie zdobycz. Nic dziwnego. Zwierz jest dziki, bo w dużych lasach często głodny poluje na swą zdobycz, którą rozdziera i pożera łapczywie z dzikim instynktem kwiożeczności — dlaczego więc nie ma dziczyć człowiek, któremu głód dokucza straszliwy?

W tym że dniu na skutek przygotowywania powstania na tyłach bolszewickich przez szlachtę zaściankową, wyruszył patrol por. Pluty-Czachowskiego, który z 15 żołnierzami z Rudni Suszczańskiej dotarł do Sławeczna, oddalonego o 35 kilometrów, zdobywając jeńców, rozpoznał siły i pozycję nieprzyjaciela. Na skutek tego 1 kompanja por. Śledzikowskiego, przy pomocy por. Rakowieckiego i patrolu por. Pluty-Czachowskiego, tejże nocy wykonała wypad, zdobywając Sławeczno, oraz biorąc 13 jeńców i zdobycz wojenną.

10 stycznia 1920 roku, zbliżał się prawie miesiąc czasu, od chwili wyjazdu pułku z Częstochowy, na front, a żołnierze nie byli od tego czasu kąpani, z braku łaźni. Funkcjonował wprawdzie na linii kolejowej Sarny — Olesk — Równe, w pewne dni pociąg kąpielowy, w którym możnaby wykąpać żołnierzy, lecz ściąganie żołnierzy z frontu i wysłanie do kąpeli 20 kilometrów, było na froncie rzeczą wprost niemożliwą, to też znalazła się i na to rada. Pomimo że Suszczany były doszczętnie zbombardowane i zrównane z ziemią przez bolszewików, to jednak posiadały jeszcze dwie chaty całe, w których mieściło się dowództwo mej kompanji i porucznika Studzińskiego, oraz pozostała jeszcze jedna chata nawpół rozwalona przez pocisk armatni, którą z wierzchu kazałem nakryć deskami i przysypać ziemią, by nie przepuszczała pary, poza tem plutonowy Trybuła, który był zdunem z zawodu, wybudował piec z kamieni i gliny, w podłodze żołnierze wywiercili parę dziur, by woda brudna wypływała pod podłogę i dalej na podwórko, i powstała taka łaź-

nia parowa, która dawała gwarancję wykąpania 30-tu żołnierzy w ciągu godziny, bez pośpiechu. Wodę do tej łaźni grzał kucharz po ugotowaniu obiadu w kuchni polowej i wlewał do łaźni, przez rynną drewnianą, którą ściekała do beczki, skąd ją żołnierze czerpali do kąpania się, polewając gorące kamienie wodą, które dostarczały przyjemną do kąpieli parę. Sam osobiście wykąpałem się kilkakrotnie we wspomnianej łaźni i byłem z kąpieli całkiem zadowolony, tak, że byłem bardzo rad ze swego pomysłu, który poza rozrywką na froncie, dał mi możliwość wykąpania swych zuchowatych brudasów, nie z własnej ich winy, a z obowiązku służby frontowej.

ROZDZIAŁ XIII.

Na froncie pod Lubarem.

24 stycznia 1920 r. kompanie otrzymały rozkaz przygotowania się do odmarszu. Zawrzała praca w kompaniach, jak zwykle przy takiej zmianie. Dowódcy kompanii czynili przeglądy broni, amunicji i rynsztunku, upominając żołnierzy, by czegokolwiek nie pozostawili, przy opuszczeniu pozycji. O godzinie 16-tej przybył do Suszczan bataljon 10-go pułku piechoty i zluzowane kompanie bataljonu kapitana Bogaczewicza odmaszerowały do Skały, gdzie zostały załadowane do transportów kolejowych i nazajutrz bataljon odjechał przez Olewsk — Sarny — Szepetówkę do Polonnego, skąd marszem pieszym wśród zawiei śnieżnej i silnego mrozu odmaszerował do Boruszkowic, pod Lubarem, gdzie został zakwaterowany.

W Boruszkowcach tyfus plamisty grasował nader złośliwie. Nietylko Boruszkowce, lecz cała okolica była nawiedzona tą straszną chorobą.

Prawie wszystkie domy w wioskach były oznaczone słomianymi wiechami, lub napisami, zwiastującymi w tych domach chorobę, do których żołnierzom nie wolno było wchodzić, by ich uchronić przed zarażeniem się. Lekarz baonu przeprowadzał dezynfekcję poszczególnych izb, w których zostali umieszczeni żołnierze, całkowicie izolowani, od ludności cywilnej, lecz i to nie pomagało, gdyż o ile żołnierz polski jest nadzwyczaj obowiązkowy i chętny do boju, i na rozkaz dowódców idzie bez załamania się do ciężkich i krwawych szturmów, gdzie zwycięża, to jednak żaden rozkaz nie utrzyma go, by nie poszedł, gdy we wsi jest gdzie ładna dziewczyna. Wyszuka ją i odnajdzie, gdyby ją matka na piec, lub do komory schowała, i będzie przy niej spędzać wszystkie wolne chwile czasu. Nie pomogą na to wysyłane patrole, do aresztowania wałęsających się żołnierzy, bo i patrol przystanie i pogłaska dziewczuchę pod brodę, jak do niego w miłym uśmiechu, taka „krasawica,, wyszczerzy swe brudne, nigdy nie czyszczone zęby.

Nie tyle może pociąga żołnierza uroda dziewczyny, ile nadmierna nuda życiowa, po dłuższem osamotnieniu w okopach, gdzie żołnierz przebywa nieraz długie dnie, wyłącznie w towarzystwie swych kolegów, ubranych w mundury, tak samo jak on zasępionych, gdyż każdy dzień na wojnie jest tak podobny do poprzedniego, przepełniony nieprzespanymi nocami i wciąż czochającym niebezpieczeństwem. To też szukając w życiu urozmaïcenia, na parę chwil przed śmiercią, spacerował żołnierz podczas pobytu w odwodzie wieczorami z brudnymi dziewczynami, gdyż w Boruszkowcach łaźni nie było, i tulił się serdecznie do brudnego, pełnego nieraz robactwa kożucha, który w połączeniu z łapciami, był w tych okolicach wówczas przeważnie używanym strojem, nadobnych dziewoi, a zarazem rozsądnikiem tej strasznej choroby. Nie przerażało to zbytnio tych dzikich bohaterów, jakimi byli nasi żołnierze, którym lekarz pułkowy wygłaszał pogadanki o skutkach tyfusu i sposobie uchronienia się przed nim, gdyż spacerowali nadal poza wsią i opłotkami. Widocznie sprawiało im to przyjemność — a może czuli się dobrze, jak niegdyś na spacerze w Alejach Ujazdowskich, lub Promenadzie, z nadobnymi warszawiankami. Skutki lekomyślności żołnierzy nie dały długo czekać na siebie. Nieubłagana choroba poczęła gnębić żołnierzy. Z bólem serca spoglądałem nieraz, jak do lekarza bataljonu przyprowadzali sanitariusze, chorych na tyfus żołnierzy. Nieprzytomny ich wygląd od nadmiernej gorączki wzbudzał litość nad nimi. Odjeżdżali często do szpitali wojskowych chorzy na tyfus żołnierze, którzy prze-trwali wszystkie od początku boje bataljonu i których prawie że się kule nie miały w bojowych zawieruchach, i tych najwięcej mi było żal. Dużo ich wówczas chorych na tyfus do szpitali wojskowych wyjeżdżało, wślad za którymi przychodziły często do bataljonu zawiadomienia o śmierci i miejscu wiecznego spoczynku tych nieszczęśliwych, którym nie było sądzone powrócić z wojny, lub przynajmniej polec w walce na placu boju.

Obchodząc codziennie kwatery żołnierskie, oraz kontrolując obecność podczas dnia i nocy swych żołnierzy, upominałem i rozkazywałem, aby trzymali się zdala od ludności cywilnej, co wkońcu poskutkowało, gdyż choroba przestała gnębić żołnierzy. Zdarzały się już potem tylko pojedyncze wypadki zachorowań i to prawdopodobnie chorowali niepoprawni z pośród tych lekko-myślnych, którzy swym chłopskim rozumem twierdzili, — że, „co ma wisieć, nie utonie”, a warto dziewczuchę jeszcze chociażby raz przed śmiercią przytulić i wycałować.

Prawie codziennie miejscowy pop wyprowadzał na pobliski cmentarz kogoś ze zmarłych swych parafjan. Pomimo że był to człowiek ograniczony, z braku towarzystwa, lubiłem spędzać wolne chwile czasu w jego towarzystwie, obserwując, jak po powrocie z pogrzebu, najsampierw żona i córka odkażały batuszkę przy pomocy dwóch rozpylaczy płynem dezynfekcyjnym, poczem pop zdejmował płaszcz i wchodził do pokoju, gdzie prowadziliśmy długie rozmowy na temat obecnych czasów. Pomimo że pop miał bardzo wielki strach przed bolszewikami i nienawidził ich z całego serca, jako głównych sprawców nieszczęścia inteligencji rosyjskiej, to jednak widać było u niego wielki smutek z powodu zwycięstw żołnierza polskiego. Wolałby on prawdopodobnie widzieć potęgę i wpływy nadal Rosji na tych odwiecznych ziemiach polskich, na straży których stały wówczas karne i liczne szeregi wojska polskiego.

W tym czasie na odcinku Lubar — Prywałówka było spokojnie. Kontaktu bliższego z nieprzyjacielem nie było. Wysyłane często patrole, staczały walki z patrolami bolszewickimi na przedpolu. Bolszewicy trzymali się zdala od rzeki Słuczy i obsadzali dopiero linję: Bratałów, Awratyn, Kutyszcze i inne, wycofując się pośpiesznie na wschód, pod naporem oddziałów polskich, które w tym czasie urządzały częste wypadu na przedpole.

13 lutego 1920 roku kapitan Bogaczewicz przeprowadził głęboki wypad na tyły nieprzyjacielskie, do miejscowości: Kowalenki i Matronki, które znajdowały się około 20 kilometrów na południowy wschód od Lubaru, i miejscowości te zdobył bez boju, gdyż oddziały nieprzyjacielskie wycofały się na wschód, obawiając się oskrzydlenia przez sąsiednie oddziały wojsk polskich, które w tym dniu prowadziły głębokie wypadu na prawo i lewo od bataljonu kapitana Bogaczewicza. Bataljon powracał z wypadu bez humoru i zadowolenia, a co najważniejsze, bez zdobyczy wojennej, gdyż bolszewicy wycofali się na linję: Troszcza — Karpowce i do walki z nimi nie doszło. Powracający po błotnistym terenie do Lubaru, żołnierze opowiadali sobie jedynie, jak strzelali wyłącznie do oddalonych patroli nieprzyjacielskich, wycofujących się pośpiesznie.

O godzinie 21-szej tegoż dnia bataljon powrócił z wypadu do Boruszkowic zmoknięty i zabłocony, poczem po przespanej nocy nastały dla żołnierzy dni jak zwykle, jednostajne i monotonne, urozmaicane ćwiczeniami i przykrym widokiem nie znikających pogrzebów, nieszczęsnych mieszkańców, których straszna choroba tyfusu dziesiątkowała nadal bez przerwy. Wkrótce je-

dnak czasy nastąpiły lepsze. Zbliżała się wiosna i słońce poczęło przygrzewać mocniej. Żołnierze wygrzewali się na słońcu i front zaczął odżywać. Niedostatecznie ubrani i nawpół bosi żołnierze bolszewicy zaczęli wychodzić również na światło dzienne ze swych zimowych pieleszy i na froncie rozpoczęła się intensywniejsza działalność patroli i grup wypadowych. W związku z tem dowódca pułku podciągnął bataljon kapitana Bogaczewicza bliżej frontu.

19 lutego bataljon kapitana Bogaczewicza przeszedł z Boruszkowic do wsi Demkowce, na zachód od Lubaru, jako obwód ruchomy do działania na Lubar i Prywałówkę. W Demkowcach czasy dla żołnierzy nastały lepsze. Wieś czysta, o dużych słonecznych izbach, była wolniejsza od chorób, pomimo, że tyfus i ospa grasowały tu również. Czyste i wygodne kwatery oraz z każdym dniem poprawiająca się pogoda, poprawiły humor żołnierzy. Po otrzymaniu uzupełnienia z bataljonu zapasowego i nowych ręcznych karabinów maszynowych, rozpoczęła się w bataljonie gorączkowa praca wyszkoleniowa, tak, że przy ćwiczeniach i strzelaniu z otrzymanych karabinów maszynowych, czas upływał szybko. We wszystkich kompaniach panował wówczas wyścig pracy, jakby przeczuwali wszyscy, że z nastaniem wiosny rozpoczną się dalsze krwawe zmagania, do których trzeba mieć żołnierza i sprzęt należycie przygotowany, by wyjść z tych działań, jak dotychczas zawsze zwycięsko.

W związku z ożywieniem się frontu, które stwarza często walczącym niespodzianki, Dowództwo Armji zarządziło przychwycenie jeńców, by zbadać zamiary nieprzyjacielskie. W związku z tem generał Romer zarządził wypad na Wyszczykusy, całym bataljonem, wraz z baterją artylerji, z zadaniem oskrzydlenia nieprzyjaciela we wsi i przychwycenia jeńców.

27 lutego 1920 roku, świeżo przydzielony zastępca dowódcy 25 pułku, major Rissy Robert, poprowadził wspomniany wypad niewłaściwie. Pomimo dużej wiedzy wojskowej i doświadczenia, major Rissy nigdy nie przeprowadzał wypadów i nie rozumiał należycie, czego generał Romer żąda od niego. Poprowadził tedy po przepaścistych bagnach, wśród roztopów wiosennych, II-gi bataljon 25 pułku wraz z baterją armat pod Wyszczykusy i rozpoczął silny ogień na wieś artylerji i karabinów maszynowych, miał obejść wieś i uderzyć do szturm na bagnety. Wysłane przez majora Rissego patrole stwierdziły, że nieprzyjaciel wycofał się ze wsi. Major Rissy był zadowolony ze spełnionego zadania, a wypad chybił celu. Generał Romer, przebywając od rana w Lubarze, czekał na wyniki wypadu i na jeńców, słysząc

tedy kanonadę artyleryjską na przedpolu zacierał ręce z zadowoleniem, będąc pewnym, że wypad udał się należycie i że otrzyma jeńców. Po niespełnionem zadaniu bataljon powracał do Lubaru, cały zabłocony. Konie po kolana w błocie, ciągnęły z trudem oblepione doszczętnie błotem armaty. Nikt nie przypuszczał, że armaty pod Wyszczykusami strzelały nieprzyjacielowi na postrach, by prędzej zmykał ze wsi, to też wszyscy oczekiwali powrotu bataljonu z niecierpliwością, by ujrzyć sukcesy wypadu. Na widok powracającej kolumny, generał Romer wyciągnął mapę i oglądając ją z zadowoleniem, przyglądał się powracającym zabłoconym żołnierzom, poczem po wysłuchaniu raportu majora Rissego o powrocie z wypadu zapytał: „Ilu ma pan jeńców?” Na otrzymaną odpowiedź, że niema ich wcale, generał Romer zmarszczył brwi i zapytał: „Ilu bataljon ma zabitych?” Gdy usłyszał, że nie ma ich wcale, po wysłuchaniu relacji z wypadu, generał Romer wyraził wielkie niezadowolenie, mówiąc w przenośni, że „żałuje tego wypadu, bo gdyby wysłał na patrol kaprała z trzema żołnierzami, toby mu napewno jeńca przyprowadził”. W ogólnem niezadowoleniu generał Romer odjechał, rozkazując dowódcy pułku, pułkownikowi Zienkiewiczowi przeprowadzić w najkrótszym czasie jeszcze jeden wypad osobiście, by przychwycić jeńców. Wprowadzie wypad mógłby się być udać, gdyż porucznik Ptasznik Władysław, doświadczony oficer w akcji wypadowej, radził majorowi Rissemu, by wieś okrążyć i uderzyć na nią przez zaskoczenie, a nie strzelać, gdyż nieprzyjaciel ucieknie i jeńca nie złapie się, lecz major Rissy nie przyjął tej rady i przywołał porucznika Ptasznika do porządku, motywując plan swej akcji tem, — że „wypad to nie jest napad, żeby napaść i bić nieprzyjaciela”.

Po tej przykrej odprawie wszyscy oficerowie czuli się nie-swojsko. Dowódca pułku patrzył na swego zastępcę, niezbyt przyjemnym wzrokiem. Kapitan Bogaczewicz odjechał struty do Demkowic, żałując, że nie jego bataljon był wyznaczony na wspomniany wypad. Z tego wynika, że na wojnie czasami jest też dobrze przyjąć wartościową radę od podwładnego o ile ten posiada zasób wiedzy, doświadczenia i odwagi, tych nieodzownych czynników zwycięstwa.

I znów nastały dni jednostajne i monotonne, podczas których nikt o niczem innem nie rozmawiał, jak tylko o nieudanym wypadzie. Zabłocone patrole krążyły bez przerwy na przedpolu, nadsyłając meldunki o sytuacji bez zmian na całym odcinku. Tak upłynęły trzy dni i nieudany wypad szedł pomału w zapomnienie.

Dnia 1 marca 1920 roku, zebrali się oficerowie bataljonu u kapitana Bogaczewicza na odprawę, gdzie był omawiany szczegółowo plan obrony Prywałówki, gdy przed dowództwo bataljonu zajechał powozem dowódca pułku. Po wejściu do dowództwa bataljonu i wysłuchaniu raportu, dowódca pułku zwrócił się do kapitana Bogaczewicza ze słowami: „Kapitanie! Ratuj honor pułku. Dowódca Armji, niezadowolony z poprzedniego wypadu, polecił mi poprowadzić następny wypad osobiście, który musi się udać”. Miły uśmiech przemknął po twarzy kapitana Bogaczewicza i zwracając się do swoich oficerów, rzekł:

„Uwaga, chłopcy! Dowódca pułku idzie z nami na wypad, który musi się udać. Dalsze rozkazy otrzymacie przed akcją. A teraz odmaszerować do swych kompanji i porobić należyte przygotowania do wypadu”. Oficerowie bataljonu zasłutowali i opuściwszy ze szczerem zadowoleniem dowództwo bataljonu, udali się pośpiesznie do swych kompanij, gdzie czynili przygotowania do wypadu, mając wewnętrzne zadowolenie, że dowódca pułku wyróżnia ich, zwracając się do kapitana Bogaczewicza, ich dowódcy, by ratował honor pułku. Długo w nocy, oficerowie bataljonu kapitana Bogaczewicza raczyli się, wznosząc toasty za powodzenie wypadu, który musi się udać bez względu na opór nieprzyjaciela i straty, bo wypad ten miał dać Dowódcy Armji jeńców i uratować honor pułku.

3 marca 1920 roku, o godzinie 1-szej w nocy, II-gi i III-ci bataljon 25 pułku wyruszyły z Lubaru marszem ubezpieczonym w stronę Wyszczykus. I-szy bataljon pozostał na pozycjach, pod Lubarem.

Po dojściu o świcie pod Wyszczykusy, bez spotkania z nieprzyjacielem, gdyż bolszewicy byli za wygodni, by się należycie ubezpieczyć, kapitan Bogaczewicz zatrzymał bataljon i wysłał podporucznika Bradtkego z plutonem piechoty, oraz dwoma karabinami maszynowymi, na obejście wsi i odcięcie nieprzyjacielowi drogi odwrotu od południa. Po odcięciu bolszewikom drogi odwrotu od strony południowej, bataljon podszedł skrycie, niezauważony przez śpiące posterunki bolszewickie, pod wieś, na odległość 100 kroków, zanim czujka bolszewicka, stojąca przy jednej z chat dała strzał na alarm. Bataljon kapitana Bogaczewicza z okrzykiem „hurra“, rzucił się do szturm na wieś, z chat której wyskakiwali boso i nago, przebudzeni ze snu żołnierze bolszewicy, uciekając w popłochu pod ogniem karabinowym i granatów ręcznych, którymi żołnierze wieś zarzucili. Ta krwawa pobudka, urządzona bolszewikom, przez bataljon kapitana Bogaczewicza o świcie, doprowadziła do całkowitej ucieczki

bolszewików z Wyszczykus, którzy biegnąc bez mundurów, bosiemi nogami, po zmarzniętej grudzie, nie myśleli o obronie, lecz o tem, by jak najprędzej wydostać się do Michajłówki, lub Krasnosiółki, gdzie znajdowały się większe oddziały nieprzyjacielskie. Mając drogę odwrotu odciętą, bolszewicy pozostawili dwie bryczki z zaprzęgiem i końmi, oraz dwa karabiny maszynowe i ratowali się ucieczką w kierunku północno-wschodnim, gdzie usadowiwszy się na wysokiem wzgórzu za wsią próbowali stawić opór. Podbiegły do linii czołowej karabiny maszynowe bataljonu i z sześciu ich luf zionął ogień na wzgórze, po którym jakby przeszedł anioł śmierci. Na wzgórzu zakotłowało się od pocisków karabinów maszynowych, i grad ich bez przerwy padał na tyraljerę bolszewicką, której żołnierze, próbując ratować się, uciekali za wzgórze, lecz skoro tylko który z nich podniósł się, by ratować się ucieczką, padał zpowrotem, przeszyty kilkoma kulami morderczego ognia karabinów maszynowych. Po przygotowaniu ogniomem, bataljon kapitana Bogaczewicza ruszył do szturm na wzgórze za wsią i zdobył je, ścigając ogniem cofające się oddziały bolszewickie, w kierunku na Michajłówkę. Na wzgórzu leżeli nieruchomo zabici, lub miotali się w agonji ciężko ranni. Mniej ranni leżeli spokojnie i prosili o litość, by ich nie zabijać i zaopiekować się nimi. Sanitarjusz bataljonu zakładali im opatrunki, na otrzymane rany. Jeden z żołnierzy bolszewickich, odziany w łachmany, leżał nieruchomo, mając oba kolana strzaskane kulą karabinową, które były podobne raczej do skrwawionych drzazg drzewnych, niż do kolan ludzkich. Sanitarjusz kompanji, starszy strzelec Rywacki, robiąc temu nieszczęśliwemu opatrunek, odnalazł jeszcze jedną ranę w pierśsiach i pytał mnie, co z nim robić, gdyż nie będzie dla niego ratunku. Obok leżeli inni, ranni żołnierze bolszewicy, zakrwawieni i odziani w łachmany, po których łąziło robactwo, błagając o litość, by ich nie zabijano. Pragnęli żyć ci okaleczeni ludzie, co stało się im zadość, gdyż bataljon kapitana Bogaczewicza, pomimo piorunującej siły uderzeniowej w bojach, którą kruszył oddziały nieprzyjacielskie we wszystkich swoich walkach, nie miał zwyczaju mordowania rannych, czego przestrzegał sam kapitan Bogaczewicz i wszyscy jego oficerowie.

Bolszewicy w panicznym pośpiechu cofali się z Wyszczykus, na północno-wschód, w kierunku na Krasnosiółkę i Michajłówkę. Jedynie tylko na prawem skrzydle zabarykowali się w jednej z chat żołnierze czy też komisarze bolszewicy i próbowali stawić nikły opór, strzelając z okien ogniem karabinowym. Nie zwracając uwagi na zimną wodę w małej rzeczce, która odgra-

działa wspomnianą chatę od nacierającego bataljonu, żołnierze po szyję w wodzie przebyli rzeczkę i wezwali broniących się do poddania. Na wezwanie padł jeden strzał, naskutek czego żołnierze zarzucili okna i drzwi granatami ręcznymi. Po odgłosie tłuczonego szkła szyb, nastąpiły silne wybuchy granatów ręcznych i nastała cisza. Bitwa w Wyszczukusach została zakończona i trzeba było ścigać dalej cofającego się nieprzyjaciela, by mu zadać większe straty i rozgromić jego oddziały, w celu przyłapania większej ilości jeńców.

Z wysokiego wzgórza roztaczał się, piękny widok na Krasnosiółkę i Michajłówkę, dokąd uciekając, cofały się nieliczne grupki żołnierzy nieprzyjacielskich. Kapitań Bogaczewicz ocenił sytuację w tym sensie, że tylko energiczny pościg da mu całkowite zwycięstwo i większy sukces, to też nie zwracając uwagi na przemęczenie swych żołnierzy, którzy po kolana w głębokim błocie gliniastem gubili obuwie, zarządził energiczny pościg na Michajłówkę i pobliski las. Bolszewicy po wycofaniu się z Wyszczukus, jak zające poukrywali się w bruzdach i na podorywach, myśląc, że bataljon dalej posuwać się nie będzie, lecz skoro zauważyli dalsze natarcie, zrywali się pojedynczo, lub po paru i próbowali ratować się ucieczką, lecz rozmokły grunt gliniasty chwycił ich za nogi i nie pozwalał im uciekać, jak również blisko za nimi posuwający się żołnierze bataljonu prażyli celnym ogniem za uciekającymi, tak, że wycofanie się ich było bardzo utrudnione. Który z żołnierzy bolszewickich nie chciał zdać się na łaskę zwycięzców, ginął bezapelacyjnie. Paru żołnierzy bolszewickich, więcej wystraszonych, siedziało w brzuchach i poddało się do niewoli, widząc bezskuteczność dalszej ucieczki. Wystraszonych i zabłoconych prowadzili żołnierze do niewoli, nie czyniąc im krzywdy. Wystraszone ich miny mówiły, że nie mają oni czystego sumienia. Przechodzący obok nich żołnierze rzucali im kawałki białego chleba, który jeńcy chwyтали i pożerali łapczywie, uśmiechając się pokornie do żołnierzy. Widocznie więcej byli zadowoleni z dobroćliwości żołnierzy, niż z ich chleba, widząc, że żołnierze nie czynią im krzywdy i nie czeka ich zemsta, jako rewanż za krwawe znęcanie się bolszewików, nad jeńcami polskimi. Jeden z żołnierzy bolszewickich wybiegł z wozu na przedpolu, ciągnąc za sobą karabin maszynowy na kółkach. Wyglądał tak, jakby ciągnął za sobą małe dziecko, które pragnął uchronić przed strasznymi skutkami wojny. Nie pozwolili mu żołnierze ujść bezkarnie, gdyż zasypany ogniem karabinowym, padł gdzieś w bruzdzie, będąc zabitym, czy też kryjąc się przed działaniem ognia karabinowego.

Opodal wycofywał się, kulejąc mocno, wsparty na karabinie, jak na kuli, ranny w nogę żołnierz bolszewicki, oglądając się trwożliwie. Do tego biedaka nie strzelali żołnierze, pomimo że dolatywał kulejąc do pobliskich chat, gdyż wiedzieli, że i tak im nie ujdzie daleko, na swej rannej nodze. Tuż za rannym w nogę bolszewikiem, wycofywało się siedmiu ostatnich przed Michajłówką bolszewików, których chciałem złapać do niewoli jako jeńców, i nie kazałem do nich strzelać żołnierzom, tylko wzywać do poddania się. Odległość żołnierzy do nich nie wynosiła więcej, jak dwieście kroków, tak, że mogli być w każdej chwili zniszczeni ogniem. Wezwania jednak do poddania się nie skutkowały i wymienieni żołnierze bolszewicy, oglądając się trwożliwie, uciekali coraz dalej, zbliżając się do chat, pod osłoną których mogliby się wycofać bezpiecznie. Kapitan Bogaczewicz, widząc uciekających żołnierzy bolszewickich, którzy lada chwila mieli dobiec do wsi, rzucał zdala na mnie gromy, nakazując zatrzymanie uciekających. Wezwałem ich po raz ostatni donośnym głosem do zatrzymania się, naskutek czego cofający się żołnierze bolszewicy, wybiegli na twardą dróżkę polną i biegiem puścili się w stronę wioski. Rozkazałem karabinowi maszynowemu położyć zaporę płaską przed samą wieś, na którą wbiegli uciekający żołnierze bolszewicy, padając wszyscy przeschyci kulami karabinu maszynowego, zięjącego ogniem, z szybkością 500 kul na minutę.

Przed laskiem w rejonie Michajłówki, 9 i 12 kompanje bataljonu zostały zatrzymane silnym ogniem karabinów maszynowych bolszewickich. Kapitan Bogaczewicz nie tracąc chwili czasu, rzucił kompanję 10-tą podporucznika Łukasińskiego, będącą w odwodzie, na prawe skrzydło nieprzyjaciela. Kompanja rzuciła się do szturm i zajęła wieś Michajłówkę, zmuszając broniącego się nieprzyjaciela w lasku do panicznej ucieczki, zadając mu straty, podczas wycofania się po odkrytym lodzie pobliskiego stawu, gdzie nieprzyjaciel, pozostawiwszy rannych i zabitych, porzucił na lodzie jeszcze jeden karabin maszynowy i wycofał się do Krasnosiółki, gdzie stały większe oddziały nieprzyjacielskie, oraz dowództwa.

Po zdobyciu Michajłówki, artylerja i karabiny maszynowe nieprzyjacielskie rozpoczęły silny ogień na lasak i folwark Michajłówkę, oraz z Krasnosiółki wyszło przeciwnatarcie bolszewickie, które zostało zatrzymane na dalszej odległości ogniem karabinów maszynowych. Wysłanym do przeciwnatarcia oddziałom bolszewickim droga nie ubywała. Posuwali się zbyt powoli, wreszcie popadali na ziemię i strzelając, dalej nie posuwali się.

Widocznie nie mieli odwagi ruszyć prawdziwie i zdecydowanie do boju, by zmierzyć się z oddziałami, które w tym dniu dały im tak krewko w skórę.

Przechodząc obok folwarku, zostałem przywołany przez dowódcę pułku słowami: „Panie poruczniku! Niech się pan tu schowa do nas za ścianę, bo jeszcze pana zabiją.“ Przystanąłem tedy na chwilę, obserwując ogień artylerii nieprzyjacielskiej, którym bolszewicy silnie ostrzeliwali folwark Michajłówkę. Jeden z pocisków trafił nieszczęśliwie w ubogi barak folwarczny, w którym zamieszkiwał fornał dworski z matką i żoną. Wraz z potężnym hukiem, trzaskiem granatu i brzękiem wylatujących szyb, dały się słyszeć krzyki i jęki mocno okaleczonych mieszkańców skromnej izdebki. Pobiegłem w stronę zdemolowanego mieszkanka, gdzie oczom moim przedstawił się okropny widok. Na podłodze skromnej izdebki, zasypanej tynkiem i odłamkami rupieci, wił się z bólu młody fornał dworski, któremu pocisk armatni poszarpał obie ręce i pokaleczył głowę. Obok niego z pokaleczoną twarzą leżała jego żona. Po izbie jak opętana, biegła zawodząc matka i trzymała się za głowę. Widocznie starowina też coś oberwała od pocisku armatniego. Przybiegli pośpiesznie sanitariusze i robili opatrunki tym nieszczęśliwym, obmywając im bolesne rany. Artylerja nieprzyjacielska nadal ostrzeliwała las i folwark Michajłówkę, i pociski jej ze świstem i zgrzytem przelatywały nad głowami żołnierzy, którzy zapatrzeni w kierunku nieprzyjaciela, trwali na pozycjach, oczekując na dalsze rozkazy. Szczęśliwi dowódcy, którzy na wojnie, podczas krwawych zmagania, mają niezłomnych i mężnych żołnierzy, gotowych do czynu i poświęceń, gdy tego zachodzi potrzeba.

Po czterogodzinnym odpoczynku w Michajłóвке, bataljony rozpoczęły odmarsz do Lubaru, prowadząc 14 jeńców, cztery zdobyte karabiny maszynowe i dwie bryczki z zaprzęgiem, oraz dużo karabinów ręcznych. Oddziały nieprzyjacielskie nie utrudniały pułkowi odmarszu, posuwając się zdala za pułkiem, bez jednego strzału. Wieczorem bataljon przybył do Lubaru, wśród zawiei deszczowej, przemoknięty i zmęczony, gdzie został zakwaterowany na noc. Pomimo zmęczenia i głodu, gdyż kuchnie polowe kompanijne, nie wiedząc, że bataljon zanocuje w Lubarze, nie przybyły, żołnierze czuli się wybornie. Długo w noc żołnierze nie spali, opowiadając sobie przeżycia z wypadu.

4 marca o świcie kompanje powróciły do Demkowic na swoje kwatery, gdzie po spożyciu śniadania, wyczyszczeniu broni i rynsztunku, zażywały zasłużonego odpoczynku, po przebytych trudach. Przed południem tegoż dnia, oficerowie, podoficerowie

i delegacje żołnierskie, składały szczere życzenia kapitanowi Bogaczewiczowi, gdyż był to dzień jego imienin. W miłym nastroju, przy kieliszku i pogawędce, ucsta imieninowa przeciągnęła się do późnej nocy, podczas której oficerowie składali kapitanowi Bogaczewiczowi życzenia: jak najdłuższego żywota i dalszych chlubnych zwycięstw dla potęgi i chwały Oręża Polskiego, wznosząc puławy za jego zdrowie. A że niema na świecie towarzystwa, któreby się wkońcu nie rozeszło, tak też i oficerowie bataljonu, odchodząc, zaśpiewali na pożegnanie swemu dowódcy: „Sto lat, niech żyje, żyje nam”, co usłyszawszy śpiący żołnierze, powybiegali ze swych kwater i wśród nocy ta pieśń szczerą i serdeczną zabrzmiała w całej wsi, na znak szczerego przywiązania żołnierskiego.



Grupa oficerów pułku, zebrana na odprawie, po wypadzie, na Wyszczykusy, Michajłówkę.

Nazajutrz przed południem odbyła się odprawa oficerska pułku, na której dowódca pułku dziękował kapitanowi Bogaczewiczowi i jego oficerom za udany wypadek dnia poprzedniego, nie mogąc mi zapomnieć zabitych bolszewików pod wsią, podczas pościgu, gdyż według zdania pułkownika Zienkiewicza, mógłbym ich złapać, gdybym chciał, a tak zostali pomordowani ludzie, któ-

rzy może pozostawili żony i dzieci. Pomimo wymówek pułkownika Zienkiewicza, który miał czułe i szlachetne serce i odczuwał boleśnie niedolę nie tylko swego żołnierza, lecz i wroga, czułem, że mam sumienie w porządku. Ciężkie i nieubłagane jest prawo wojny, a w szczególności podczas boju, gdzie zdecydowanie walczą przeciwnicy. Bieda wówczas zwyciężonym i muszą zginąć, gdy nie zdadzą się na łaskę zwycięzcy, który ich wzywa do poddania się.

Tegoż dnia po południu odbył się pogrzeb trzech żołnierzy, którzy polegli w czasie wypadu. Przez ulicę Lubaru kroczył przy dźwiękach orkiestry wojskowej, uroczysty kondukt pogrzebowy, złożony z wojska i patriotycznej ludności miejscowej. W czasie pogrzebu, po raz pierwszy w tym roku, słońce przygrzewało dość mocno i znać było w powietrzu tchnienie wiosny. Wszyscy w tym uroczym dniu czuliby radość i wesele, gdyby nie napawał ich smutek szczerzy, na widok odprowadzanych na wieczny spoczynek poległych młodocianych bohaterów, którzy złożyli życie w ofierze, i spoczęli w ciemnej mogile, po spełnionej do ostatniego tchnienia służbie dla Ojczyzny.

13 marca bataljon wymaszerował z Demkowic, do Prywałówki, gdzie obsadził brzeg rzeki Słucz, stwarzając silną obsadę prawego skrzydła odcinka Lubaru. 10 kompania podporucznika Łukasińskiego obsadziła wieś Iwaszkowice, między Lubarem i Prywałówką, tak, że odcinek bataljonu wynosił 11 kilometrów, mając łączność na lewo z II bataljonem 25 pułku w Lubarze i na prawo z 45 pułkiem Strzelców Kresowych w Ostropolu. Prywałówka leżąca nad samą rzeką na wzgórzu, była opasana rzeką od strony południowo-wschodniej i południowo-zachodniej, mając odrutowania kolczaste od zachodu i północnego wschodu, tak, że nadawała się bardzo dobrze do obrony, lecz długi odcinek bataljonu, wynoszący 11 kilometrów, ułatwiał nieprzyjacielowi łatwe przejście na tyły bataljonu, podczas nocy, wobec czego częste patrole zwiadowcze w ciągu nocy pilnowały brzegu rzeki, bez względu na słoty i niepogody. Bataljon na tych pozycjach, poza utarczkami patroli, większych walk nie miał i pędził żywot wygodnie i bezpiecznie.

Dla ubezpieczenia się przed zaskoczeniem nieprzyjaciela, bataljon wysyłał również częste patrole na przedpole za rzekę Słucz, które prowadziły utarczki z patrolami nieprzyjacielskimi, alarmując często załogę Prywałówki, która w gotowości bojowej, oczekiwała na stanowiskach natarcia nieprzyjacielskiego.

Miejscem częstych spotkań patroli był pałac i dwór w Pedynkach. Doszczętnie zniszczony pałac hr. Zamojskich był

opuszczony. Połamane i porozbijane meble, oraz porozrzucane na podłogach licznych komnat książki z tamtejszej biblioteki, wskazywały, że tutaj niegdyś płynęło życie mocnem staropolskiem tętmem. Udając się często z patrolami na przedpole, godzinami całemi przeglądałem porozrzucane i zniszczone kartki wartościowych dzieł historycznych i literatury polskiej, myśląc ponuro nad tak wielkiem zniszczeniem cennych pamiątek polskich, czego mógł dopuścić się jedynie podły, głupi i mściwy człowiek, kierowany przez zwyrodniałych agitatorów.

Kompanje otrzymały na cały stan w tym czasie hełmy stalowe i uzupełnienie umundurowania, tak, że i humory żołnierskie poprawiły się znacznie, a co najważniejsze, że wygląd bataljonu poprawił się w dużym stopniu.

16 marca przyjechał do Prywałówki ksiądz proboszcz z Lubaru i w braku kościoła, urządził w miejscowej szkole rekolekcję i spowiedź Wielkanocną dla żołnierzy. Nazajutrz odbyła się komunia, podczas przyjmowania której żołnierze mieli miny skupione i modlili się gorliwie. Na wojnie, gdzie żołnierz nie jest pewny dnia i godziny śmierci swojej, lubi się modlić szczerze i być przygotowanym do chrześcijańskiego zejścia z tego świata, tak jak go uczy religja, ta olbrzymia podpora siły moralnej żołnierza polskiego w czasie walk.

18 marca bataljon został zluźniany na pozycjach, przez II bataljon 43 pułku Strzelców Kresowych, i odmaszerował do Derewicz. Marsz odbywał się podczas bardzo ciemnej nocy i po olbrzymiem błocie, spowodowanem odwilżą i ulewnymi deszczami, które spadły w tym czasie. Nie zapomnę w życiu tego marszu, który był podobny raczej do kąpieli błotnych, niż do marszu wojskowego. Noc była tak nadmiernie ciemna, że na krok nic nie było widać przed sobą. Konie zapadały się w błocie po piersi, ciągnąc z trudem obciążone wozy i wózki z karabinami maszynowymi. Żołnierze maszerowali ponuro po błocie, które sięgało im do kolan, zapadając się po pas w błotnistych wybojach. Ci zabłoceni i zmoknięci żołnierze, z litości pomagali wypychać z błota wozy, przemęczonym koniom, które ze zmęczenia siadając w błocie, wyglądały jak straszdyła, lub potwory wodne, szamocząc się beznadziejnie i rozpryskując błoto kopytami.

19 marca o godzinie 1-szej w nocy, po przebyciu 18 kilometrów tego męczącego marszu, bataljon przybył do Derewicz. Przemoczeni i zmęczeni żołnierze, tego wieczora nie chcieli brać kolacji i natychmiast gdy ułożyli się pokotem, sen ich zmożył kamienny. Wyprężnięte konie popadały na ziemię, dysząc ciężko.

O godzinie 8-ej z rana wyszedłem z kwatery, aby zrobić przegląd swych żołnierzy. Zastałem ich w dobrych humorach

przy kuchni polowej, pobierających wczorajszą kolację i kawę. Mundury i obuwie mieli jeszcze przemoczone i zabłocone, lecz to im nie przeszkadzało, że śmiali i dowcipkowali między sobą wesoło, żartując z tych, którzy w czasie marszu pogubili buty w błocie, mówiąc, że „nie mając pieniędzy, buty narzeczonej w Prywałówce na pamiątkę zostawili, by ich synowie nie chodzili w łapciach, lecz by nosili modne, żołnierskie obuwie“. Podczas przeglądu skonstatowałem, że 6-ciu żołnierzy, podczas nocnego marszu, zgubiło trzewiki w błocie i przyszli do Derewicz boso, z pokaleczonemi nogami. Wymienieni stali na lewem skrzydle kompanji smutni i onieśmieleni. Widząc zziębniętych i zabłoconych swych żołnierzy, którzy niewysuszeni dotychczas, drżeli z zimna, gdyż żołnierz na wojnie nie miał drugiego munduru, w który mógłby się przebrać, i musiał nosić zmoknięty tak długo, dopóki mu na ciele nie wyschnął, chcąc dodać im otuchy, by nie myśleli o zmokniętych i zabłoconych mundurach, podczas chłodnego poranka, przemówiłem do nich:

„Żołnierze! Choć jesteście dziś zabłocony i zmęczeni, z zadowoleniem znosząc trudy i znoje, nie smućcie się, bo jesteście prawdziwym Symbolem Cierpień i Dostojeństwa Swej Ojczyzny. Bądźcie dumni, że możecie walczyć za Ojczyznę. Przyszłe pokolenia i cykorjarze, którzy się dziś od wojny uchylają, zazdrościć wam będą, spełnionego przez was czynu. Zwycięski Nasz Wódz i Komendant Józef Piłsudski, który w Warszawie i w całym kraju obchodzi dziś Swoje Wielkie Imieniny, całe życie pracował niezłomnie dla Polski. Lochy więzień i szubienice, nie odstraszały Tego „Niezłomnego Rycerza“ od powziętego przez Niego dzieła. O jakże podobni jesteście w ogromie swych czynów i poświęcenia do Wielkiego Wodza. Nie smućcie się tedy, a radujcie, że jesteście bojowymi żołnierzami Rzeczypospolitej, której jesteście „Najlepszymi Synami“. Kończąc swoje przemówienie, wznoszę okrzyk, a wy go powtórzcie ochoczo i szczerze: „Zwycięski Wódz i Komendant, oraz Niezwalczona Jego Armja Polska, niech żyje!“

Żołnierze trzykrotnie powtórzyli okrzyk i odśpiewali Hymn Pierwszej Brygady, mając miny skupione i poważne. Stojący na lewem skrzydle kompanji żołnierze, którzy pogubili buty w błocie, podczas nocnego marszu, ukradkiem łzy ocierali. Nie wiem co ich skłoniło do płaczu? Czy ponure myśli tułaczego żywota, zdala od rodzin, tłoczyły im łzy do oczu, czy też były to łzy radości, miłego uczucia spełnianego czynu zbrojnego dla Polski. Tak przesyłał Żołnierz Polski życzenia Swemu Wodzowi, w Dniu Jego Imienin, z krwawych pól walki i znoju, z których powstała Polska Wielka i Niezwalczona.

ROZDZIAŁ XIII.

Na pozycjach pod Zwiahlem.

Po uzupełnieniu żołnierzom brakującego obuwia z magazynu kompanijnego i szczegółowym przeglądzie, o godzinie 9-ej bataljon wymaszerował z Darewicz, do Połonnego, skąd transportem kolejowym odjechał w nocy do Zwiahla. Nazajutrz zrana o godzinie 7-ej, transport przybył do Szepetówki, gdzie przyczepiono do niego wagon dowódcy Armji, generała Romera, który na czas podróży zaprosił wszystkich oficerów do swego wagonu, gdzie w czasie jazdy spędzano czas na miłej pogawędce. Generał Romer wyżył się swego tonu rozkazującego i uśmiechając się życzliwie, mówił: — „Tylko nie bać się, panowie, bolszewików! Przy pierwszym spotkaniu zadać im cios, żeby poznali siłę polskiego żołnierza, i będziecie panowie z nimi mieć spokój przez dłuższy czas“. Widząc dziarskie i zdecydowane miny oficerów bataljonu kapitana Bogaczewicza, radowało się serce Tego „Niezlomnego i Bohaterskiego Generała“, to też zaciągając ręce, chodził po salonce i rozmawiał nadal życzliwie z oficerami.

Transport przybył na dworzec kolejowy Kołodzianka przed Zwiahlem, gdzie zatrzymał się, na chwilowy postój. U generała Romera zameldował się pułkownik ułanów Sulimirski i zdał raport, że pułk jego został zaatakowany w nocy przez bolszewików w Rohaczowie i został wyparty z miasta. Meldując o powyższem, pułkownik Sulimirski prosił o pomoc. Generał Romer zarządził wyładowanie jednej kompanji, która w przeciągu 10 minut stała w pogotowiu do odmarszu. 10 kompanja podporucznika Łukaszińskiego udała się z pułkownikiem Sulimirskim, przez Sujemce do Rohaczowa, gdzie po przybyciu stanęła jako odwód. Alarmujące meldunki pułkownika Sulimirskiego były słuszne, gdyż nieprzyjaciel większemi siłami zaatakował Rohaczów w nocy i dopiero o świcie został wyparty za rzekę Słucz, przez I bataljon 25 pułku, znajdujący się w rejonie Rohaczowa. W boju tym I bataljon 25 pułku miał straty: paru zabitych

i rannych podoficerów i żołnierzy, oraz poległ w tym boju bardzo dzielny i obowiązkowy oficer, porucznik Śledzikowski, dowódca 1-szej kompanji.

Już w Kołodziance, z meldunku pułkownika Sulimirskiego orjentowaliśmy się, że nieprzyjaciół posiada tutaj większe siły skoro przechodzi do akcji zaczepnych w nocy, do których trzeba mieć żołnierzy dobrze orjentujących się i zdecydowanych, obznajmionych z akcją nocną.

20 marca w południe transport przybył do Zwiahła, gdzie bataljon został wyładowany i zakwaterowany w mieście. Moja kompanja została zakwaterowana w Kino-Teatrze „Lux” dość komfortowo urządzone, jak na małomiejskie warunki zniszczonego wojną miasta. Po spożytym obiedzie, żołnierze urządzili sobie przedstawienie żywych obrazów, połączone z kupletami, i zabawiali się między sobą, z czego byłem zadowolony, mając przeświadczenie, że uciążliwy marsz i jazda koleją nie przemęczyły ich wcale, a co najważniejsze, że zapomnieli o przykrym marszu po błocie, przed dwoma dniami, z Prywałówki do Derewicz.

Nadeszły rozkazy do bataljonu, nakazujące tejże nocy wypad za Słucz, w celu rozbicia oddziałów bolszewickich, przygotowujących się do akcji na Zwiahel. Spotkawszy na ulicy oficerów 26 pułku piechoty, dowiedziałem się, że na przyczółku mostowym w Czyżówce, przedmieściu Zwiahła, stoi bataljon 26 pułku, kapitana Ejchlera, w którym to bataljonie miałem dużo kolegów z czasów wojny światowej, z byłych formacyj polskich na Wschodzie. Nie zwracając uwagi na brak czasu, dosiadłem wierzchowca i pojechałem konno do Czyżówki, by odwiedzić porucznika Soltana Rafała, Kronenberga Stanisława i Ostrowskiego Henryka, bardzo dzielnych oficerów 26 pułku, z którymi służyłem razem, począwszy od Legjonu Puławskiego, przez cały ciąg wojny światowej, i pomimo, że nie zastałem żadnego z nich na odcinku, objechałem częściowo przyczółek mostowy i powróciłem do Zwiahła, aby odpocząć nieco, przed nocnym wypadem. O godzinie 21-szej obudził mnie ordynans, meldując, że goniec czeka z rozkazami. Kapitan Bogaczewicz zarządził tym rozkazem pogotowie bojowe i wyznaczył u siebie odprawę wszystkich oficerów bataljonu, o godzinie 22-giej. Zjadłszy jakąś podłą kolację, której większą połowę oddałem swemu ordynansowi, szeregowcowi Błaszczukowi, za jego zdolności kulinarne, aby ją zjadł za karę do reszty, obejrzałem rewolwer, założyłem za pas dwa nieodstępne granaty ręczne, do których miałem zawsze zaufanie, że na wypadzie przydać się mogą,

i udałem się do kapitana Bogaczewicza, gdzie zastałem już zebranych oficerów. Po omówieniu spraw, dotyczących wypadu, i sprawdzeniu przygotowań, kapitan Bogaczewicz udał się ze swymi dowódcami kompanij na odprawę do majora Piekarskiego, dowódcy 43 pułku Strzelców Kresowych, który wspomniany wypad miał poprowadzić.

21 marca, o godzinie 1-szej w nocy, major Piekarski zrobił odprawę, na której ze wszystkimi oficerami omówił drobne szczegóły wypadu, obejmującego akcję trzech bataljonów, bez artylerji, ze Zviahla za Słucz, przez Zadkówkę—Iwanówkę—Kolonję Radzicze—Katarynowkę, do wsi Serby, i mającego na celu rozbicie na dalekiem przedpolu ugrupowania nieprzyjacielskiego, przed jego akcją na Zviahel, w związku z rozpoczętą ofensywą 12-ej armji bolszewickiej, w dniu 17 marca na Równo. O godzinie 3-ciej nad ranem, grupa wypadowa, pod dowództwem majora Piekarskiego, w składzie dwóch bataljonów 43 pułku, dwóch kompanij 26 pułku i bataljonu kapitana Bogaczewicza, bez 10-ej kompanij, która po wyładowaniu na stacji Kołodzianka do bataljonu jeszcze nie powróciła, wyruszyła ze Zviahla i po przejściu rzeki Słuczy, posuwała się do wsi Żakówka bez boju. O godzinie 6-tej minut 30 straż przednia natknęła się, pod Kolonją Żakówka, na nieprzyjaciela i rozpoczęła się walka, połączona z obustronną strzelaniną. Maszerujące oddziały rozwinęły się do boju i po półgodzinnej walce Kolonja Żakówka została zdobyta, skąd nieprzyjaciel wycofał się, na Iwanówkę. Nie zatrzymując się na zdobytych pozycjach, major Piekarski prowadził natarcie dalej na Iwanówkę, pod silnym ogniem artylerji i karabinów maszynowych nieprzyjacielskich. Na pomoc zagrożonej pozycji przybył nieprzyjacielski pociąg pancerny, który z linji kolejowej: Zviahel-Korosteń silnie ostrzeliwał nacierające bataljony 43 pułku, na wzgórze z wiatrakiem, pod Iwanówką. Prawoskrzydłowy bataljon 43 pułku zatrzymał się pod wzgórzem, pod silnym ogniem artylerji i 6-ciu karabinów maszynowych, co zobaczywszy kapitan Bogaczewicz, wydał rozkaz swym kompanjom do szturm. Z okrzykiem — „hurra“ ruszyły kompanje do szturm, nie zwracając uwagi na silny ogień artylerji i karabinów maszynowych nieprzyjacielskich. Nieprzyjaciel nie wytrzymał zdecydowanego uderzenia bataljonu i wycofał się pośpiesznie, pozostawiając dwa karabiny maszynowe, które bataljon zdobył w tym szturmie. Po zdobyciu Iwanówki, artylerja nieprzyjacielska otworzyła silny ogień na bataljon kapitana Bogaczewicza, pragnąc ułatwić odwrót swym oddziałom wycofującym się pośpiesznie na Katarynowkę, wślad za którymi bataljon kapitana Bogaczewicza

urządził energiczny pościg, zdobywając trzy armaty bolszewickie, które nie miały czasu wycofać się ze swych stanowisk.

Słyszając po zdobyciu armat, silną kanonadę artyleryjską za prawem skrzydeł bataljonu, zapragnąłem zdobyć, za wszelką cenę, drugie strzelające za lasem armaty nieprzyjacielskie, to też przynaglałem żołnierzy do pośpiechu, biegłem szybko przez las, w stronę strzałów armatnich. Po wyjściu z lasu, na równą łąkę, pokrytą leszczyną i rzadkiemi krzakami, zacząłem badawczo obserwować teren, skąd dochodziły głośnie strzały armat, na które miałem bardzo wielką chęć, by je zabrać do niewoli, lecz nigdzie ich zauważyć nie mogłem. Myśląc, że działa nieprzyjacielskie stoją ukryte za krzakami, wydałem rozkazy i biegłem z żołnierzami dalej na przedpole, w stronę strzałów. Nagle spojrzałem przed siebie i ujrzałem stojący na wysokim nasypie kolejowym, długi pociąg pancerny, który ogniem artylerji strzelał bez przerwy na las. W jednej sekundzie pociąg pancerny zmienił cel i zionął na ścigających go żołnierzy ogniem kartaczy, które ze świstem i szumem przeciały tuż nad głowami żołnierzy. Wślad za kartaczami zaterkotały karabiny maszynowe. Na szczęście groźny stalowy potwór, ziejący potężnie ogniem, nie uczynił moim żołnierzom żadnej krzywdy. Możliwe, że strzelali żołnierze z bolszewickiego pociągu pancernego w pośpiechu źle i mniej celnie, lub może pociąg pancerny stał na tak wysokim nasypie, że nie mógł dobrze strzelać, dość, że wszystkie kule armatnie i karabinów maszynowych przelatwały żołnierzom ponad głowami, uderzając w pobliski las.

Wkrótce na niebezpieczną polanę wybiegł kapitan Bogaczewicz i oceniając groźną sytuację bataljonu w walce z pociągiem pancernym, wydawał mi jakieś rozkazy, których nie słyszałem—mając uwagę zwróconą na walkę z pociągiem pancernym nieprzyjacielskim. Nie chcąc zarządzać odwrotu, by nie ponieść strat, a co najważniejsze, by nie osłabić siły moralnej żołnierzy podczas wypadu, zdecydowałem się na to, co powinien uczynić każdy dowódca w ciężkiej chwili, gdy nie wie, co ma uczynić, i uderzyłem do szturm, na ziejący ogniem pociąg pancerny, co na zdrowy rozsądek, równało się porywaniu z motyką na słońce, lecz karni i posłuszni rozkazowi żołnierze nie rozumowali. Poszli w bój na śmierć i życie, zarzucając pociąg pancerny granatami ręcznymi, oraz strzelając do małych otworów, pancerza pociągu, czem utrudniali nieprzyjacielowi obserwację. Karabiny maszynowe gwałtownym ogniem zasypały pociąg pancerny. Kule karabinowe i karabinów maszynowych odbijały się od pancerza

pociągu, ze świstem i skowytym, jakby uskarżały się na swą bezsilność, wobec stalowego potwora, którego pokonać nie były w stanie.

W tej ciężkiej i nierównej walce, nastąpił zbawienny moment. Załoga pociągu pancernego nie wytrzymała zdecydowanego uderzenia piechoty i pociąg całą parą ruszył z miejsca i ratował się ucieczką. Wśląd za odjeżdżającym pociągiem strzelali żołnierze szybkim ogniem, celując najwięcej w paszczę armaty ostatniego wozu, której otwór lufy był skierowany na ścigających pociąg pancerny żołnierzy i z której lada chwila mogły posypać się wystrzały. Obawiając się wysadzenia toru w powietrze, lub też nie mogąc dobrze celować, pociąg pancerny wycofywał się całą siłą pary, nie strzelając do moich żołnierzy, dopiero po ucieczce na odległość trzech kilometrów, zatrzymał się na wysokiem wzgórzu, na torze kolejowym, ostrzeliwując ogniem artylerji naszą tyraljerę, która po ucieczce pociągu pancernego wycofała się do lasu, by łączyć do bataljonu, w Iwanówce. Pociąg pancerny nieprzyjacielski nie miał odwagi podjechać bliżej do pola walki i z oddalonego wzgórza strzelał nadal, lecz mało celnie. Żołnierze po wycofaniu się na skraj lasu, śmiali się z pociągu pancernego, wygrażając mu pięściami. Oby pociągi pancerne nieprzyjacielskie zawsze tak walczyły, ku dalszym chlubnym zwycięstwom Armji Polskiej.

Po przybyciu do Iwanówki, żołnierze oglądali z zaciekawieniem zdobyte poprzednio przez bataljon armaty nieprzyjacielskie, do których z braku koni, chłopci zaprzęgali krowy, by je odwieźć do Zwiahla. Zdobyte karabiny maszynowe jechały wygodnie na wozach amunicyjnych. Opodal, przy drodze do Katarynówki, był widok bardzo przykry. Na wozach z pozabijanemi końmi leżeli, ociekający krwią żołnierze bolszewicy. Poco przybyli i kto ich przysłał, niewiadomo, gdyż umierając, zabrali tajemnicę do grobu. Prawdopodobnie wysłali ich dowódcy, na ratunek utraconych armat, gdyż jechali szybko, bez należytego ubezpieczenia, wjeżdżając prawie na samą linję tyraljerską bataljonu. Na wezwanie żołnierzy, nie zatrzymali się, próbując uciekać. Padły strzały i z uciekających wozów i żołnierzy pozostała bezwładna i krwawa sterta, zmieszana z rozbitych wozów, ludzi i koni.

O godzinie 14-ej, po zjedzeniu konserw przez żołnierzy i chwilowym odpoczynku, major Piekarski zarządził odprawę oficerską, na której wydawał rozkazy do dalszej akcji, na Katarynówkę, gdy na spienionym koniu przygalopował goniec i wręczył majorowi Piekarskiemu rozkazy, czy też zawiadomienie ze Zwiahla, po przeczytaniu których major Piekarski zasępił się nieco i rzekł do oficerów:

„Proszę panów! Mamy wiadomość od pułkownika Pogorzelskiego, dowódcy 14-ej Brygady, że Zwiahel dziś, o godzinie 7-mej zrana, został zajęty przez bolszewików. Obecnie na tyłach swoich, czyli na drodze odwrotu mamy miasto zajęte przez nieprzyjaciela, za rzeką, którą musimy przebyć. Na Katarynówkę iść nie możemy, a musimy sobie radzić inaczej“. Po tych słowach, które na obecnych wywarły piorunujące wrażenie, major Piekarski zamyślił się mocno. Giętki jego umysł pracował bez przerwy, nad zażegnaniem przykrej i ciężkiej sytuacji grupy wypadowej, która znajdowała się na tyłach nieprzyjacielskich, oddzielną głęboką rzeką i silnymi oddziałami nieprzyjaciela, zdolnymi do zdobycia Zwiahla.

W czasie tej ciężkiej dla majora Piekarskiego chwili, wyszło od strony Katarynówki silne przeciwnatarcie nieprzyjacielskie, powstrzymywane z nadmiernym wysiłkiem przez kompanie porucznika Studzińskiego i porucznika Budzonia, które przeszły do przeciwuderzenia i bagnietem odrzuciły nieprzyjaciela zpowrotem za wzgórze, na które wdarły się już częściowo oddziały nieprzyjacielskie. Strzelanina stawała się coraz gwałtowniejsza, co nie zwiastowało nic dobrego dla grupy wypadowej. Kule karabinowe, jak stada złośliwych os, przelatywały nad głowami zebranych na odprawie oficerów, którzy zdawali sobie sprawę, że skoro Zwiahel został zajęty o godzinie 7-mej zrana przez bolszewików, to mieli oni dość czasu, by przygotować należyte siły do rozbicia grupy wypadowej, która miała odwrót ze wszystkich stron odcięty.

Alarmujące meldunki walczących kompanij dawały znać, że nieprzyjaciel wprowadza do boju wciąż nowe oddziały, z zamiarem odebrania utraconych pozycji. Major Piekarski wpatrywał się w mapę, obserwując teren od strony walczących kompanij, przygotowywał się do wydania rozkazów, gdy kapitan Bogaczewicz przerwał mu jego zadumę, słowami: „Panie majorze! Tu niema innej rady, jak wyruszyć niezwłocznie na odsiecz Zwiahla. Jeżeli nieprzyjaciel zajął Zwiahel nawet większymi siłami, to i tak zwalczyć go musimy i zdobyć utracone przez nasze oddziały miasto. Mamy do tego trzy bataljony wojska, a przytem na odgłos bitwy, wyparte przez nieprzyjaciela dziś rano oddziały, przyjdą nam na pomoc, i nie my będziemy okrażeni wówczas przez nieprzyjaciela, a nieprzyjaciel przez nas, który znajduje się teraz w Zwiahlu“. Słowa te kapitan Bogaczewicz wypowiedział z taką pewnością siebie i wiarą w zwycięstwo, że major Piekarski po krótkim namyśle przyjął tę myśl, jedyną w tej ciężkiej sytuacji, swej grupy wypadowej, i wydał rozkazy do natychmiastowej akcji na Zwiahel.

W straży przedniej maszerował bataljon kapitana Bogaczewicza, który miał za zadanie, przy napotkaniu oddziału nieprzyjaciela, złamać jego opór i bez względu na straty i opór nieprzyjaciela, sforsować most na Słuczy i zdobyć miasto Zwiahel. Inne bataljony miały pomagać w akcji, po nawiązaniu kontaktu z nieprzyjacielem i zorientowaniu się majora Piekarskiego w sytuacji bojowej. Nieprzyjaciel, zauważywszy odwrót bataljonu, nacierał coraz gwałtowniej, tak, że straż tylna miała ciężką walkę z powstrzymywaniem nieprzyjaciela, który chcąc wykonać szarżę, czy też odciąć odwrót grupie wypadowej, rzucił silny oddział jazdy na lewe skrzydło, cofających się bataljonów na Zwiahel, które to oddziały przebiegając galopem przez krzaki i zabudowania, zajeżdżały drogę straży przedniej, ta zaś torując sobie drogę ogniem, odrzucała oddziały jazdy nieprzyjacielskiej i szybko posuwała się w stronę Zwiahla, gdzie miała stoczyć z nieprzyjacielem walną rozprawę, o wydostanie się z matni, która zagrażała niewolą.

Idąc z kapitanem Bogaczewiczem, z oddziałami czołowego ubezpieczenia, by lepiej zorientować się w sytuacji, przy napotkaniu nieprzyjaciela, od strony Zwiahla, obserwowaliśmy teren przed sobą, gdy na horyzoncie ujrzelśmy podejrzanе dymy, które zwróciły naszą uwagę. Podejrzenia nasze były słuszne. Przez lornetkę ujrzałem dwa lśniące pociągi pancerne bolszewickie, które zagradały bataljonowi i całej grupie wypadowej drogę od czoła, o czym niezwłocznie zameldowałem kapitanowi Bogaczewiczowi. Sytuacja stawiała się z każdą chwilą coraz groźniejsza. Nad grupą wypadową zawisło fatum, które nie wróżyło nic dobrego. Na przodzie, pociągi pancerne. Z tyłu silne natarcie nieprzyjacielskie. Z lewej strony kawalerja nieprzyjacielska, a z prawej rzeka Słucz, głęboka i niemożliwa do przebycia, bez mostów i za rzeką nieprzyjaciel, który dużymi siłami zajął miasto i będzie starać się wszelkimi siłami nie przepuścić grupy wypadowej do Zwiahla.

Idąc w ponurej zadumie, zdecydowany do walki z nieprzyjacielem, na śmierć i życie, spoglądałem na duży las, po prawej stronie drogi, którą maszerowaliśmy, ciągnący się aż do samej rzeki Słuczy. Patrząc na ten zbawienny las, który w ciężkiej sytuacji może się przydać, jako ostatnia deska ratunku, badałem go z mapy i zobaczyłem ku wielkiej mej radości, że wkrótce dojdziemy do drogi, skracającej w las na prawo, która wiedzie do przyczółka mostowego 26 pułku w Czyżówce.

Podszedłem do kapitana Bogaczewicza i wskazując mu na dobrze widoczne na horyzoncie pociągi pancerne bolszewickie,

które napewno miały załadowane gardziele swych dział, by sprawić krwawe żniwo grupie wypadowej, zameldowałem, że poco mamy pchać się pod dwa pociągi pancerne, do walki o Zviahel, który jest zajęty od rana przez duże siły nieprzyjacielskie i forsować rzekę w tem niedogodnem dla nas miejscu, kiedy byłoby lepiej skrócić w prawo i dojść do Czyżówki, na przyczółek mostowy 26 pułku piechoty, który możliwe, że po zdobyciu Zviahla, choć okrążony, może się jeszcze trzyma w swoich odrutowanych pozycjach, i po połączeniu się bataljonu z 26 pułkiem, przedostawszy się bezpiecznie na drugą stronę rzeki, zadamy bolszewikom ciężki w boju nocny". Kapitan Bogaczewicz popatrzył na mnie badawczo i zapytał, czy jest to napewno droga do Czyżówki, a gdy mu odpowiedziałem, że na mapie jest zaznaczona bardzo dobrze i że nią napewno dojdziemy, po zbiciu drogi na mapie i upewnieniu się, że jest to ta sama droga, wydał rozkaz do zmiany marszruty, o czem zameldował dowódcy grupy wypadowej, majorowi Piekarskiemu.

Straż przednia skrzyła do lasu i kolumna maszerując za nią, poczęła wchodzić i skracać się, znikając z oczu bolszewikom. Jazda bolszewicka, widząc wchodzącą do lasu piechotę, podjeżdżała parę razy i próbowała wykonać szarżę, lecz ustawione na zakręcie drogi sześć karabinów maszynowych, strzelając bez przerwy, trzymało w szachu jazdę nieprzyjacielską. Po przejściu straży tylnej, karabiny maszynowe gwałtownym ogniem ostrzelały nieprzyjaciela, poczem karabiniarze włożyli swe karabiny maszynowe na wozy i galopem dopędzili bataljon. Posuwające się za grupą wypadową oddziały bolszewickie, obawiając się zasadzki, do lasu nie weszły, tak, że po wydostaniu się z pod oczekujących pociągów pancernych nieprzyjacielskich, bataljon czuł się bezpiecznie i posuwał się zdecydowanie, z nałożonym bagnetem na karabin, przez las, gotów w każdej chwili przyjąć bój na bagnety. W tym czasie, kiedy pociągi pancerne nieprzyjacielskie z niecierpliwością oczekiwały ukazania się na cel grupy wypadowej, grupa bezpiecznie maszerując przez las, dochodziła do Czyżówki. Przejeżdżając wzdłuż kolumny, mijalem rannych, którzy jadąc na wozach amunicyjnych, uśmiechali się ze smutkiem do mnie. Widocznie i oni byli zadowoleni z tego, że jadą bezpiecznie przez las pod opieką swych towarzyszy broni, miast w tej chwili znajdować się pod morderczym ogniem nieprzyjacielskich pociągów pancernych, wobec których piechota, nie posiadająca artylerji, jest bezbronna i skazana na straty, lub porażkę.

Maszerując w dalszym ciągu, straż przednia spotkała pod Czyżówką, placówki 26 pułku, od których dowiedziała się, że

na przyczółku mostowym w Czyżówce jest spokój, jak również, że w Zwiahlu znajdują się nasze oddziały. O godzinie 16-tej grupa wypadowa przeszła na drugą stronę rzeki Słuczy i zatrzymała się na przyczółku mostowym, gdzie major Piekarski dowiedział się od kapitana Ejchlera, dowódcy bataljonu 26 pułku, że o godzinie 7-mej rano, po wyjściu grupy wypadowej, bolszewicy przypuścili szturm na Zwiahel i częściowo wdarli się na jego przedmieście, lecz przybyły świeżo transport 27 częstochowskiego pułku, wyładowany pośpiesznie z pociągu i rzucony do kontrataku, przy pomocy auta pancernego „Dziadek” odzyskał utracony teren i wyparł oddziały bolszewickie za rzekę. Odwrót bolszewików, pod zdecydowanym uderzeniem oddziałów 27 pułku, musiał być paniczny, gdyż uciekając pozostawili auto pancerne i kilka karabinów maszynowych, które jako zdobycz dostały się w ręce oddziałów polskich.

Pułkownik Pogorzelski, dowódca XIV Brygady Piechoty, po wdarcu się oddziałów bolszewickich na przedmieście Zwiahla, wysłał gońca do majora Piekarskiego z zawiadomieniem, że Zwiahel został zajęty rano przez bolszewików, po odpędzeniu jednak bolszewików nie wysłał drugiego z zawiadomieniem, że bolszewicy zostali odparci, tak, że major Piekarski operując w walce odwrotowej grupy wypadowej, z niewłaściwym nastawieniem, że pod Zwiahlem będzie mieć główną rozprawę z nieprzyjacielem, mógłby zaangażowywać niedostateczne siły do boju z oddziałami nieprzyjacielskimi, które prowadziły przeciwnatarcie, od strony Katarynówki. Na szczęście jednak wypad udał się i zgrupowane do akcji na Zwiahel oddziały bolszewickie, prawdopodobnie przez długi czas musiały przeprowadzać nową organizację, by być gotowymi do akcji zaczepnej.

Nadjechały kuchnie polowe i nakarmiły spracowanych i przemęczonych żołnierzy, po całodziennym boju. Po zjedzonym naprędce posiłku, miast powrócić na odpoczynek do pobliskiego Zwiahla, bataljon pomaszerował na pozycję na linję: Misiejówka-Kuki, oddaloną od Czyżówki o 15 kilometrów, dokąd przybył o godzinie 23-ciej. Pomimo zmęczenia, żołnierze nie spali tej nocy, gdyż na całym odcinku bataljonu było spodziewane natarcie nieprzyjacielskie. Dowódcy kompanij również nie wypoczywali, obchodząc gorliwie swe odcinki, kontrolowali czujność i gotowość bojową swoich żołnierzy, Nadomiar złego pogoda popsukała się znacznie i zimny deszcz moczył zziębniętych żołnierzy bez przerwy całą noc i dzień następny, który to czas żołnierze spędzili na stanowiskach bojowych, bez przerwy, pod gołym niebem.

22 marca bataljon został zluźniony z pozycji i odmaszerował do wsi Serby, by wypocząć do powtórnego wypadu, który miał odbyć się w dniu następnym o godzinie 5-tej rano. Wśród deszczu i zawiści bataljon przemaszerował do wsi, gdzie został zakwaterowany.

Po obejrzeniu kwater żołnierskich i wydaniu dyspozycji, udałem się na swoją kwaterę, przemoknięty i trzęsący się z zimna. Zająłem osobny pokój przy rodzinie żydowskiej, która wystraszona patrzyła na mnie z lękiem. Nie dziwiłem się tym ludziom. Bo kto nie krzywdzi na wojnie tych nieszczęśliwych, bojących się własnego cienia ludzi? Nie mając z nikim nic do rozmowy, jak wogóle nie miałem nigdy zwyczaju wdawać się na wojnie w rozmowy z ludnością cywilną, obawiając się szpiegostwa, które kryje się często pod najbardziej patryjotycznym płaszczkiem, usiadłem przy stole, popijając gorącą herbatę, czy też kawę, gdy nagle usłyszałem krzyk rozpaczliwy całej rodziny żydowskiej. Wybiegłem do przyległego pokoju i ujrzałem, jak podoficer żandarmerji trzymał kurę w ręku, dając żydówce pieniądze za nią. Cała rodzina żydowska, zebrana wokoło pocziwej kury, która dnia tego poszłaby na kolację do garnka, zawodziła żałośnie, prosząc żandarma o oddanie kury. Po wysłuchaniu narzekania, że biedni żydzi mają chore dzieci, dla których ta ostatnia kura znosi jajka, poleciłem żandarmowi oddać kurę z powrotem, o ile mu jej nie chcą dobrowolnie sprzedać. Uszczęśliwiona rodzina schwyciła swą kurę i uciekła z nią do pokoju, kryjąc ją prawdopodobnie w lepszej kryjówce, jak dotychczas. Uradowana rodzina żydowska składała się prawdopodobnie z pocziwych ludzi, bo pragnąc odwdziżyć mi się za uratowaną kurę, omal że mnie nie wysłała w nocy na tamten świat, pomimo, że człowiek, od roku przeszło, chodził kilkanaście razy do boju i szczęście mu jakoś sprzyjało. Otóż cała rodzina żydowska naradzała się długo, jak mi się odwdziżyć za moje dobre serce, i mając okruciny przedwojennego węgla, oraz widząc, że z zimna trzęsłem się cały, aż mi broda do kolan odskakiwała, napalili mi dobrze w piecu. To był wcale niezły pomysł, gdyż po przemoknięciu i po kilkodziennym pobycie na słońcu pod gołym niebem, spałem tej nocy wyśmienicie. I byłoby wszystko bardzo dobrze, gdyby nie goniec bojowy bataljonu, który przyniósł mi rozkazy, nakazujące gotowość bojową na godzinę 5-tą rano, i który wychodząc, otworzył drzwiczki od pieca, by sobie zapalić papierosa, i ich nie zamknął. Czał wy dostał się z pieca do pokoju. Uczułem silny ból głowy, lecz nie zwróciłem na to uwagi, gdyż kładłem to na karb nieprzy-

zwyczajenia spania przy ciepłym piecu. Położyłem się, by zasnąć, z myślą, że sen mnie pokrzepi i rano będę gotów do akcji i wypoczęty należycie. Dochodziła godzina 4-ta rano, tak, że już leżałem trzy godziny w zacisznym pokoju. Ból głowy i osłabienie odczuwałem bardzo wielkie, lecz siła woli i obowiązkowość na wojnie przewycięża wszystko, nawet chorobę. Spojrzałem na zegarek i widząc, że za godzinę trzeba być gotowym do akcji, postanowiłem wstać. Zawołałem na ordynansa, lecz ten nie odezwał się wcale. Myśląc, że biedny chłopaczysko zmęczony nadmiernie ostatnimi czasy, pomyślałem sobie: „Niech się tam prześpi jeszcze z pięć minut dłużej”, i zerwawszy się z łóżka, począłem się szybko ubierać, wiedząc, że świeże powietrze orzeźwi mnie z tego odrętwienia. Założyłem pośpiesznie spodnie, wciągnąłem buty i chcąc zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, podbiegłem do drzwi i otworzyłem je, wybiegając na ganek. Ujrzałem ślicznie zapowiadający się poranek pogodnego dnia i cudnie wschodzące słońce, lecz skoro owiało mnie świeże powietrze, straciłem przytomność i upadłem twarzą prosto w błoto, z przeszło metrowej wysokości ganku, nie odczuwając bólu. Leżąc na ziemi, byłem przytomny, lecz nie mogłem ruszyć ręką ani nogą, jak również otworzyć oczu. Ciemność dokoła i wilgotne błoto, nasunęły mi przykre myśli do głowy. Bez lęku zdawałem sobie sprawę, że tu jest wojna i że po wyjściu na ganek dostałem kulą w głowę, między oczy, gdyż leżąc na ziemi, nic nie widzę. Wilgotną ziemię tłumaczyłem sobie tem, że krew obficie spływa na ziemię z mojej ranej głowy. Przemknęła mi przez głowę jakaś myśl tęskna i smutna, która prawdopodobnie nawiedza każdego człowieka przed śmiercią. Błyskawicznie przemknęły mi przed oczyma chwile mego życia, od lat dzieciennych do teraźniejszości, i zdawałem sobie jasno sprawę o nieuniknionej katastrofie życiowej każdego człowieka na wojnie, tylko że jedni giną wcześniej, a drudzy dopiero później. „Tak! Na wojnie, wśród gradu pocisków i tysięcy innych niebezpiecznych momentów, musi zginąć każdy, gdyż takie jest jego przeznaczenie. Zwycięstwo wymaga ofiary krwi tych, którzy je chlubnie odnoszą nad wrogiem”.

Godząc się z losem swego przeznaczenia, leżałem zrezygnowany, bez żalu, oczekując swego końca życia, lecz wkrótce po tej chwili ogólnej rezygnacji przyszła myśl druga, więcej uczuciowa, biegnąca do stron rodzinnych i drogich mi osób na świecie. Jakiś bunt duszy i głos wewnętrzny, zdawało się, mówił: „Ty tutaj konasz na pobojuwisku, a rodzina i dobrzy znajomi śpią o tej porze i nie przeczuwają nawet, że ostatnia

myśl twoja biegnie do nich i nawet nie dowiedzą się nigdy może o miejscu twojej zapomnianej mogiły w czystym polu, lub na skraju lasu". Po tych przykrych myślach, leżałem spokojny, bez żalu oczekując śmierci, gdy uczułem, że ktoś szarpie mnie i unosi z ziemi.

„Bolszewicy!” — pomyślałem. „Tak, to oni swym zwyczajem, zdzierają ze mnie mundur i resztę ubrania”. Nie odczuwałem lęku i nie żałowałem munduru. „Niech sobie go zabiorą jeżeli jest im potrzebny”. Nie miałem również żalu do swoich bohaterskich żołnierzy, że nie przychodzą mi w tej chwili na pomoc. „Bo i poco mają przybywać i narażać swoje życie, aby ratować mnie, 99% trupa”. Leżąc, czułem, że umieram, że to już ostatnia chwila mego życia, gdy naraz otworzywszy oczy, ujrzałem, że stoję na ziemi, podtrzymywany przez swego kucharza kompanijnego, szeregowca Rudnickiego Władysława i któregoś z podoficerów. Złość straszna wstrząsnęła mną odruchowo, na widok swej bezsilności, jako zawsze energicznego dowódcy. Trzymający mnie pod ręce żołnierze mieli miny wystraszone i opowiadali mi o przebiegu tego, co zaszło, jak wyszedłem na ganek i w chwili, gdy oni zbliżali się do mnie z meldunkiem, że śniadanie gotowe i pobudka zrobiona, ja upadłem i leżałem nieprzytomny. Wysłuchawszy wynurzeń pocziwych żołnierzy, wybuchnąłem na nich z gniewem: „Precz do swej kuchni i pilnować, by się śniadanie nie przypaliło!” Posłuszni rozkazowi żołnierze odskoczyli ode mnie i pobiegli do kuchni polowej. Puszczony przez żołnierzy, zachwiałem się na nogach i usiadłem na ławce, czy też jakimś balu, gdzie kazałem sobie podać wody do mycia i czarnej kawy, której wypilem sześć szklanek, myśląc, że to mi pomoże, lecz miast poprawy, teraz dopiero uczułem silny ból głowy i ogólne osłabienie. Nie wiedziałem jednak dotychczas, że to było zaczadzenie. Widząc zbliżających się do kuchni po kawę moich żołnierzy, wysłałem do mieszkania po mundur i pas z rewolwerem, by ubrać się i wyglądać służbowo wobec swych żołnierzy. Wysłany przeze mnie po mundur i pas z rewolwerem żołnierz, powrócił zdyszany i zameldował mi, że w mieszkaniu znajduje się czad i że ordynans mój szeregowiec Błaszczuk, leży martwy na podłodze. Po otwarciu okien i przewietrzeniu mieszkania, przybył niezwłocznie lekarz bataljonu i środkami trzeźwiącemi przyprowadził ordynansa i całą rodzinę żydowską do przytomności. Na szczęście nikt z zaczadzonych nie umarł i wszystkich udało się lekarzowi doprowadzić do zdrowia.

Zbliżała się godzina 5-ta rano i kompanja zebrana oczekiwała rozkazu do zapowiedzianego wypadu. Siedząc na koniu, chwiałem się od nadmiernego bólu głowy i osłabienia, spoglądając na zegarek, gdy nadjechał goniec konny od dowódcy bataljonu z rozkazem, że wypad został odwołany. Nigdy w życiu nie przyjąłem nic do wiadomości z taką ulgą i zadowoleniem, jak wówczas rozkaz o odwołaniu tego boju. Czując się chorym i znużonym, zapragnąłem spokoju i wypoczynku, to też po rozpuszczeniu żołnierzy, udałem się niezwłocznie na swą kwaterę, gdzie lekarze wojskowi, przy pomocy sanitariuszy, ratowali rodzinę żydowską, która z poobwiązywaniem głowami, ręcznikami i prześcieradłami, była podobna do grupy beduinów na pustyni. Lekarz radził mi, bym i ja upodobił się do nich, gdyż kompres na zac zadanie bardzo dobrze robi, lecz nie chcąc być pokracznie śmiesznym, nie skorzystałem z dobrej rady lekarza, udając się niezwłocznie na spoczynek. Zasnąłem snem kamien- nym i gdy obudziłem się o godzinie 16-ej, kazałem podać sobie konia wierzchowego i urządziłem przejażdżkę do dowódcy ba- taljonu, by zameldować mu, że czuję się już całkowicie dobrze, choć ból głowy odczuwałem jeszcze, dość silny. Po wypiciu z kolegami, paru większych, za pomyślne ocalenie i szybki po- wrót do zdrowia, powróciłem na kwaterę prawie że całkowicie zdrów, sprawdzając w pierwszej chwili, czy mi pocziwi ludziska znów w piecu nie napalili, lecz piec w tym dniu nie był nie- bezpieczny — był bowiem tak zimny, że możnaby w nim przez miesiąc czasu lody przechowywać.

23 marca, o godzinie 14-tej, bataljon wymaszerował ze wsi Serby do Zwiahla. Marsz odbył się po mokrych i gliniastych drogach, tak, że brnącym po kolana w błocie żołnierzom, przy- pomniał się niezapomniany dla nich marsz z Prywałówki, do Derewicz. Ostatnie walki, niewygody i ciężki marsz po rozmo- kłym gliniastym terenie, wyczerpały nieco siły żołnierzy, tak, że po zakwaterowaniu, żołnierze mogli spać nazajutrz do południa.

24-go marca cały dzień zeszedł żołnierzom na odpoczynku, zwiedzaniu miasta, czyszczeniu broni i rynsztunku. Oficerowie natomiast z dowódcą bataljonu wyjechali po południu konno, na zwiedzenie odcinków nad rzeką Słuczą, w rejonie Iwanówki- Hulska i Kijkowa, które to pozycje miał nazajutrz objąć bataljon kapitana Bogaczewicza, od 26 pułku piechoty. Po zorjent- owaniu się w planie obrony odcinka i innych, bataljon nazajutrz t. j. dnia 25 marca wymaszerował ze Zwiahla i obsadził pozycje następująco:

9 kompanja porucznika Studzińskiego, obsadziła pozycję pod Hulskiem.

10 kompanja podporucznika Łukasińskiego, pod Iwanówką.

12 kompanja porucznika Budzonia, pod Kijkowem.

11 kompanja podporucznika Kotowskiego, stała jako odwód, przy dowództwie bataljonu, w tyle za środkiem odcinka bataljonu, do działania na korzyść całego odcinka.

Najgorszy i najniebezpieczniejszy odcinek do obrony, miała kompanja 9-ta, pod Hulskiem, gdyż stojąc na pozycji, do której nieprzyjaciel miał dobry wgląd z wysokiego wzgórza, znajdującego się tuż na wschodnim brzegu rzeki Słuczy, była często ostrzeliwana przez nieprzyjaciela, pomimo, że okopy 9 kompanji były dość głębokie. Z wysokiego wzgórza, pokrytego krzakami, które dawało nieprzyjacielowi wgląd do naszych pozycji, raził nieprzyjaciel często ogniem, nieostrożnych żołnierzy, którzy idąc po obiad, czy też na zmianę czujek, nie wykorzystywali należycie głębokiego rowu.

Odwzajemniając się bolszewikom, pięknem za nadobne, zasypywaliśmy ich nawzajem raptownemi serjami ognia karabinów maszynowych, na zdradzieckiem wzgórzu, co poskutkowało, gdyż bolszewicy wkrótce zaprzestali strzelania do naszych żołnierzy.

Przeprawy na Słuczy w rejonie Iwanówki-Hulska i Kijkowa, były mocno obsadzone przez placówki z karabinami maszynowymi, jak również głęboka rzeka broniła bataljon przed zaskoczeniem nieprzyjacielskiem, tak, że służba na tej pozycji nie była zbyt męcząca.

28 marca nieprzyjaciel silnym ogniem artylerji rozpoczął ostrzeliwać okopy 9 kompanji. Pomimo celnego ognia artylerji, kierowanego z dominującego wzgórza w Hulsku, straty 9 kompanji były stosunkowo małe. Nieprzyjacielska artylerja wystrzeliła paręset pocisków, a tylko jeden ranny żołnierz wyjechał do szpitala. Trafił wprawdzie jeden pocisk artyleryjski w gniazdo karabinu maszynowego, kaprała Ślusarczyka, i zasypał całą obsługę błotem i ziemią, lecz nie tylko że nie uszkodził samego karabinu maszynowego, lecz nawet nikt z obsługi nie odjechał do szpitala, pomimo że prawie cała obsługa karabinu maszynowego, składająca się z ośmiu ludzi, była lekko kontuzjowana. Naskutek silnej kanonady artyleryjskiej w rejonie Hulska, kapitan Bogaczewicz zaalarmował 11 kompanję odwodową w Stryjowie i oczekiwał na atak nieprzyjacielski, by przyjść w razie potrzeby na pomoc 9 kompanji, jak również 10 i 12 kompanja śledziły przebieg walki w rejonie Hulska, by w razie ciężkiej sytuacji 9 kompanji, przyjść jej z pomocą swemi plutonami odwodowemi, lub posiadanemi karabinami maszynowemi, lecz te wszystkie

przygotowane pomoce nie były potrzebne, gdyż porucznik Stuziński miał tak wartościową kompanję, że nieprzyjaciel nie tylko nie natarł w tym dniu, lecz nawet patrole jego nie mogły zbliżyć się do rzeki.

Wysyłane patrole własne stwierdziły wszędzie obsadę nieprzyjacielską, na wschodnim brzegu Słuczy, przed odcinkiem bataljonu. To samo stwierdziły patrole I bataljonu 25 pułku w rejonie Rohaczowa i patrole 26 pułku w rejonie Zwiahla. Z powyższego widać było jasno, że nieprzyjaciel gromadzi powtórnie siły, do akcji na Zwiahel. Trzeba było przeciwdziałać temu i rozpoczęły się powtórnie akcje wypadowe, za Słucz.

1 kwietnia wyruszył na wypad ze Zwiahla I bataljon 11 pułku, pod dowództwem podpułkownika Zawadzkiego, który po rozbiciu oddziałów nieprzyjacielskich w Starykach i Czernicy, miał wycofać się przez Hulszk. 2 kwietnia wczesnym rankiem usłyszeliśmy silną kanonadę od strony Czernicy, jak również dymy pożaru zakryły całkowicie horyzont. Patrząc z punktu obserwacyjnego na gęste kłęby dymu, wybuchające aż pod obłoki, doznałem przykrego uczucia. Zawsze pożar na wojnie, podczas boju, wywierał na mnie przykre uczucie, gdyż napatrzyłem się na niego w 1915 roku, podczas odwrotu Moskali z Królestwa, jak wślad za nim idzie nędza, płacz i niedola nieszczęsnych pogorzelców, zamieniając zasobnych mieszkańców, w jednej chwili, w nędzarzy i żebraków okolic przyfrontowych, gnieźdzących się po norach i zakamarkach z drobnymi dziećmi, które obdarłe wyczekują całymi godzinami przy kuchniach polowych, by otrzymać pozostałość strawy żołnierskiej, na uludę swej przykrej egzystencji i zaspokojenie głodu. „Czyja ręka podpaliła tym nieszczęśliwym ich skromne zagrody“? Lecz na wojnie dzieją się stokroć gorsze rzeczy. Setki zabitych i okaleczonych ludzi często kona na pobojowiskach, tak, że nad losem nieszczęśliwych pogorzelców na wojnie każdy przechodzi do porządku dziennego. Pozostawieni oni są sami sobie, zapatrzeni w zgłiszczą, swych dawnych siedzib, z dziada i pradziada. Nikt nie odczuje niedoli tych nieszczęśliwych, o ile nie widział ich naocznie, wybiedzonych i napół nagich, stojących potulnie i zaglądających żołnierzowi do menażki, podczas codziennego posiłku, z którego zawsze coś otrzymają. Obserwując podczas dłuższego pobytu swego na froncie podobne zjawiska, zauważyłem, że żołnierz polski przeważnie miał dobre serce i zawsze chętnie dzielił się otrzymywaną strawą z biedotą przyfrontową. Kucharz kompanijny też zawsze wykrobywał z kuchni polowej resztki pozostałego pożywienia i rozdawał między tych nieszczęśliwych, skazanych na śmierć głodową ludzi.

Strzelanina na przedpolu ucichła zupełnie, a słupy czarnego dymu wylatywały nadal w powietrze, jako zwiastuny siły niszycielskiej, potężnego żywiołu. Wysłane patrole za rzekę do Hulska, powróciły i zameldowały, że na przedpolu znajduje się bataljon 11 pułku, który po wykonanym wypadzie, powraca przez Hulska do Zwiąhla. Żołnierze szybko ułożyli deski na zepsutym moście i za chwilę kolumna wypadowa 11-go pułku, powracając z wypadu, przeszła na zachodni brzeg rzeki Słuczy, prowadząc zdobycz: 4 armaty, 8 karabinów maszynowych, 3 kuchnie polowe i około 100 jeńców. Jadący na przedzie bataljonu, dowódca wypadu, podpułkownik Zawadzki uśmiechał się z zadowoleniem.

Drugi wypad w tym czasie wyruszył w siłę II-go bataljonu 25 pułku piechoty, wraz z 8 pułkiem ułanów, z Rohaczowa na Młyny Ostrożeńskie, którą to miejscowość zdobył, lecz napotkawszy silny opór, przeważających sił nieprzyjacielskich, grupa wypadowa wycofała się zpowrotem do Rohaczowa. Po tych wypadach, bolszewicy, wycofali się dalej na wschód i opuścili brzeg rzeki Słuczy, tak, że na przedpolu zaczęły wychodzić za rzekę częste nasze patrole zwiadowcze.

4 kwietnia. Pierwszy dzień Świąt Wielkiej Nocy. Nastrój na pozycjach panował wesoły i uroczysty.

Żołnierze pełnili w tym dniu służbę na zmianę, spędzając wolny czas od służby w odwodzie kompanijnym, przy stole i tradycyjnym jajku, gdzie otrzymywali podarunki. Na całym odcinku bataljonu w tym dniu nie padł ani jeden strzał karabinowy. Na brzegu rzeki zjawili się bezbroni żołnierze bolszewicki, składając naszym żołnierzom życzenia świąteczne, za co otrzymywali od nich sowicie kawały mięsa i białej bułki pszennej, które to podarunki, przerzucane przez rzekę, żołnierze bolszewicki zjadali ze smakiem, podziwiając dobroć jedzenia żołnierskiego w Armji Polskiej. Żołnierze stojąc na brzegu rzeki przed okopami, przywoływali bolszewików do siebie na brzeg, obdarowując ich przysmakami, i zapraszali ich, by do nas przyszli całkowicie, to dostaną wszystkiego poddostatkiem. Te szczere zaprosiny nie pozostały bez skutku, bo już w przeciągu godziny czasu, kilku żołnierzy bolszewickich przejechało łódką rzekę i zgłosiło się do 10 kompanji na święcone, którzy po doznaniem sutem przyjęciu nie chcieli powracać do swoich i prosili podporucznika Łukasińskiego, dowódcę kompanji, o pozwolenie pozostania w niewoli, gdyż jak tłumaczyli, w wojsku bolszewickim źle się z nimi obchodzą, a oni pragnęliby przeżyć wojnę i powrócić do swych rodzin. Wymienieni żołnierze bolszewicki zostali jako jeńcy odstawieni do dowództwa pułku.

Od świtu następnego dnia, zaczęli się zgłaszać na placówkach żołnierze bolszewicy z bronią, którzy prosili o zabranie ich do niewoli. Tłumaczyli się, że przyszloby ich więcej, lecz obawiają się, gdyż bolszewicy komisarze straszą ich, że Polacy nie zabierają do niewoli, lecz zabijają jeńców, i że to ich powstrzymuje od poddania się do niewoli. Przechodzących na naszą stronę bolszewickich żołnierzy, żołnierze polscy częstowali wszystkim, co tylko mieli najlepszego. Przechodzenie dobrowolne jeńców bolszewickich trwało parę dni, poczem raptem ustało. Prawdopodobnie bolszewicy przenieśli ten pułk na inny odcinek.

5 kwietnia wyruszył patrol 9 kompanji, w sile 10 ludzi, pod dowództwem podporucznika Koppla Henryka, nieustraszonego oficera i wyborowego patrolowca. Patrol minął Hulsk i dotarł do wsi Rudnia Talkowska, która była wolna od nieprzyjaciela. Od ludności cywilnej dowiedział się podporucznik Koppel, że do wsi codziennie rano przychodzi patrol bolszewicki. Podporucznik Koppel nie powrócił do swych pozycji, lecz umieściwszy swoich żołnierzy w opłotkach i w przyległych krzakach, urządził zasadzkę na nieprzyjaciela. Zjawił się o świcie patrol nieprzyjacielski, złożony z trzydziestu żołnierzy, z dwoma karabinami maszynowymi, który to patrol źle ubezpieczony, podpuścił podporucznik Koppel na odległość kilkunastu kroków i zasypał znieścacką gwałtownym i celnym ogniem. Zaskoczony patrol bolszewicki, rzucił się do panicznej ucieczki, porzucając: jeden karabin maszynowy, 5 karabinów ręcznych, oraz pozostawiając 3 zabitych i 2 rannych swoich żołnierzy. Po godzinnej walce, podporucznik Koppel wycofał się za rzekę do swej kompanji, ze zdobytym karabinem maszynowym, oraz karabinami ręcznymi i jeńcami, nie poniosłszy żadnych strat.

8 kwietnia, w nocy, przeprowadziła się w Hulsku grupa wypadowa, pułkownika Hermana, dowódcy XIII-tej Brygady piechoty, w sile dwóch bataljonów, t. j. I bataljonu 25 pułku i II bataljonu 26 pułku piechoty. Raptowna odwilż i silne deszcze, które spadły w tym czasie, podniosły poziom wody na rzece Słuczy i przerwały groblę w Hulsku, koło młyna. Przepływająca woda przez groblę, wyrwała coraz bardziej, większy otwór na grobli, przez którą miała przeprowadzić się grupa wypadowa. Trzeba było ratować wspomnianą groblę, przed uszkodzeniem, gdyż przepływająca coraz bardziej, z większą siłą woda, torowała sobie drogę, przelewając się z wielkim impetem przez groblę, gdzie spadała ze stukiem i szumem w głębokie w tem miejscu koryto rzeki, tworząc odmet z piany i wybuchającej zpowrotem na powierzchnię wody. Wrzucane w wyrwę olbrzymie kamienie, rwą-

ca woda chwytała i bez wysiłku unosiła do rzeki, torując sobie coraz bardziej nowe koryto, do upływu swych nadmiernych wód. Zdawało się, że nadmierny wysiłek żołnierzy, zarzucających kamieniami wyrwę w grobli, nie zdoła opanować potężnego żywiołu, gdyż woda w rzece przybierała coraz bardziej, potęgując bieg wody, przez groblę. Z wielkim trudem udało się żołnierzom opanować powiększanie się wyrwy, przez układanie olbrzymich kamieni i worków z piaskiem na przerwanej grobli od strony górnego biegu rzeki, gdzie woda lżej napierała, niż w samej przerwie. Po zarzuceniu wyrwy kamieniami, woda nadal przelewała się przez zatkaną wyrwę, lecz już nie z taką siłą, jak poprzednio.

Padły rozkazy. Oczekujące na przeprawę bataljony podeszły do ułożonych w wyrwie kamieni i trzymając się za ręce, z trudem przechodzili żołnierze, przez przerwę, po której wierzchem przepływała woda, ciągnąc w otchłań wód śmiazków, którzy wśród tej nocy ciemnej, pełnej okropności, ośmielają się walczyć z żywiołem, jak czeluście piekieł czyhającym na każdego, który porwany siłą wód, znalazłby się na dnie otchłani, rozbity doszczętnie o podwodne skały wodospadu. Na szczęście przeprawa udała się dobrze, bez wypadku, i bataljony pomaszerowały w nakazanym kierunku, kryjąc się wśród ciemności nocy.

9 kwietnia o świcie, oba bataljony zaatakowały wieś Broniki, po zdobyciu której uderzyły na wieś Romanówkę, którą zdobyły po krótkim lecz gwałtownym boju, biorąc do niewoli baterję armat z całkowitym zaprzęgiem, 10 karabinów maszynowych i około 200 jeńców.

Rozbite oddziały bolszewickie cofały się w popłochu, którym na pomoc przybyły dwa auta pancerne, posuwające się po szosie, jak potwory metalowe. Nieczułe na ogień karabinów maszynowych, bolszewickie auta pancerne, podjechały na bliską odległość od bataljonów grupy wypadowej i rozpoczęły silny ogień na nasze tyraljery. Niezlomne szeregi grupy wypadowej nie zlekły się walki metalowych potworów i gwałtownym ogniem ostrzeliwały je. Kule karabinów maszynowych ze zgrzytem i świstem odbijały się od pancerzy wspomnianych aut pancernych, które bez przerwy strzelały na leżące w pobliżu szosy tyraljery. Długo walczyć przy tych warunkach nie możnaby było, gdyż opancerzone auta mogłyby zadać bataljonom duże straty.

„Szczęśliwe te kompanje na wojnie, które miały dowódców pełnych poświęcenia, nie wahających się poświęcić życia, dla ratunku swych pododdziałów“. Porucznik Mikurda, dowódca 4-tej kompanji 25 pułku i porucznik Czajkowski Józef, dowódca 1-szej

kompanji karabinów maszynowych 25 pułku, rzucili się na czele swych kompanij z granatami ręcznymi do szturm, na strzelające auta pancerne, które niezwłocznie rozpoczęły odwrót. Auta pancerne nieprzyjacielskie uciekły pośpiesznie i przestały ostrzeliwać leżące tyraljery, lecz w tym pełnym poświęcenia szturmie po-

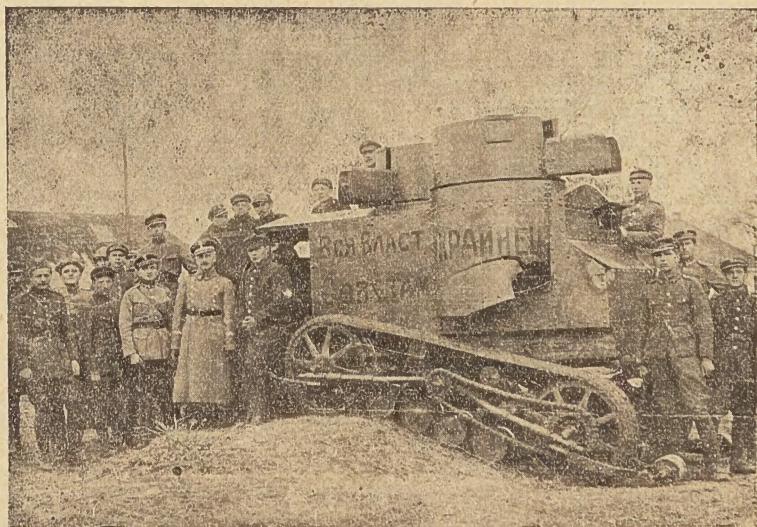


Na pustkowiu wśród bezbrzeżnych lasów, nad rzeką Uborc w zime 1919/20 r. gdzie zgłodniałe stada wilków, pozostawiły niedojedzone kości padliny. Stoją: 1) por. Mikurda, 2) por. lek. Skalski Tadeusz i por. Śledzikowski.

rucznik Mikurda i porucznik Czajkowski polegli śmiercią bohaterską. Pragnąc zabrać wspomniane auta pancerne do niewoli, żołnierze pod ogniem nieprzyjacielskim, ułożyli barjery z dużych kamieni na szosie od strony nieprzyjaciela, lecz uciekające w pośpiechu auta pancerne wjechały na zatory i utorowały sobie drogę odwrotu. Bataljony zabrały swoich zabitych i rannych i o godzinie 11-ej przybyły do Hulska, prowadząc zdobyte armaty, karabiny maszynowe i jeńców, oraz wioząc dwóch swoich poległych oficerów, którzy w tym boju dali dowód, jak walczy i umiera oficer 25 pułku, gdy tego zajdzie potrzeba. Długo stał dowódca 25 pułku, pułkownik Zienkiewicz, ze łzami w oczach,

nad zwłokami swych dzielnych poległych oficerów, poczem wóz z drogiemi zwłokami poległych bohaterów ruszył w stronę Zwiąhla, przeprowadzany szczerym żalem żołnierskim tych, którzy jeszcze przy życiu, po tych krwawych zmaganiach pozostali.

11 kwietnia odbył się pogrzeb, obu poległych oficerów i czterech żołnierzy, którzy polegli na tym wypadzie. Ciało ś. p. porucznika Mikurdy zostało odprowadzone na dworzec kolejowy i wysłane do rodziny, do Pińczowa, zaś porucznik Czajkowski został pochowany na cmentarzu katolickim w Zwiąhlu, gdyż pochodził z Kijowszczyzny i w Kraju rodziny nie miał. Nie opłakiwał go ojciec, ani matka, siwowłosa staruszka, jak również nikt z bliższej i dalszej rodziny, gdyż nie wiedzieli o Jego bohaterskim zgonie, tylko łez parę szczerych żołnierskich spłynęło rzewnie na drogą Jego mogiłę od podwładnych, dowódców i przyjaciół, którzy Go bliżej na wojnie znali. Żegnał Go również łąą w oku, dowódca Armji, generał Listowski, który również na ten pogrzeb przyjechał, pomimo, że nad mogiłą żołnierza płakać nie należy, lecz przekazać Jego bohaterskie czyny przyszłym pokoleniom, by na zgłiszczach krwi i kości poległych bohaterów, powstało przyszłe, mocne pokolenie, owiane duchem patriotyzmu i poświęcenia.



Auto pancerne bolszewickie, od którego zginęli śmiercią bohaterską por Mikurda i Czajkowski, zdobyte w późniejszych bojach przez 26 pułk piechoty. Przy zdobytym aucie stoi generał Listowski.

— „Niech Ci ziemia lekką będzie i niech Ci się przyśni Polska Wielka i Niepodległa, do zwycięstwa której przyczyniłeś się, ofiarą Swej Krwi i Poświęcenia”.

12 kwietnia, o godzinie 15-tej, wyruszył patrol 9 kompanji, pod dowództwem por. Koppla, w sile 47 ludzi, z zadaniem zdobycia wsi Talki. Załoga tej wsi składała się z 50 żołnierzy, Internacjonalnego pułku bolszewickiego, z trzema karabinami maszynowymi i 15-toma kawalerzystami. Podporucznik Koppel zaatakował wieś zdecydowanie i po godzinnej walce wyparł z niej nieprzyjaciela, zdobywając jeden karabin maszynowy, trzy karabiny ręczne i wóz amunicyjny z koniem, pozostawiając trzech zabitych żołnierzy nieprzyjacielskich na miejscu, poczem pod silnym ogniem artylerji nieprzyjacielskiej, wycofał się za rzekę, bez strat. Odważni — mają szczęście na wojnie.

Bolszewicy zdenerwowani i źli, z powodu nadzwyczaj ruchliwej i intensywnej działalności w tym czasie naszych grup wypadowych i patroli, mścili się na polskiej ludności, posądzając ją o szpiegostwo, pomimo, że najświeższe wiadomości miewaliśmy wówczas od dezertarów bolszewickich, którzy często zgłaszali się na placówkach i poddawali się do niewoli.

Pewnej nocy przeprowił się łódką przez rzekę, na naszą stronę, staruszek sześćdziesięcioletni z dwoma synami, liczącymi mniej więcej około dwudziestu lat każdy. Sprowadzeni z placówki, poubierani w czerwone rosyjskie rubachy, nie wzbudzali zaufania, lecz smutne ich oczy i przygnębienie, zdawały się mówić prawdę. Otóż cała wina tych nieszczęśliwych ludzi była ta, że jako Polacy nie chcieli wstąpić do armji bolszewickiej. Widząc niedolę i przygnębienie tych ludzi, dawaliśmy im wyżywienie z kuchni żołnierskiej, by nie poumierali z głodu. Powracać za rzekę do domu nie mieli możliwości, gdyż, jak mówili, czeka ich tam śmierć niechybna. Całe dni spędzali ci nieszczęśliwi w smutku i przygnębieniu, wpatrzeni w swe ponure oblicza. Czasami wychodzili wszyscy trzej na podwórko i długo ze smutkiem patrzyli na swą ojcowiznę, znajdującą się tuż za rzeką, którą opuścili jako wygnańcy, uchodząc przed zemstą mściwego i krwawego wroga.

Pewnego popołudnia, powracając z okopów na kwaterę, ujrzałem wszystkich trzech wygnańców, stojących na podwórku i bacznie spoglądających w stronę swej zagrody. Ukłonili mi się wszyscy uniżenie i uśmiechnęli się do mnie ze smutkiem, jakby dziękowali za opiekę, jakiej tutaj doznali, poczem znowu

długo i badawczo patrzyli w stronę swego gospodarstwa, jakby mieli złe przeczucie, lub jakby widzieli może obok swej zagrody mściwych niszczycieli. Popatrzyłem na nich ze współczuciem i poszedłem do izby, by pośpiesznie zjeść obiad, gdyż miałem zaraz powracać do okopów, gdzie żołnierze prowadzili prace, nad umocnieniem pozycji. Nie zdążyłem jeszcze zasiąść do stołu, gdy przez otwarte okno usłyszałem głośny krzyk rozpacz. Krzyk taki mógł wydać z siebie człowiek, któremu wyrządził ktoś nikczemny i podły, bardzo wielką i straszną krzywdę. W krzyku tym było tyle skargi i bólu, że jak gromem rażony, wybiegłem, aby zobaczyć, kto komu wyrządził taką wielką krzywdę. Oczom moim przedstawił się nader przykry widok. Potężnym płomieniem gorzała zagroda nieszczęśliwych uciekinierów, którzy wraz ze staruszką ojcem, leżąc na ziemi, płakali rzewnie, patrząc przez rześiste łzy na swe płonące gospodarstwo, odgródzone rzeką i linią frontu niegodziwców, bez litości i sumienia.

Na ten widok, gniew porwał mnie straszny. Miotając się w bezprzykładnym gniewie, pragnąłem zemsty—zemsty strasznej, dla nikczemnych nędzników, którzy nieszczęśliwym i biednym ludziom ostatki łez wyciskają. Wyciągając zaciśnięte pięści w stronę płonącej zagrody, miotałem przekleństwa, nie panując nad sobą, co przy mojem usposobieniu, nigdy mi się nie zdarzało. Pobiegłem do karabinów maszynowych i chciałem ogniem ich i artylerji bić w wieś i okopy nieprzyjacielskie, lecz po drodze opamiętałem się, że nikczemni niegodziwcy, którzy zagrodę podpalili, trapieni wyrzutami sumienia swego nikczemnego czynu, może są już daleko, a od kul mogliby ucieść mieszkańcy, którzy dążą na ratunek pogorzelcom, tak, że pomyślawszy chwilę, wyzbyłem się swego mściwego planu i powróciłem na kwaterę. Gdy powróciłem, zastałem nieszczęśliwych pogorzelców, siedzących na mokrej błotnistej ziemi w odrętwieniu, zapatrzonych w dogorywające zgłiszczu swego gospodarstwa. Siedzieli w milczeniu, nie patrząc jeden na drugiego, widocznie, by nie patrzeć na ból drugiego. Oczy ich były suche i beznadziejnie zrezygnowane. Może nadmierny ból wprowadził ich w to przykre odrętwienie, lub może pogodziwszy się z myślą, że wszelki smutek jest już spóźniony, ślali rzewne skargi do Boga, na niegodziwość ludzką. Grupa żołnierzy starała się pocieszyć tych nieszczęśliwych, częstując ich obiadem i herbatą, lecz ci nieszczęśliwi nic nie jedli i nie pili, a nawet nie słyszeli, co do nich mówią szlachetni żołnierze, tak byli przygnębieni swym wielkiem nieszczęściem.

16 kwietnia, o godzinie 3-ciej nad ranem, bataljon obsadził Hulsk, przechodząc 9 i 11 kompanją za rzekę Słucz. 10 kompanja pozostawała nadal w Iwaszkówce, a 12-ta w Kijkowie. Hulsk, jako duża wieś, położona na wysokim wzgórzu, nadawała się dobrze do obrony. Duże pole widzenia nie pozwalało zbliżyć się nieprzyjacielowi do naszych pozycji. Od strony południowo-wschodniej, t. j. od strony wsi Rudnia, teren był porośnięty i poprzęzynany, co ułatwiałoby nieprzyjacielowi podejście, lecz to w zdecydowanej obronie nie przeszkadzało bataljonowi czuć się dobrze, gdyż niebezpieczne podejścia były pozamykane ogniami artylerji i karabinów maszynowych, jak również żołnierze mieli granaty ręczne i bagnety, by odrzucić nieprzyjaciela kontratakami, gdyby się wdarł do pozycji obronnej. Częste patrole zwiadowcze w nocy, krążyły na przedpolu, by nieprzyjaciel nie zaskoczył bataljonu i nie zepchnął do rzeki. Żołnierze podczas snu, nie rozstawiali się ze swymi karabinami, by byli zawsze gotowymi do boju, tak, że bataljon pomimo pobytu za rzeką, czuł się na tej pozycji bezpiecznie i dobrze.

19 kwietnia przybyło uzupełnienie z kadry i jednocześnie wyszły zarządzenia, by kompanje odesłały wszystkie zbędne rupiecie do kadry. Na tyłach naprawiano drogi, po których maszerowały bez przerwy oddziały i jeździły samochody ciężarowe, zaopatrujące oddziały w sprzęt i inne artykuły wojenne. Zaopatrzone i przygotowane oddziały wojskowe, stały w pogotowiu i oczekiwały rozkazów, do rozpoczęcia ofensywy kijowskiej.

23 kwietnia czyniono ostatnie przeglądy i uzupełnienie broni i amunicji oraz rozdano żołnierzom konserwy, jako porcje rezerwowe, na wypadek niemożliwości zaopatrzenia ich na czas w boju w środki żywnościowe. Wysłane patrole na dalekie przedpole, skonstatowały, że nieprzyjaciel spodziewa się ofensywy, gdyż trzyma się zdala o 30 klm. od Zwiahła w ciągłej gotowości bojowej, ewakuując Żytomierz i inne tereny przyfrontowe. Nadeszły rozkazy i nazajutrz bataljon wymaszerował do Czernicy z zadaniem zajęcia podstawy do akcji w dniu następnym. Cały dzień ten przeszedł żołnierzom spokojnie. Nawet patrole nieprzyjacielskie nie zbliżały się w tym dniu do Czernicy. Pomimo jednak spokoju, kapitan Bogaczewicz wydał przed nocą wszystkie zarządzenia, dotyczące wzmocnienia czujności i wyznaczenia placu alarmowego, na wypadek napadu nieprzyjacielskiego, i żołnierze rozeszli się na kwatery, by wypocząć nieco przed trudami, jakie ich w dniu następnym, jako pierwszym dniu

ofensywy oczekiwały. O zmroku zadudniła ziemia, od marszu licznych oddziałów piechoty, które szły na swe podstawy wyjściowe. Na przodzie maszerowała, jako główna grupa uderzeniowa, Pierwsza Dywizja Legjonów. Zahartowani w bojach oficerowie i żołnierze tej dywizji, przedstawiali się imponująco. Na twarzach ich było widać skupienie i zadowolenie na myśl o mającej rozpocząć się w dniu następnym o świcie ofensywie.

ROZDZIAŁ XIV.

Ofensywa kijowska.

25 kwietnia 1920 roku, na rozkaz Wodza, ruszyły szeregi z nad Słuczy, posuwając się w kierunku Żytomierza i Kijowa. Jak potężna fala, niczem niewstrzymana, parły pułki Legjonowe i inne, pędząc przed sobą rozbite i pierzchające w popłochu oddziały bolszewickie. 25 pułk piechoty, na czas ofensywy kijowskiej, wyszedł ze składu 2-giej Armji i był przydzielony do 3-ciej Armji, Generała Rydza-Śmigłego.

III bataljon 25 pułku wymaszerował o godzinie 3-ciej rano, jako lewoskrzydłowa straż boczna pułku i posuwał się marszem ubezpieczonym z Czernicy, przez Słobódkę Czernicką-Tetiurkę-Ług-Majdan Stary-Grwiliwiec, do Dobrego Hutu. Po dojściu do wsi Moraczewa, straż przednia bataljonu natknęła się na kawalerję nieprzyjacielską, która w sile około stu szabel, z dwoma karabinami maszynowymi, próbowała powstrzymać napór bataljonu, ostrzeliwując szpicę z poza opłotków wioski. Maszerująca w straży przedniej 10-ta kompanja podporucznika Łukasińskiego, rozwinęła się niezwłocznie do boju i po 15 minutach wieś została zajęta przez podporucznika Łukasińskiego, a oddział jazdy nieprzyjacielskiej, po wycofaniu się ze wsi, dosiadł koni i pośpiesznie wycofał się na wschód, zrywając kontakt z bataljonem.

Po przybyciu do Wielkiego Hutu, kontaktu z nieprzyjacielem nie było, tak, że żołnierze odpoczywali wygodnie, po dłuższym i uciążliwym marszu, po piaszczystych i złych drogach, zażywając kąpieli w pobliskiej rzeczce. Żołnierze nie odczuwali zmęczenia po tym forsownym marszu i miast spać wieczorem, długo siedzieli i opowiadali sobie wrażenia z ofensywy, rozumiejąc dobrze, że idą nie tylko zwalczać wroga Polski, lecz także idą na „Dalekie Pola Ukrainy”, by dopomóc bratniemu Narodowi Ukraińskiemu, wyzwolić się z pod jarzma niewoli i teroru, czerwonych władców Kremla.

26 kwietnia, w drugim dniu ofensywy, bataljon wymaszerował z Dobrego Hutu, o godzinie 4-tej minut 30 zrana i przez wieś: Strybicz-Niborówkę-Czechowice i Hutę Justynowską przy-

był o godzinie 11-tej minut 30 do wsi Bolarówki, skąd po trzech godzinnym odpoczynku i wydaniu obiadu, wyruszył w dalszym kierunku, na Żytomierz. Podczas tego całodziennego marszu bataljon nigdzie nie spotkał oporu nieprzyjaciela. Najprawdopodobniej pułki Legionowe, zaprawione do forsownych marszów, pomagając sobie środkami lokomocji w postaci rekwirowanych wozów, któremi pośpiesznie podwoziły swoje oddziały czołowe, w pościgu za cofającym się nieprzyjacielem, rozbiły napotykanne oddziały nieprzyjacielskie pierw, nim mógł natknąć się na nich bataljon kapitana Bogaczewicza.

W tym ogólnym wyścigu krwi i zwycięstwa, pułki Legionowe posuwały się tak szybko naprzód, że zdobyły Żytomierz w tym dniu już o godzinie 18-tej, czyli o cztery godziny wcześniej, nim podążył za nimi 25 pułk piechoty, który posuwając się forsownym marszem, przybył do Żytomierza o godzinie 22-giej, czyli w tym czasie, gdy 1 pułk piechoty Legionów, po stoczonym krwawym ulicznym boju z nieprzyjacielskimi autami pancernymi, zdążył zająć i obsadzić miasto i szykował się do zasłużonego odpoczynku.

Po północy przybyli żołnierze do wsi Psyszcze, pod Żytomierzem na kwatery. Piękna i zdrowotna okolica letniska żytomierskiego, oraz wygodne kwatery w Psyszczach, dały całkowicie godziwy wypoczynek znużonym żołnierzom, którzy wygodnie spali nazajutrz do południa, poczem po zjedzeniu obiadu udali się grupkami na zwiedzanie Żytomierza. Oficerowie też dosiedli koni wierzchowych i urządzili sobie kawalkadę do Żytomierza, którego ludność, ubrana odświętnie, witała z entuzjazmem oficerów i żołnierzy, wznosząc okrzyki na cześć Armii Polskiej, która przyniosła im chwilę wytchnienia, po dniach udręki i teroru. Dziewczęta z okien i balkonów zarzucały przechodzących żołnierzy kwiatami, uśmiechając się do nich z wdzięcznością. Miasto odżyło z powrotem i zatętniło życiem. W tej radosnej i uroczystej dla miasta chwili, przechodzący pogrzeb wojskowy, przerwał ludności chwilę szczęścia i radości. To 1 pułk Legionów odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku, poległych swoich żołnierzy, którzy w dniu poprzednim, poskładali w ofierze głowy, podczas walki ulicznej w Żytomierzu. Podczas pięknej pogody, w powodzi kwiatów, kroczył ponuro i uroczystie krowód trumien, przeprowadzany przez oficerów i żołnierzy, oraz liczną rzeszę ludności miejscowej, która zasłuchana w ponure i rzewne tony marsza pogrzebowego orkiestry wojskowej, ze smutkiem patrzyła na pogrzeb Tych, którzy za cenę życia przynieśli Polsce zwycięstwo, a im wolność i wyzwolenie.

Nie dziwiłem się radości i szczęśliwemu uniesieniu miejscowej ludności, z powodu zajęcia miasta przez Wojsko Polskie, które przyniosło znękaney ludności lepszą dolę, gdyż przechodząc przez pryncypalną ulicę miasta, zauważyłem przed jednym z domów zbiegowisko ludzi. Dowiedziałem się, że władze porządkują gmach niedawnej czrezwyczajki bolszewickiej. Zaciekawiony wszedłem do podziemi, tej przeklętej po wszystkie wieki instytucji bolszewickiej, z której wionął na mnie odór trupiej woni, a zaschła na kamiennej posadzce krew mordowanych ofiar, jak lepkie błoto chwytiała za nogi, jakby pragnęła zwrócić uwagę na to miejsce cierpień przedśmiernych, nieszczęśliwych ofiar, które los nieubłagany oddał w ręce krwawych i bezlitosnych oprawców. Podziurawione kulami i popryskane obficie krwią ściany, świadczyły o masowym mordowaniu tutaj ludności miasta. Zebrana ludność, ze smutkiem i łzami w oczach opowiadała mi, że przed chwilą wywieźli stąd paru zabitych i zmasakrowanych ludzi, uśmierconych przez bolszewików, przed samem opuszczeniem miasta, których nie mogły rozpoznać strapione w niepewności o los swych najbliższych, rodziny. Dowiedziałem się również, że z lochów tej katowni często do uszu mieszkańców dochodziły jęki i rozpaczliwe krzyki mordowanych ofiar, które po śmierci nocami wywoziły auta ciężarowe, w niewiadomym kierunku.

29 kwietnia pułk rozpoczął dalszą ofensywę, wymaszerowując z Psyszcz, przez: Piaski — Wolicę — Stepek — Zarubicze, do Harlejówki, gdzie został chwilowo zatrzymany, w związku z akcją na skrzydłach, innych oddziałów. Miejscowa ludność z podziwem spoglądała na maszerujące pułki piechoty i kawalerji, dziwiąc się bardzo, że Polska po wiekowej niewoli, w tak szybkim czasie zdobyła się na tak silną i zwycięską armję. Spotykani miejscowi Polacy, ocierając łzy radości, spoglądali na maszerujące pułki z uwielbieniem, witając je radośnie i życzliwie.

Parodniowy postój w Harlejówce, na wygodnych kwaterach, oraz dobre zaprowiantowanie i piękna okolica z południowym klimatem, szybko poprawiły humory żołnierskie. Odpoczywający żołnierze, chodzili na spacerzy z dorodnemi miejscowemi dziećmi, które poubierane w swe narodowe stroje, od świtu do nocy śpiewały im ukraińskie piosenki. Patrząc na szczęśliwych napozór mieszkańców, z uśmiechem na twarzy i piosnką na ustach, zdawało się człowiekowi, że niema tu wojny i, że ludzie w tym obdarowanym szczodrze przez Boga kraju, nie zaznali żadnych zgryzot i udręki. Pozory jednak były mylne, gdyż ludność miej-

scowa była doszczętnie zniszczona i przygnębiona w tej wiosce do tego stopnia, że wzdrygała się na samo wspomnienie, opowiadając o swych przeżyciach wojennych.



Msza polowa w Harlejówce z okazji Uroczystości 3 Maja 1920 r.

3 maja, od samego rana, nastrój w Harlejówce był uroczysty. Po mszy polowej, żołnierze opowiadali miejscowej ludności o wielkiej rocznicy. Miejscowa ludność nie rozumiała tych wzniosłych dla każdego Polaka zdarzeń, zdawała sobie jednak sprawę, że musi to być wielkie święto dla żołnierzy, gdyż cała wieś przystroїła się w szaty odświętne, i gdy po południu cały 25 pułk zebrał się na placu przy cerkwi, aby wysłuchać uroczystej Akademii, zaczęli schodzić się masowo miejscowi ludzie, którzy wraz z wojskiem w skupieniu wysłuchali pięknego i treściwego odczytu, referenta oświatowego, porucznika Chmielewskiego Michała, o Konstytucji 3 Maja i Jej przykrym losie, spowodowanym brakiem jedności w narodzie i zachłannością z piekła rodem carycy Katarzyny.

Po akademii orkiestra pułkowa grała ochoczo, a żołnierze z nadobnymi dziewczynami tańczyli na placu przy cerkwi, do samego zmroku, poczem ku niezadowoleniu i serdecznemu żalowi rozbawionej ludności, żołnierze odśpiewali modlitwę wieczorną i udali się na kwatery, by czynić przygotowania, do jutrzejszego wymarszu.

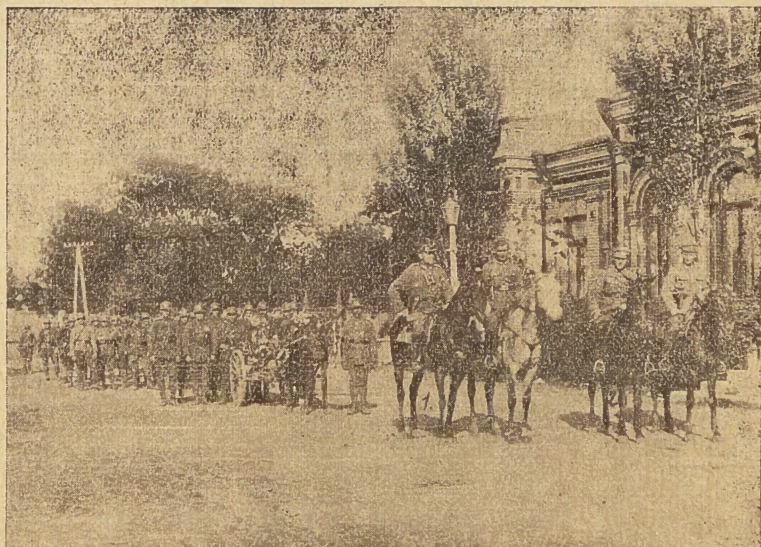
4 maja, o godzinie 6-tej zrana, cały pułk wymaszerował z Harlejówki, przez: Sokolce — Wolicę — Kitówkę — Łarewki —

Zaprowce — Poczójkę — Krasnolesy do wsi Małe Połowieckoje, dokąd przybył wieczorem, po uciążliwym marszu, całkowicie przemoknięty, gdyż pod wieczór nadciągnęła, po nader upalnym dniu silna burza, połączona z ulewnym deszczem. Czarne kłębowiska chmur zakrywały ponuro horyzont, łącząc go z czerniejącym w oddali lasem, i o godzinie 20-tej, gdy bataljon przemaszerowywał przez wieś Krasnolesy, zaczął padać tak gwałtowny deszcz, że w przeciągu krótkiego czasu, żołnierze byli doszczętnie przemoknięci. Woda spływała obficie, głębokimi strumieniami, napełniając niziny, tak, że miejscami sięgała żołnierzom do kolan. Nie był to jednak przykry deszcz, przed którym kryćby się należało. Po całodziennym dniu upalnym i uciążliwym forsownym marszu, deszcz ten był dla żołnierzy rozkoszną kąpielą, pod strumienie której z zadowoleniem nadstawiali dla ochłody, spieczone swe policzki i spragnione usta. Ulewnemu deszczowi towarzyszyły potężne grzmoty i oślepiające błyskawice, które chwilowo oświeślały teren, by go niezwłocznie pogłębić w jeszcze większe, nieprzejrzyste ciemności. Marsz zaczynał stawać się coraz bardziej uciążliwszy. Rozmoknięty, gliniasty grunt chwycił maszerujących żołnierzy za nogi, w którym grzęzli, stąpając z trudem, lub osuwając się w dół, ślizgali i wywracali, jak mali chłopcy, na zabawie. Gdy o godzinie 23-ciej przybył zmęczony bataljon do wsi Małe Połowieckoje, kapitan Bogaczewicz wystawił ubezpieczenia na drogach: Krasnolesy — Bohożono, na rozwidleniu dróg, wiodących do Michajłówki i Młyna, oraz na drodze, wiodącej do wsi Trylesy, i dopiero żołnierze, choć nadmiernie przemoknięci, udali się na spoczynek, do wyznaczonych im kwater, na których miast zasnąć niezwłocznie snem kamiennym, czyścili długo w noc swe karabiny i ryszturnek.

— „Szczęśliwy i wartościowy jest ten żołnierz, który na wojnie pielęgnację swej broni przekłada ponad odpoczynek i jedzenie, gdyż takiego żołnierza jego broń, jak prawdziwy przyjaciel, w ciężkiej sytuacji nigdy nie zawiedzie i taką bronią prawdziwy żołnierz zawsze odniesie zwycięstwo. Nazajutrz żołnierze zażywali zasłużonego odpoczynku, do samego południa, poczem po zjedzeniu obiadu zarządzona została zbiórka i po szczegółowym przeglądzie, pułk wymaszerował w kierunku Białej Cerkwi.

5 maja, podczas wspomnianego marszu do Białej Cerkwi, bataljon kapitana Bogaczewicza maszerował w straży przedniej, wysyłając na nawiązanie łączności z 26 pułkiem, do Szamrajówki, podchorążego Resslera Józefa z plutonem piechoty i strzelców

konnych, oraz dwoma karabinami maszynowymi. O godzinie 18-ej bataljon doszedł do słynnej niegdyś „Aleksandrii“, staropolskiej siedziby Branickich, leżącej na przedmieściu Białej Cerkwi. Przepiękna jeszcze tak niedawno Aleksandria, świeciła pustkami i zgłiszczami ruin, które dawały wymowne świadectwo, że tych przepięknych budowli i urządzeń dotknęła mściwa łapa głupiego i nikczemnego chłopca, podburzanego przez agitatorów komunistycznych którzy w tym czasie, w swem zapamiętaniu, pragnęli zburzyć i zniszczyć wszystko, co było piękne, wyhodowane przez kulturę wieków i pracę szeregu pokoleń. Jedyne wspaniały park przedstawiał się pięknie i imponująco, pomimo że brud i śmiecie leżały w nim od dłuższego czasu nieusunięte. Piękny park, pełen zieleni, nad uroczą i spokojną rzeką Rosią, z porośniętymi, bujną roślinnością brzegami, wyglądał jak zaczarowany zakątek z bajki.



Ofensywa Kijowska. Po zajęciu Białej Cerkwi. Jadą na czele 3-ej kompanji karabinów maszynowych 25 p. p.: 1) dowódca porucznik Salwik Aleksander, 2) ś. p. podp. Karwański Stanisław.

Pomimo tych cudów przyrody, nęcących oko ludzkie, żołnierze stanęli w karnym orydyku, oczekując na dalsze rozkazy. Ten i ów czyścił zabłocone buty, lub obciągał na sobie pomięty mundur, poprawiając z fasonem czapkę na głowie, jakby pragnął

w najlepszej formie pokazać się rodakom i ludności na ulicach Białej Cerkwi, do której za chwilę miał pułk wmaszerować.

Nadszedł rozkaz i pułk przy dźwiękach orkiestry wojskowej, ruszył ku miastu, które tłumnie wybiegło na spotkanie wojska ojczystego. Maszerujący na czele pułku bataljon kapitana Bogaczewicza, z trudem przebijał się przez zgrupowane tłumy ludzi które zasypywały żołnierzy kwiatami, przystrajając nimi lufy ich karabinów, jako zwycięzcom. Maszerujący przez miasto dziarskim krokiem żołnierze, deptali kwiaty, którymi usłali im drogę wdzięczni i życzliwi rodacy. Bryczka na której jechał dowódca bataljonu, kapitan Bogaczewicz, posuwała się wśród radosnych okrzyków ludności, jak jeden potężny bukiet kwiatów. Ludność rozentuzjasmowana, ze łzami w oczach witała żołnierzy, zapraszając ich do swych domów. Każda patriotyczna rodzina polska, pragnęła w tym dniu mieć u siebie oficera, lub żołnierza, by się nim nacieszyć, jako tym, który za cenę życia swego niósł na ostrzu swego bagnetu, znękanym rodakom wyzwolenie, z pod jarzma przemocy i gwałtu.

„Polsko! Ojczyzno Święta! Ile Cię trzeba cenić, ten tylko zrozumie, kto Cię odzyskał, po srogiej niewoli i przykrej udręce, w lochach czrezwyczajek, wśród gwałtów i mordu”.

ROZDZIAŁ XV.

Pobyt w Białej Cerkwi.

Nazajutrz po przybyciu do Białej Cerkwi, rozpoczęły się wizyty i odwiedzania przez żołnierzy domów patriotycznych mieszkańców, do których tak życzliwie podczas marszu byli zapraszani. Odwiedziłem i ja również parę domów, w których spędziłem niezapomniane dla mnie chwile. Najwięcej utkwiła mi w pamięci wizyta w jednym z domów, nazwiska gospodarzy którego nie podaję, gdyż możliwe, że do dzisiejszego czasu zamieszkują jeszcze w Białej Cerkwi i mogliby być gnębieni za swój wielki patriotyzm i miłość Ojczyzny. Otóż siedząc przy czarnej kawie w salonie, w dość licznej i miłej gronie, rozmawialiśmy o bieżących dziejach Narodu Polskiego, który po latach niewoli, wzrósł w potężną siłę i zbrojnym ramieniem buduje Swoją Ojczyznę i Niepodległość. Miejscowi goście ze łzami radości w oczach opowiadali mi o tych wszystkich cierpieniach i prześladowaniach, jakich zaznali dużo w ostatnich czasach, pod panowaniem bolszewickim, stokroć gorszym od jarzma niewoli byłych carów, gnębieli Narodu Polskiego. W czasie rozmowy, wyszedł obecny na pogawędce sędziwy staruszek, pan domu, do piwnicy i, powracając z dość sporą, omszałą butelką „Benedyktyna“, rzekł rozrzuwiony do mnie, nalewając zawartość do kieliszków:

„Przyrzekłem sobie przed 15-tu laty, że nie naruszę tego trunku wcześniej, jak na weselu mojej najstarszej wnuczki, ale skoro mamy pana u siebie, wypijmy go, bo stokroć większego doczekaliśmy wesela, od wesela mej wnuczki“.

Podczas tego przemówienia, sędziwy i patriotyczny staruszek rozplakał się rzewnie, wnosząc okrzyk i toast, za dalsze zwycięstwa Armji Polskiej i Wolnej dziś Ojczyzny, której doczekać przed śmiercią pozwoliła mu Opatrzność. W miłym nastroju spędziłem dłuższą chwilę czasu w tym zacnym, prawdziwie polskim domu, poczem pożegnawszy zacnych gospodarzy, udałem się w stronę swej kwatery, by odwiedzić swoich żołnierzy i przekonać się, jak spędzają czas i czy im czego nie brakuje, podczas odpoczynku na kwaterach.

Powracając do domu, ujrzałem pułki ułańskie, wyruszające z Białej Cerkwi. na dalsze krwawe zmagania. Na dorodnych koniach, przy dźwiękach orkiestr, jechały liczne szwadrony. Dziarskie postacie ułanów uśmiechały się zalotnie, do dziewcząt, które im kwiaty podawały, przystrajając nimi pocziwe łby końskie. Mniej śmiało rzucały koniom kwiaty pod nogi, po których ochoczo stąpały rasowe rumaki, parszając z zadowolenia. A było na to pożegnanie dzielnych ułanów, pięknych dziewoi i kwiatów tyle, że aż dziwowała się i radowała pozostająca w Białej Cerkwi piechota, że tyle tych skarbów w tem mieście jeszcze się znajduje, na pocieszenie ponurego, żołnierskiego jej żywota.



Panie z Komitetu Czerwonego Krzyża w Białej Cerkwi, które w dużej mierze uprzyjemniały ponury żywot żołnierzom.

Przebrzmiały dźwięki orkiestr ułańskich i pułki oddalały się coraz dalej, przeprowadzane tęsknym wzrokiem zebranej tłumnie ludności, która badawczo patrzyła za miasto, aż ostatnie szeregi zniknęły na dalekim horyzoncie, poczem ludność powracała do domów, z myślą o tych pięknych malowanych ułanach, którzy przed chwilą poszli na śmierć, lub zwycięstwo, w swym niezłomnym pochodzie.

Po obsadzeniu przez piechotę Kijowa i Białej Cerkwi, pułki ułańskie wyruszyły na dalekie przedpole, by szukać dalszego spotkania z nieprzyjacielem. Bolszewicy w tym czasie byli daleko za Dnieprem—hen na południu, tak, że pułki ułańskie utrzymywały teren zajęty, aż po Taraszcę, robiąc jeszcze głębsze wywiady i zagony, na nieprzyjaciela. Odżyły w dziejach ułanów i ich walkach wspomnienia dawnych walk sienkiewiczowskich, na Dalekich Polach Ukrainy. W Białej Cerkwi i okolicy życie płynęło w oddziałach spokojnym, garnizonowym trybem, tak, że przy codziennych ćwiczeniach wojskowych i innych zajęciach, czuć było w powietrzu jakby przedsmak zwycięskiego końca wojny.

9 maja 7 Dywizja piechoty urządziła na placu przed kościołem w Białej Cerkwi mszę polową, połączoną z rewją wojskową. W karnym ordynku stanęły wszystkie pułki, wypełniając całkowicie dość duży plac. Po przyjęciu raportu, przez dowódcę dywizji, pułkownika Szuberta, odbyła się msza polowa, po czym przy dźwiękach orkiestr, przedefilowały dziarsko pułki, przed dowódcą Dywizji, zarzucane kwiatami, przez zebrane tłumy ludności, wnoszące okrzyki, na cześć Armji Polskiej. Radość szczerą rozpierała serca miejscowej ludności polskiej, na widok potężnej i zwycięskiej Ich Armji Ojczystej.

*

*

*

W tym czasie bolszewicy zakończyli wojnę z armją ochotniczą generała carskiego Denikina i przerzucali liczne swe pułki i jazdę Budiennego, na południowy front polski. Stojąca na błoniach pod Białą Cerkwią, eskadra lotnicza myśliwska, Imienia Tadeusza Kościuszki, intensywnie prowadząc codzienne głębokie wywiady nad terytorjum nieprzyjacielskiem, pewnego dnia alarmująco meldowała o zbliżających się silnych kolumnach nieprzyjacielskiej piechoty z artylerją i jazdy, od strony: Karapysz-Czerkas-Kachorliku i Ćwietkowa, w kierunku Białej Cerkwi. Ten meldunek upewnił Naczelne Dowództwo, że bolszewicy gromadzą większe siły, szykując się do kontrofensywy. Na froncie nastąpiło przegrupowanie oddziałów i rozpoczęło się umacnianie Białej Cerkwi i przyległych odcinków frontowych. Prace nad umacnianiem Białej Cerkwi, pod dowództwem podporucznika Meleniewskiego, posuwały się bardzo szybko. Eskadra lotnicza prowadziła wywiady bez przerwy, meldując codziennie zbliżanie się nieprzyjaciela, w kierunku Białej Cerkwi. Pewnego dnia wystartował samolot, na przedpole, i opadł wskutek defektu w motorze, czy też wskutek postrzału, w oddaleniu 30 kilometrów od pozycji włas-

nych. Wysłany na poszukiwanie zaginionego samolotu, nieustraszony oficer i dzielny dowódca kompanji porucznik Ptasznik Władysław, po długich poszukiwaniach i walkach z patrolami nieprzyjacielskimi, odnalazł wspomniany samolot i sprowadził do Białej Cerkwi, ciągnąc go w zaprzęgu swym koniem wierzchowym, przy pomocy ludzi swej kompanji. Przeprowadzając wspomniany samolot przez okoliczne wioski, po drodze, porucznik Ptasznik powycinał na długiej przestrzeni wszystkie słupy telegraficzne, gdyż z powodu swej rozpiętości skrzydeł samolot nie mógł swobodnie jechać do domu, a odjęcia skrzydeł od samolotu porucznik Ptasznik obawiał się, by nie uszkodzić samolotu, który był potrzebny po powrocie do dalszych wywiadowczych lotów. To też po dłuższym uciążliwym marszu i wycięciu nielicznej ilości słupów telegraficznych, porucznik Ptasznik powrócił do Białej Cerkwi, sprowadzając uratowany samolot.

ROZDZIAŁ XVI.

Walki pod Białą Cerkwią.

Z chwilą podejścia do Dniepru XII armji bolszewickiej, rozpoczęły się krwawe boje pod Kijowem, na odcinku I Dywizji Legjonów, i na odcinkach całej 3-ciej Armji. generała Rydz-Śmigłego. Równocześnie zawrzały krwawe zmagania jazdy polskiej, w rejonie Taraszczy i na innych odcinkach dalekiego przedpola, z oddziałami jazdy Budiennego i oddziałami piechoty bolszewickiej, dążącej na Białą Cerkiew, do opanowania jej i uderzenia na skrzydło 3-ciej Armji Polskiej, walczącej pod Kijowem.

21 maja, walcząca na przedpolu jazda polska, w rejonie Taraszczy, zameldowała o zajęciu przez nieprzyjaciela Michajłówki i Bohusławia i wysunięciu oddziałów czołowych do Karapysz. Na skutek tych wiadomości, 7 Dywizja Piechoty otrzymała rozkaz ubezpieczenia prawego skrzydła 3-ciej Armji. Po otrzymaniu rozkazów z dowództwa Dywizji, na przedpolu wyruszyła piechota, obsadzając pozycję w dniu 23-go maja, jak niżej:

25 pułk obsadził dwoma bataljonami pozycję, na linii rzeki Rosi, Białą Cerkiew i za rzeką wsie: Korzanę i Biriuki.

26 pułk obsadził pozycję, nad rzeką Uzień (dopływ Rosi) na linii: Krasna—Jankówka—Ostryjki—Czepielówka—Mołodeckoje.

27 pułk piechoty obsadził pozycję, od rzeki Rosi na linii: Głęboczka—Szkarówka.

III bataljon 25 pułku pozostał w Białej Cerkwi, jako odwód dowódcy Dywizji, prowadząc wyszkolenie i prace nad umocnieniem pozycji. W tym czasie, podczas kąpieli po pracy, natrafił na głębie i utonął szeregowiec 3-iej komp. karabinów maszynowych 25 pułku, Rogólski Konstanty, którego pomimo usilnej pomocy lekarskiej nie udało się uratować. Szeregowiec Rogólski miał pogrzeb bardzo uroczysty. Przy dźwiękach orkiestry wojskowej, posuwał się przez ulice miasta pogrzeb, odprowadzający na miejsce wiecznego spoczynku tego, któremu los nie pozwolił zginąć śmiercią bohaterską na placu boju. To też z żalem odprowadzali go do

mogily koledzy i towarzysze broni, którzy przetrwali z nim liczne dnie zwycięstw i niebezpieczeństw, na dawnych polach bitew. Wojsko sprezentowało broń, orkiestra odegrała marsza żałobnego, towarzysze broni odmówili cichą modlitwę i odśpiewali pieśń żołnierską, dziewczęta okoliczne przybrały mogiłę kwieciami i pokropiły ją łzami. Wszyscy rozeszli się w skupieniu do swych zajęć codziennych—pozostała jedna więcej zapomniana mogiła, nieznanego żołnierza, o miejscu której nie dowie się i nie odwiedzi jej nigdy ojciec, matka jak również nikt z rodziny i drogich osób zmarłego.

* * *

Skończył się odpoczynek piechoty. Po spełnionem zadaniu schodziła z przedpola kawalerja, ustępując miejsca piechocie, która swą pierś miała zatrzymać pochód wroga. Na zmęczonych koniach, okryci sławą i ranami, oraz krwią własną zbryzgani, powracali ułani na zasłużony chwilowy odpoczynek, by po chwili wytchnienia wystąpić wspólnie z piechotą, na dalsze krwawe zmagania. Do późnej nocy stuk kopyt końskich i turkot armat i wozów głośił, jak dzwon ostrzegawczy, że wróg nadchodzi i że do krwawej rozprawy z nim w krótkce dojść musi. Cała załoga Białej Cerkwi była w ostrem pogotowiu, by w każdej chwili wystąpić do boju, gdy wróg do miasta się zbliży. Tej nocy na przedpolu 11 kompanji porucznika Kotowskiego dała się słyszeć silna detonacja. Wysłany patrol na przedpole skontatował wysadzenie toru kolejowego w powietrzu i przyłapał komunistę, przecinającego druty telefoniczne. Naskutek wiadomości o ciężkich walkach Dywizji jazdy, generała Karnickiego, i 27 pułku piechoty, z jazdą bolszewicką Budiennego pod Tatoryńką, dowódca 7 Dywizji, pułkownik Szubert wydał rozkaz szybkiego umocnienia Białej Cerkwi, by przyjąć bój z większymi siłami nieprzyjacielskimi, które z każdym dniem zbliżały się coraz bardziej do Białej Cerkwi.

26 maja II bataljon 25 pułku prowadził silne boje z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, wspieranymi ogniem licznej artylerji i dwóch pociągów pancernych, to też po parogodzinnej walce wycofał się z Olszannicy do Rokitna. Nazajutrz 27 maja nieprzyjaciel zaatakował silnie 26 pułk piechoty, rozrzucony przeszło na 25-kilometrowym odcinku, który prawie że nie posiadał odwodów, gdyż cały pułk przebywał na pozycjach rozległego odcinka. Po kilkugodzinnej obronie, 26 pułk został zaatakowany od strony stacji kolejowej Sucholesy przez trzy nieprzyjacielskie pociągi pancerne, przy współudziale silnych oddziałów nieprzy-

jacielskich, i został wyparty z zajmowanej pozycji. II bataljon 26 pułku rozpoczął odwrót i nad ranem przybył forsownym marszem do Białej Cerkwi, gdzie zameldował dowódcy dywizji o silnym natarciu nieprzyjacielskim i ciężkich dnia poprzedniego walkach. W obawie przed oddziałami nieprzyjacielskimi, które mogły wkrótce przybyć do Białej Cerkwi za cofającym się bataljonem 26 pułku, dowódca 7 dywizji zaalarmował przebywający w odwodzie dywizji bataljon kapitana Bogaczewicza, który niezwłocznie obsadził Białą Cerkiew od strony południowo - wschodniej i przedmieście Rotek. Rozwidniło się już dobrze, a nieprzyjaciel do Białej Cerkwi nie podchodził. Wysłane na przedpole silne patrole oficerskie, również w promieniu 10 kilometrów nieprzyjaciela nie skonstatowały. Cały dzień ten przeszedł spokojnie, przy pracach nad umocnieniem zagród z drutu kolczastego przed Białą Cerkwią nad rzeką Rosią i dalej na przedpolu, aż do Czerwonego Młyna.

Zbliżał się wieczór, wśród ogólnego podniecenia, gdyż wysyłane patrole na dalekie przedpole, nigdzie nieprzyjaciela nie odnalazły i nie nawiązały z nim kontaktu. Dowódca 7 dywizji, pułkownik Szubert, wykorzystując zatrzymanie się nieprzyjaciela, po zeszłodniowych walkach, przejął inicjatywę w swoje ręce i zdecydował się na przeciwnatarcie i odzyskanie utraconych pozycji.

28 maja, o godzinie 1.30, wyszedł rozkaz operacyjny 7 dywizji piechoty, za liczbą dziennika 430, nakazujący dowódcy XIII brygady piechoty pułkownikowi Hermanowi, przeprowadzenie kontrataku o świcie dnia 28 maja dwoma bataljonami 11 pułku i jednym 26-go, z rejonu Pieszczanaja, w kierunku na Ostryjki i dalej wykorzystując powodzenie, na Czepielewko i Mołodeckoje. W związku z tą akcją, bataljon kapitana Bogaczewicza, wyruszył tej nocy o godzinie 2-iej, pod osłoną pociągu pancernego „Paderewski“ z Białej Cerkwi do Tomiłówki, kierując się lasami, w pobliżu toru kolejowego, by nie wpaść w zasadzkę, pod ogień nieprzyjacielskich pociągów pancernych. Nie napotkawszy nieprzyjaciela, bataljon zajął Tomiłówkę, gdzie stanął, ubezpieczając się placówkami i patrolując przedpole. Pomimo spodziewanej ciężkiej walki w tym dniu, gdyż pułkownik Szubert, wysyłając pociąg pancerny, dał mu wyraźny rozkaz, by poświęcić go dla dobra akcji, byleby odzyskać utraconą pozycję, spokój na froncie panował wszędzie. Jak cisza przed burzą, tak i tutaj na terenach piekła wczorajszego placu boju, panował spokój i cisza. Ani jeden strzał nie przerwał spokoju, tego dnia wypoczynku żołnierskiego.

30 maja, jak w każdym dniu świątecznym, ludność miejscowa powychodziła na ulicę w odświętnych strojach. Młode krasedziewoje, w czerwonych chusteczkach na głowie przypominały mi, że jest to dzień świąteczny i że wogóle dnie świąteczne istnieją, tak na wojnie jeden dzień do drugiego jest podobny. Patrząc na przystrojone w odświętne szaty dziewczęta i na ciszę, jaka panowała dokoła, myślałem, że niema tu wojny, i pędząc myślą stęsknioną do swych lat dziecinnych, wspominałem chwile radosnej młodości zdala od tych krwawych czasów, gdy z tej ponurej zadumy zostałem wyrwany silną i raptowną kanonadą artyleryjską. Były to strzały z naszego pociągu pancernego, z wyciem i chichotem przelatujące nad moją głową i pękające na dalekim przedpolu, w pobliżu nieprzyjacielskich pociągów pancernych, ukrytych w gęstwinie i na skraju lasu dymiących ze swych kominów parowozowych, które ich zdradziły. Pociągi pancerne bolszewickie na ogień naszego pociągu pancernego nie odpowiadały. Stojąc w ukryciu, jak upiory szatańskie, gotowe w każdej chwili do skoku, lub zionięcia morderczym ogniem swych gardzieli, armat i karabinów maszynowych, stały milczące. Pociąg pancerny „Paderewski“ miotał na nie bez przerwy pociski artyleryjskie, naskutek czego pociągi pancerne bolszewickie cofnęły się głębiej w las, przeciągając leniwo, jak gadziny wstrętne, swe opancerzone, błyszczące cielska, na zakręcie toru kolejowego. Kapitan Bogaczewicz rozkazał porozkręcać tor kolejowy od strony nieprzyjaciela, by nie zostać zaskoczonym manewrem i ogniem stalowych potworów, jak również by doprowadzić do wykolejenia się któregośkolwiek z nich, i częste patrole wychodziły na przedpole, by zwabić pociągi pancerne, lecz to nie odniosło skutku. Pociągi pancerne stały w ukryciu i cisza niczem niezamącona panowała nadal na całym odcinku.

Wreszcie o godzinie 14-tej gwałtowna strzelanina armatnia przerwała ciszę dnia. Nieprzyjacielska artylerja, przy pomocy pociągów pancernych ze stacji kolejowej Sucholesy, skierowała gwałtowny ogień artyleryjski na odcinek I bataljonu 25 pułku, na linji: Biriuki — Korzanka, wsie znajdujące się za rzeką Rosią, i jednocześnie silne tyraljery piechoty nieprzyjacielskiej, przy pomocy kawalerji ruszyły do ataku, wykorzystując podejście laskiem od strony wsi Pugaczewki, na lewe skrzydło I bataljonu, gdzie bronił się dzielnie porucznik Danecki z 4-tą kompanją 25 pułku i plutnem C. K. M. por. Dąbczyńskiego Eugenjusza. Wzmagająca się kanonada artyleryjska i silna strzelanina karabinowa i karabinów maszynowych, nie zwiastowała nic dobrego.

Można było ocenić sytuację tak, że nieprzyjaciel naciera przeważającymi siłami i że może zepchnąć broniący się bataljon do rzeki i zadać mu klęskę topieli, gdyż rzeka Roś w tem miejscu była nie do przebycia w bród, ze względu na swą dwumetrową głębokość.

Porucznik Studziński, dowódca 9 kompanji bataljonu kapitana Bogaczewicza wysłał na pomoc porucznikowi Daneckiemu jeden pluton swej kompanji z własnej inicjatywy, pod dowództwem bardzo dzielnego i nieustraszonego swego sierżanta Konrada Jagmin-Sadowskiego, który po przebyciu mostu na rzece Rosi i zajęciu wsi Biriuki, został okrążony przez bolszewików, gdyż kompanja porucznika Daneckiego wycofała się na skraj lasu, przed przybyciem plutonu 9 kompanji, o czem sierżant Jagmin nie wiedział, śpiesząc na pomoc zagrożonej kompanji. Obskoczony ze wszystkich stron przez żołnierzy bolszewickich, ten dzielny podoficer nie stracił zimnej krwi i pragnął walczyć do ostatniego tchu, i z bagnietem w ręku rzucił się na nieprzyjaciela, torując sobie drogę odwrotu. Sierżant Jagmin-Sadowski przebił się z powrotem do Tomiłówki przez most na rzece Rosi, tracąc 6-ciu zabitych swoich żołnierzy.

Sytuacja I bataljonu 25 pułku stawała się z każdą chwilą coraz cięższa. Bolszewicy przenieśli ogień artylerji na wieś Kożankę i posuwając się dalej, po zajęciu wsi Biriuki, zdobyli chwilowo baterję 7 pułku artylerji polowej, stojącą pod lasem, tuż przy wsi Kożanka. Na spienionym koniu przygłupował z Kożanki do Tomiłówki adjutant I bataljonu i wręczył kapitanowi Bogaczewiczowi pismo, w którem dowódca I bataljonu prosił o pomoc. Kapitan Bogaczewicz wysłał niezwłocznie 10-tą i 11-tą kompanję na pomoc I bataljonowi. Wyznaczone kompanje wyruszyły pospiesznie na pomoc, lecz zanim przybyły do Kożanki, dowiedziały się od dowódcy 1 bataljonu, Majora Wir-Konasa, że utracone armaty zostały przed chwilą odebrane bolszewikom przez I bataljon. Nie tracąc czasu, obie kompanje podążyły w stronę wsi Biriuki, na pomoc 4 kompanji porucznika Daneckiego, która nadal była w walce z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Na skraju lasu przed wsią Biriuki, kompanje otrzymały silny ogień artylerji nieprzyjacielskiej i zauważyły tyraljery, posuwające się w ich stronę. Nie tracąc czasu, kompanje rzuciły się do szturm na bagnety i brawurowem uderzeniem zmusiły atakujące oddziały bolszewickie do ucieczki. Po ucieczce nacierającej piechoty, jazda bolszewicka wykonała szarżę na obie kompanje, lecz dostawszy się pod silny i celny ogień obu kompanij, szybko zawróciła i uszła z placu boju, zaścielając pole trupami ludzi i koni. O zmroku przybył do Kożanki cały

bataljon kapitana Bogaczewicza, na złuzowanie zmęczonego bojem I bataljonu.

Po przybyciu na plebanję w Kożance, gdzie kapitan Bogaczewicz założył swoje dowództwo, dowiedziałem się, że w tym boju zginął dowódca 1 kompanii karabinów maszynowych 25 pułku piechoty, podporucznik Karwański Stanisław, pochodzący z Kielc. Żal szczerzy targał moje serce, gdyż był on przez dłuższy czas moim oficerem kompanii i w tydzień po odejściu do I bataljonu zginął, bo takie było jego przeznaczenie. Oficer ten, przeczuwając śmierć, odczuwał lęk niewytłumaczony podczas bitew. Koledzy oficerowie śmiali się z jego ostrożności i szydzili. Mając w życiu kilka przykładów na wojnie, gdzie najodważniejsi moi żołnierze, którzy polegli, odczuwali niewytłumaczony lęk przed śmiercią, brałem tego oficera w obronę i współczułem mu szczerze. Śmierć czyhała na podporucznika Karwańskiego podczas różnych bojów bez przerwy, ja ze swej strony przeczuwając, że zginie, zawsze oszczędzałem go i nie posyłałem tam, gdzie było bardzo niebezpiecznie. I tak przez rok czasu idąc ze śmiercią w zawody o życie tego człowieka pilnowałem go jak oka w głowie, by mi nie zginął. I gdy pułkownik Zienkiewicz zabrał go ode mnie na stanowisko dowódcy kompanii karabinów maszynowych I bataljonu, żałowałem go szczerze, bo przeczuwałem, że wkrótce zginie. Jak zły prorok, meldowałem nawet dowódcy pułku, by porucznika Karwańskiego ode mnie nie zabierał, bo zginie, lecz wobec braku oficerów, dowódca pułku nie zgodził się na moją prośbę i zdecydował przydział podporucznika Karwańskiego na dowódcę 1 kompanii karabinów maszynowych, tłumacząc, że porucznik Karwański w bataljonie kapitana Bogaczewicza tak już się wszystkiego nauczył, że nic mu nie grozi, oraz, że da sobie radę sam na wojnie. Słuszne okazały się moje przeczucia. Tydzień tylko los pozwolił podporucznikowi Karwańskiemu dowodzić kompanją i zabrała go śmierć nieubłagana. Znamienny fakt wydarzył się, gdy zegnałem odchodzącego z mej kompanii podporucznika Karwańskiego herbatką. Na wspomniane pożegnanie przybyły również panie z Białej Cerkwi, których podporucznik Karwański był nielada ulubieńcem. Bo jakaby nie kochała wojaka, który każdą chwilę czasu poza bojem, czy okopami poświęcał im szczerze. Podporucznik Karwański wynajdywał skrupulatnie w okolicach przyfrontowych, różne ukazujące się i ukrywane przez ciocie i babcie ślicznotki, dla których miewał zawsze bombonierki czekoladek i dla których chętnie urządzał w każdej wolnej chwili czasu spacer i przejażdżki konne. Nic też dziwnego, że tak licznie

przybyły znaczne białogłowy na pożegnanie swego wielbiciela, wygłaszając wyraźnie swe niezadowolenie pod moim adresem, że wielka szkoda, że nie ja odchodzę, a podporucznik Karwański. Nie zwracając uwagi na niegrzeczne, choć szczere wywody niepokieszonych ślicznotek, byłem w dobrym humorze i ucztą pożegnalną zapowiadała się dobrze i wesoło, lecz miły i wesoły nastrój popsuło przebywanie w naszym towarzystwie „Medjum domorosłe”, które wpatrując się badawczo w oczy podporucznika Karwańskiego, jak kruk złowieszczy, wypowiedziało przykre i drażliwe słowa: „Pan zginie! Niech się pan strzeże, panie poruczniku”. Widząc, jak po tych przykrych słowach, podporucznik Karwański zbladł i postawił na stole trzymany puhar wina, zerwałem się jak opętany i pomimo, że w życiu nie lubię denerwować się i być niegrzecznym w towarzystwie pań, uderzając pięścią w stół, krzyknąłem tonem rozkazującym: „Zabraniam pani wygłaszać takie bezsensowne brednie, które psują dobry nastrój dzisiejszego wieczoru pożegnalnego”.

Zaskoczone mojem awanturniczem wystąpieniem, całe towarzystwo przystąpiło do mnie, prosząc bym się uspokoił — niewzruszone było tylko „Medjum domorosłe”, które wpatrując mi się bezczelnie i śmiało w oczy, skrzeczało nadal swym złowieszczym głosem:

„Niech się i pan wystrzega, panie poruczniku, bo i nad panem krąży wielkie niebezpieczeństwo!”

Oburzony do ostateczności, panowałem nad sobą ostatecznymi siłami woli, by nie wybuchnąć powtórnie, pod adresem „skrzeczącej przepowiedni”, która na uzupełnienie swego występu siadła do fortepianu i grając jakąś smętną melodię, recytowała dalej jak Wernyhora:

„Nie masz odwołania od wyroków Bożych i losu przeznaczenia. Widzę liczne nadchodzące hordy wroga, krew i mogiły.”

Spojrzałem na podporucznika Karwańskiego. Siedział blady i smutny, czując się jakby był na swoim pogrzebie za życia, to też pragnąc przyjść mu z pomocą, pożegnałem całe towarzystwo i odprowadzając go do domu, mówiłem przekonywująco, patrząc ze złością na dom białocerkiewskiej wyroczni:

„Mówiłem panu już nieraz, że na wojnie trzeba unikać kobiet, jak najgorszego zła, bo swem gadulstwem i narzekaniem zdolne są wsączyć apatię i zniechęcenie, nawet w najdzielniejsze i nieustraszone serca żołnierskie.” Podporucznik Karwański, kiwał głową potakująco, lecz myśli jego były zajęte spotęgowaniem przeczuciem niebezpieczeństwa, które krążyło nad jego głową. Ja również nie mogłem wyzbyć się myśli, które tłoczyły

mi się do głowy i wiedziałem, że to jest nasze ostatnie spotkanie i pożegnanie. I faktycznie. Po tygodniu czasu, podporucznik Karwański poległ w walce pod Kożanką.

Po krwawym boju pod Kożanką, nastąpiła noc cicha i spokojna. Ciepłe opary tej nocy letniej sączyły w piersi przemęczonych walką żołnierzy jakiś balsam odżywczy, błogiego wytchnienia. Tylko ciszę tej nocy pięknej przerywał oddalony turkot wozów, odwożących rannych żołnierzy do szpitali, lub pojedynczy, oderwany, ostatni jęk konającego rannego żołnierza,



1) Ś. p. podporucznik Karwański Stanisław na przejażdżce konnej.

którego po boju pozostawili towarzysze broni w zbożu lub kartoflisku, będąc ważniejszymi sprawami zajęci w walce z nieprzyjacielem, którego za wszelką cenę pragnęli pokonać, aż do całkowitego zwycięstwa. I znów wzeszedł po nocy poranek cichy i uroczy, jakby los pragnął zesłać chwilę wytchnienia i pocieszenia przemęczonym i okaleczonym żołnierzom, po tem piekle walki dnia poprzedniego. Uroczne słońce rozjaśniło ponure po nieprzespanej nocy oblicza żołnierzy, którzy czuwając z najeżonym bagnietem w okopach, zapatrzeni w stronę nieprzyjaciela, wyglądali w swych hełmach stalowych, jak niezłomni niegdyś „Rycerze Rzymscy.” Słońce oświeciło piękny krajobraz, pełen zieleni i świergocącego ptactwa i zdawało się wszystkim,

że w tym szczęśliwym i uroczym zakątku ziemi niema wojny, gdyby nie świadczyły o tem leżące jeszcze, niepogrzebane trupy ludzi i koni, po wczorajszym krwawym boju. Leżące na ziemi pomordowane konie, z rozdętymi kałdunami, sztywnymi nogami i wyszczerzonymi zębami, sprawiały bardzo przykry widok. Obok nich leżały ciała poległych żołnierzy bolszewickich. Odziani w łachmany, zakrwawieni, ze zczerniałymi od słońca twarzami, byli podobni do wysłanników piekła, rzuconych na pola bitew do zgnębienia Zmartwychwstałej Polski i świata cywilizowanego. Po tem ponurem pobojuwisku uwijali się żołnierze, którzy przy pomocy miejscowej ludności grzebali poległych.

Widok ściąganych do dołów żołnierzy bolszewickich i zasypywanych ziemią, czynił przykre i przygnębiające wrażenie. Patrząc na taką scenę człowiek zagłębia się w niezbadane losy człowieka na wojnie i przenosi się myślą współczucia do nieznanym sobie rodzin poległych żołnierzy, nawet nieprzyjacielskich, które może nieprzeczuwają nawet, że w tej chwili grzebią na zawsze zwłoki ich ojca, brata, lub może kogoś bardzo drogiego, którego już więcej nigdy nie zobaczą.

Spodziewając się dalszych silnych ataków nieprzyjacielskich na Biriuki i Kożankę, kapitan Bogaczewicz nakazał jak najszybsze umacnianie pozycji. Od świtu do późnej nocy dnia tego pracowali wszyscy żołnierze nad budową zagród z drutu kolczastego, które miały zatrzymać jak najdłużej atakujące oddziały nieprzyjacielskie, pod ogniem naszych karabinów maszynowych. Wracając o późnym zmroku na kwaterę, po całodzienniej mozolnej pracy, podczas upalnego dnia, odwracałem ze wstrętem twarz od olbrzymiego pod wsią kartofliska, wydającego odurzającą woń trupią. Słabo i płytko przysypane ciała poległych żołnierzy bolszewickich, przy pospiesznem grzebaniu na kartoflisku, fermentowały, wydając przykrą do zniesienia woń trupią. Obok drogi przy krzyżu stała gromada chłopów i bab wiejskich, która podeszła do mnie i wskazując na kartoflisko, podobne do cmentarzyska, zapytywali ze smutkiem, „jak oni teraz będą jeść te kartofle.” Zbywając zmartwionych szczerze wieśniaków, jakimś pocieszającym frazesem, szedłem dalej, współczując mocno tym nieszczęśliwym mieszkańcom okolic przyfrontowych, skazanych często na nędzę, śmierć, lub kalectwo i inne dolegliwości, w postaci cmentarzysk w kartofliskach i ogrodach warzywnych.

1 czerwca posterunki obserwacyjne meldowały zauważone kolumny nieprzyjacielskiej piechoty i jazdy, które przesuwaly się wzdłuż frontu. To wróg czynił przegrupowania, by zebranymi

siłami uderzyć na oddziały polskie i zmusić je do odwrotu. Wysłane na przedpole patrole potwierdziły te wiadomości. Na całym odcinku zwiększono czujność i spodziewano się ataków nieprzyjacielskich. Dowódca 7 dywizji piechoty pułkownik Szubert chwycił się jedyne go środka ratunku. Urządził wypad na przedpole, by zadać straty nieprzyjacielowi, utrudnić jego przegrupowanie, a co najważniejsze, by poderwać jego siłę moralną, akcją zaczepną ze swej strony.

2 czerwca, w związku z akcją wypadową I dywizji Legjonów i 7 dywizji piechoty na: Czerkasy-Bykową Groblę i Jodków, kapitan Bogaczewicz spodziewając się natarcia nieprzyjacielskiego, pozostawił swoją 11-tą kompanię na całym przeszło 10 kilometrowej długości odcinku bataljonu, między Biriukami i Kożanką, pozostałymi zaś trzema swemi kompanjami urządził wypad z Biriuk na Pugaczewkę, wysyłając 10-tą kompanię z podporucznikiem Łukasińskim, na obojętne skrzydła nieprzyjacielskiego w prawo, na wzgórzach: 184 i 197, by łatwiej było flankowem uderzeniem spędzić nieprzyjaciela z zajmowanych pozycji, gdyby stawiał zdecydowany opór. Spędzona ze wzgórza kawalerja nieprzyjacielska cofała się pośpiesznie na południe. Podporucznik Łukasiński, widząc cofającego się nieprzyjaciela, ścigał go zawzięcie i zapędził się przeszło trzy kilometry za nakazaną linię wypadową, ginąc z oczu wśród dojrzewających łąnów zboża, gdzie został okrążony przez przeważające siły nieprzyjacielskiej jazdy i piechoty, z którymi walczył po bohatersku, przechodząc dwa razy do szturm na bagnety, co go uratowało. Po zdobyciu wzgórz przez 9-tą i 12-tą kompanję, nieprzyjaciel wycofał się i bitwa ustała.

Wysłane patrole łącznikowe w prawo nie mogły jednak nawiązać kontaktu z kompanją podporucznika Łukasińskiego, która winna była zjawić się na wzgórzu, wraz ze szturmującemi kompanjami, które wzgórze już dawno zajęły.

Kapitan Bogaczewicz zaczął się niepokoić o swą kompanję 10-tą i słysząc silną strzelaninę na dalekiem przedpolu, bez chwili namysłu wydał rozkazy do natarcia całego bataljonu naprzód, gdyż był pewien, że tam walczy jego odosobniona kompanja. Gdy nadeszły kompanje bataljonu na pomoc, sytuacja 10 kompanji była bardzo ciężka. Okrążona ze wszystkich stron, przez przeważające siły nieprzyjacielskie, walczyła bagnetem i granatami ręcznemi, by niedać zabrać się do niewoli. Po odpędzeniu oddziałów nieprzyjacielskich siłą całego bataljonu, kapitan Bogaczewicz zarządził powrót na dawne pozycje i wypad

został zakończony, doprowadzając do tego, że następne dwa dni nieprzyjaciel siedział cicho i nie niepokoił naszych oddziałów.

4 czerwca silne patrole bojowe na całym odcinku bataljonu prowadziły intensywnie wywiad, wdając się w walkę z naszą po-



*Podporucznik Łukasiński Konrad, dowódca 10 komp. 25 p. p.
Były b. czynny członek P. O. W., znany z udziału w napadzie
na wojskową kasę austriacką pod Bąkowcem i podczas akcji
w powstaniu Górnoląskim.*

zycją głównego oporu. Wolałby człowiek na wojnie diabła zobaczyć, niż takie atakujące patrole nieprzyjacielskie, badające szczegółowo siłę i ugrupowania pozycji, gdyż pomimo, że człowiek nie obawia się samych patroli, to jednak wie, że zwiastują

one mające wkrótce natarcie nieprzyjacielskie, a chwila niepewności i oczekiwania na atak nieprzyjacielski jest na wojnie nieprzyjemniejsza od chwili samego boju.

Po wycofaniu się patroli nieprzyjacielskich, wyruszyły niezwłocznie na przedpole patrole własne, a dowódcy kompanij uzupełniali żołnierzom amunicję do 200 sztuk na karabin i do 10000 na karabin maszynowy, by w razie boju mieli czem dłużej strzelać bez uzupełnienia. Z nadchodzącą nocą na wszystkich placówkach zwiększono czujność nie tylko przed napadem nieprzyjacielskim, lecz również na wiadomość, że na przedpolu znajdowały się przeciwbolszewickie oddziały partyzanckie: w rejonie Trypolja oddział Trypeta, w sile 300 ludzi, pod Taraszcą kureń Barczuka, około 300 ludzi i, w rejonie Tetiew-Zaszków-Stawiszcz i Żydowska Giebla, Sicz Zaporoska, atamana Kurowskiego w sile 1500 ludzi, by ich nie ostrzelać przez pomyłkę, gdyby te oddziały z jakichkolwiek powodów zbliżyły się do naszych pozycji, lub gdyby pod naporem sił bolszewickich były zmuszone cofnąć się na nasze pozycje. Nad ranem zwiększono czujność jeszcze bardziej i to nie tylko od strony nieprzyjaciela, lecz również od tyłu, gdyż przyszła wiadomość, że armja konna Budiennego, licząca 12000 szabel, z autami pancernymi przerwała się na nasze tyły do rejonu Antonowa i zagraża naszym pozycjom. Cały bataljon przebywał w ciągłej gotowości bojowej, do przyjęcia walki w każdej chwili i z każdego kierunku, a żołnierzom zabroniono wydalać się z rejonu kompanji, nawet na najbliższe odległości bez broni, by w każdej chwili mogli walczyć z kawalerją, która w każdym czasie mogła się zjawić, działając przez zaskoczenie. Nadeszły dalsze wiadomości, że armja konna Budiennego posunęła się dalej w stronę Żytomierza i przecięła tor kolejowy: Koziatyn-Fastów i że poważnie zagraża od tyłu oddziałom polskim, stojącym w rejonie Kijowa i Białej Cerkwi, oraz że na przedpolu stoją silne oddziały nieprzyjacielskiej piechoty w rejonie: Poprawka-Nastasza i Taraszcza.

7 czerwca czytano żołnierzom na placówkach rozkaz pochwalny dowódcy XIII brygady piechoty, w którym dziękował oficerom i żołnierzom bataljonu kapitana Bogaczewicza, za ich bohaterski wysiłek, podczas walk w dniu 30 maja, zachęcając ich do dalszych chlubnych zwycięstw, gdy o godzinie 13-tej wyszło silne natarcie nieprzyjacielskie, na całym odcinku bataljonu, od Biriuk do Kożanki, przy silnem poparciu artylerji. Postawa żołnierzy bataljonu kapitana Bogaczewicza w tym boju była niezachwiana. Z okrzykiem „Zwyciężyć lub zginąć!” rażno prażyli żołnierze, ze swych rozgrzanych karabinów od nadmiernego ognia, do pope-

dzanych z tyłu przez komisarzy licznych tyraljer nieprzyjacielskich. Karabiny maszynowe terkotały bez przerwy, zbierając obfite żniwo. Artylerja nasza również strzelała bez przerwy, zadając straty więcej zgrupowanym celom na przedpolu. Dwukrotny atak nieprzyjacielski na 9-tą, 10-tą i 12-tą kompanję załamał się krwawo, tak, że kapitan Bogaczewicz nie używał w tym boju nawet swej kompanji odwodowej. Przedpole pokryło się zabitymi i rannymi żołnierzami nieprzyjacielskimi obficie. Złamane na duchu tyraljery nieprzyjacielskie zapadły na przedpolu i bitwa ustała. Wkońcu oddziały bolszewickie wycofały się na Pugaczewkę, pozostawiając pole usłane trupami. W dużej mierze przyczynili się do zadania ciężkich strat nieprzyjacielowi w tym boju: sierżant Trybuła, plutonowy Błach i starsi szeregowcy Koziół Jan i Marzec, którzy nie zwracając uwagi na zbyt bliskie podejście szturmujących oddziałów bolszewickich, prażyli ogniem ze swych karabinów maszynowych własnoręcznie, aż do całkowitego zwycięstwa. Po skończonym boju, idąc wzdłuż linii obronnej bataljonu, spotkałem sołtysa z Kożanki, idącego w towarzystwie 30 ludzi z łopatami, do pogrzebania poległych żołnierzy bolszewickich. Stroskany sołtys, popatrzawszy na pobojuwisko, podszedł do mnie, mówiąc tonem błagalnym: „Panie! Nie zabijajcie tyle tych bolszewików, bo ich grzebać nie nadążymy.” Zwymyślawszy troskliwego sołtysa, nakazałem mu śpieszyć się, by przed nocą wszyscy zabici byli pogrzebani, i powracając do bataljonu, myślałem ponuro o krwawych zmaganiach ubiegłego dnia i co nam przyniesie dzień następny. Czy bataljon wyjdzie z tych ciężkich walk zwycięsko, jak dotychczas, gdzie mu szczęście i powodzenie zawsze sprzyjało?

ROZDZIAŁ XVII.

Odwrót z pod Białej Cerkwi.

8 czerwca, jakby przeczuwając złe wydarzenia dnia następnego, nikt nie spał tej nocy. Kapitan Bogaczewicz siedział zamyślony ze swym adjutantem, nic nie mówiąc do siebie. Przechadzając się bez celu samotnie, podczas pogodnej i pięknej nocy, stanąłem na moście uroczej rzeki Rosi i patrząc na jej śliczne i ciche wody, uchwycone w bujną roślinność brzegów, myślałem o przebytych bojach, poczem udałem się do swej kwatery, przy dowództwie bataljonu i zasiadłem do swego pamiętnika, by wypełnić w nim dzieje walk i zdarzeń ostatniego tygodnia. O godzinie 2-giej w nocy odezwał się dzwonek telefonu. Telefonował z Białej Cerkwi dowódca 25 pułku, pułkownik Zienkiewicz, nakazując niezwłoczne ściągnięcie z pozycji bataljonu i jaknajszybsze przybycie do Białej Cerkwi, gdzie bataljon otrzyma dalsze rozkazy. Na zapytanie, kto zmieni bataljon na pozycji, dowódca pułku odpowiedział, że nikt, i na tem rozmowa urwała się. Prawdopodobnie zaraz po tej rozmowie, w dowództwie pułku telefoniści zdjęli aparat telefoniczny i zaczęli zwijać linję telefoniczną. Jak grom, spadła ta nagła wiadomość na obecnych przy telefonie oficerów, którzy wiedzieli, że cofnięcie się z Kożanki do Białej Cerkwi, bez boju i zluzowania bataljonu na pozycji, nie wróży nic dobrego, lecz nie czas było nad tem medytować — rozkaz jest rozkazem i trzeba było go niezwłocznie wykonać.

Telefoniści nadali niezwłocznie telefonogramy do dowódców kompanij, by natychmiast zdjęli swoje kompanje z pozycji i by przybyli jak najszybciej na zbiórkę bataljonu, do Kożanki, przy moście na rzece. Łatwo jest w takich razach wydać pośpiesznie rozkaz, lecz trudniej go wykonać, by ściągnąć bataljon na zbiórkę, z 10 kilometrowego odcinka. Zawdzięczając jednak pośpiechowi i nadmiernej obowiązkowości dowódców kompanij, do godziny czwartej rano, bataljon stanął na zbiórce, oczekując dalszych rozkazów do odwrotu. Pierwsze promienie wschodzą-

cego słońca, jakoś żałośnie żegnały tego dnia odchodzący bataljon, po tylu zwyciężkich i chlubnych walkach na tych polach, usianych licznymi mogiłami wrogów, oraz zroszonych krwią i potem odchodzącego bez boju bataljonu. Bez najmniejszej chwili zwłoki, bataljon ruszył marszem ubezpieczonym w stronę Białej Cerkwi, dokąd wzywał go rozkaz dowódcy pułku. W straży przedniej posuwała się kompanja 9-ta porucznika Studzińskiego Franciszka, która dla bezpieczeństwa wysłała jeden pluton, jako straż boczną bataljonu. Nieprzyjaciel za bataljonem nie postępował i nie utrudniał mu marszu. Widocznie nie zauważył zejścia z pozycji odchodzących oddziałów, lub też może lecąc otrzymane w poprzednich bojach rany, nie miał zbytnio chęci zaczepiać niebezpiecznego dla siebie, odchodzącego bataljonu, który w każdej chwili mógłby się wrócić i zadać nieprzyjacielowi nowe cięgi. Posuwając się bardzo forsownym marszem bez odpoczynku, bataljon w ciągu niecałych trzech godzin przebył 16 kilometrową drogę i przybył do Białej Cerkwi, o godzinie 7-ej zrana, gdzie nie zastał już pułku. Na pustych, jak po wymarcu, ulicach, nie można było dowiedzieć się nic o losie pułku i nieprzyjaciela, a jednocześnie puste ulice i pozamykane okiennice nie wróżyły nic dobrego. Kapitan Bogaczewicz zdawał sobie należycie sprawę, że trzeba jak najprędzej uchodzić z tego opuszczonego miasta, lecz pragnąc dać żołnierzom chwilowy odpoczynek przed dalszym marszem, jak również pragnąc dowiedzieć się o kierunku odmarszu pułku, zatrzymał się w Białej Cerkwi, ubezpieczając się i zamykając wszystkie ulice karabinami maszynowemi, które w każdej chwili były gotowe zatrzymać nieprzyjaciela o ileby wkroczył na ulicę miasta. Stojąc na rynku i oczekując rozkazów od dowódcy bataljonu, zauważyłem, że drzwi jednego domu nieco uchyliły się i że ktoś daje mi dyskretnie znaki, bym się zbliżył. Schwyciwszy rewolwer do ręki, pobiegłem do wspomnianych drzwi, gdzie dowiedziałem się od jednego ze swych znajomych, że pułk przed dwiema godzinami odmaszerował drogą w stronę cmentarza i że za pułkiem przeszło już wtedy 3000 kozaków. Podziękowałem życzliwemu i szlachetnemu rodakowi za ostrzeżenie i cenne wiadomości, pobiegłem niezwłocznie do kapitana Bogaczewicza i zameldowałem mu o uzyskanych wiadomościach, naskutek, których kapitan Bogaczewicz wysunął niezwłocznie swój bataljon za miasto na wzgórze, by w razie potrzeby móc skuteczniej bronić się, niż w zamkniętem budynkami mieście. Pozostała w mieście tylko kompanja 9-ta porucznika Studzińskiego, oczekująca na powrót swego plutonu, który idąc w czasie marszu z Kożanki,

do Białej Cerkwi przez pola i boczne drogi jako ubezpieczenie prawoskrzydłowe bataljonu, odbił się i pozostał w tyle, nie mogąc nadążyć za posuwającym się szybko bataljonem. Pozostałem w mieście z porucznikiem Studzińskim, który oczekiwał na powrót swego plutonu, podziwiając zimną krew, odwagę i zdecydowanie tego człowieka, pomimo, że sam miałem bardzo silne nerwy na wojnie. Porucznik Studziński pozamykał sobie ulice placówkami z karabinami maszynowymi i usiadłszy na kamieniu, siedział beztrosko, spoglądając na zegarek i w stronę wsi Kożanki, skąd miał przybyć jego opóźniony pluton. Spojrzałem na zegarek, była godzina 8-ma, czyli już godzinę czasu oczekiwał porucznik Studziński na swój pluton w mieście i trzy kwadransy siedział w mieście sam z kompanją, gdyż o godzinie 7 minut 15 kapitan Bogaczewicz wycofał z miasta swój bataljon na wzgórze, dla ewentualnej skuteczniejszej obrony, gdzie miał czekać na przybycie kompanji porucznika Studzińskiego. Przyznam się szczerze, że w tej chwili przyjemniej byłoby mi czekać na randkę, na stuletnią pieszczotkę, gdyby mi się z tęsknoty miała nawet na szyję rzucić, niż oczekiwać w tem pustem, ponurem i cichem mieście, które nie wróżyło nic dobrego, gdzie z za każdego domu i zakamarka czyhało niebezpieczeństwo, lub mogło nadejść grożąc zagładą kompanji, która oczekiwała na swój opóźniony pluton, by go nie pozostawić samego na pastwę wroga. Czas w tem niepewnem oczekiwaniu włókł się powoli, jakby chciał przykuć oczekujących śmiałków do tego miejsca i oddać ich wrogom na pożarcie. Nie chcąc ani chwili czasu dłużej siedzieć w tym mieście, by nie zostać okrążonym przez nieprzyjaciela i nie dostać się do niewoli, zażądałem od porucznika Studzińskiego, aby natychmiast wyszedł z miasta, na teren otwarty, namawiałem go nawet, by wyszedł na spotkanie swego plutonu, lecz ten niezłomny i bohaterski oficer nie dał się sprowadzić z drogi swego planu i siedział beztrosko nadal, jak zaklęty na swem kamieniu, odpowiadał: „Nie mogę stąd odejść, dopóki nie nadejdą moi żołnierze, którym tutaj przybyć kazałem. Nie mogę ich pozostawić nieprzyjacielowi i wolę w tem miejscu z całą kompanją zginąć, niż odejść z kompanją, by uratować swoje życie”. Nareszcie o godzinie 8-mej minut 15 ukazał się pluton porucznika Studzińskiego, na który ten dzielny, dbający o swego żołnierza dowódca, z narażeniem życia, tak wytrwale oczekiwał i kompanja niezwłocznie wyruszyła za miasto, na połączenie się z bataljonem. Wychodząc z miasta, kompanja posuwała się rzędami po obu stronach ulicy, z gotowymi karabinami do strzału, gdyby z okien ktokolwiek ośmielił się strzelić do odchodzących

z miasta żołnierzy. „Tak czeka prawdziwy dowódca na swoich żołnierzy w niebezpieczeństwie i w takiego dowódcę żołnierz na wojnie zawsze uwierzy i pójdzie na jego rozkaz w bój na śmierć i życie po zwycięstwo“.

Po dołączeniu kompani 9-ej, kapitan Bogaczewicz rozpoczął niezwłocznie marsz odwrotowy na Wasylków, wiedząc z rozkazów operacyjnych, że w tym dniu I dywizja Legjonowa ma cofać się z Kijowa na Wasylków tak, że jeżeliby nawet bataljon nie znalazł w Wasylkowie 25 pułku, to przyłączy się chwilowo do innego pułku i przy okazji dołączy do swego, gdyż, spodziewając się, że na Bolszoje Połowieckoje i na Fastów poszły większe siły jazdy bolszewickiej, kapitan Bogaczewicz nie chciał zbyt maszerować w te strony, by niepotrzebnie nie zmarnować, wśród przewagi wroga, swego bataljonu. Posuwając się forsownym marszem, po krótkim odpoczynku i wydaniu obiadu żołnierzom, we wsi Bezpiaty, bataljon kapitana Bogaczewicza przybył do Wasylkowa o godzinie 22-ej, gdzie zastał odpoczywający 25 pułk piechoty, robiąc w tym dniu przeszło 70 kilometrowy marsz, który pomimo forsownego tempa, nie wyczerpał doszczętnie żołnierzy, jeszcze zdolnych tej nocy do pełnienia służby na placówkach i patrolowej. Podczas marszu odwrotowego, większych walk bataljon w tym dniu nie miał, gdyż zabezpieczając się przed pościgiem aut pancernych, straż tylna niszczyła po przebytej drodze wszystkie mosty, jak również jadące ztyłu, za kolumną bataljonu na powozach, dwa karabiny maszynowe, dalekim ogniem ostrzeliwały patrole nieprzyjacielskie w marszu, nie dając im zbliżyć się do bataljonu.

Radość dowódcy pułku i wszystkich oficerów, z powodu przybycia bataljonu kapitana Bogaczewicza do Wasylkowa, była wielka, gdyż wszyscy uważali już ten bataljon za stracony. Kiedy oficerowie z innych bataljonów pułku, którzy przybyli do Wasylkowa wcześniej, pragnęli zrobić nam na swych kwaterach przyjęcie, lecz nie było czasu na wylewanie obustronne uczuć i sympatyj. Każdy z oficerów myślał wyłącznie o tem, by na jaknajwygodniejszych kwaterach umieścić przemęczonych marszem swych żołnierzy, to też wyrывая się z objęć kolegów, oficerowie bataljonu kapitana Bogaczewicza udawali się do wsi Miednicy, pod Wasylkowem, gdzie ulokowali na kwaterach swe kompanie, otaczając największą opieką 22 żołnierzy, którzy sobie podczas marszu bardzo boleśnie odparzyli nogi i którym lekarz poprzerynał na nogach olbrzymie pęcherze, napełnione wodą.

9-go czerwca 25 pułk obsadził pozycję nad rzeką Irpień, na linii: Żarnowaja — Bolszaja Kozuchowka. Bataljon kapitana Bogaczewicza obsadzał pozycje w rejonie Miedwica — Piaski. Zrana odwiedziłem swoich żołnierzy. Moczyli sobie nogi w rzece, będąc po nocnym odpoczynku wypoczęci i zdolni do dalszej walki. Okrótnie też byli ciekawi, dlaczego bataljon cofa się, jeżeli nieprzyjaciel na nas wcale nie naciera i kiedy powrócimy do Białej Cerkwi?

O godzinie 13-ej bataljon zluźował na odcinku w Wasylkowie i dalej do ujścia rzeki Bugajewki i Strugny, oddziały I-szej Brygady Legjonów. Do samego wieczora dnia tego kontaktu z nieprzyjacielem nie było, dopiero nazajutrz od samego rana rozpoczął nieprzyjaciel silną działalność patroli pieszych i konnych. Nadeszły rozkazy z 7-ej dywizji piechoty, nakazujące w związku z odwrotem na linię rzeki Teterewa i możliwością przebijania się przez oddziały nieprzyjacielskie, które w tym czasie zajęły Żytomierz na naszych tyłach, zredukować tabory, pozostawiając po trzy wozy na kompanię, z których jeden ma być załadowany amunicją, a na pozostałych dwóch ma każda kompania zabrać żywność na 14 dni. Nie namyślając się długo, wyłamałem się z pod tego rozkazu i nie mówiąc nic nikomu, załadowałem pełne dwa wozy amunicją, a jeden tylko żywnością, nie więcej, jak na pięć dni, rozdając resztę żywności do zjedzenia żołnierzom i obdarowując nią hojnie zubożałą ludność miejscową myśląc, że jak mi żywności zabraknie, to jakoś tam oficer żywnościowy na to poradzi i nie pozwoli moim głodnym sierotom z głodu umrzeć, a co najważniejsze, że amunicji mi nie zabraknie i będę mógł dłużej i więcej strzelać od innych kompanii, gdy tego zajdzie potrzeba. Byłem nawet przygotowany łatwiej znieść trziedniową głodówkę, byleby mi nie zabrakło amunicji w chwili, gdy oddziały, będąc okrążone przez nieprzyjaciela, nie będą jej mogły znikąd otrzymać. Tak zaopatrzony w amunicję, a mniej w żywność, po nakarmieniu żołnierzy nadmiernie sutą kolacją, oczekiwałem dalszych rozkazów.

11-go czerwca, o godzinie 2-giej nad ranem, przyszły rozkazy z dywizji i bataljon, ściągawszy placówki, o godzinie 6-ej wyruszył z Wasylkowa przez Pliseckoje—Spodarcze — Mostiszcze do Byszewa, dokąd przybył po przeszło 40-kilometrowym marszu o godzinie 21-ej, gdzie stanął na nocleg ubezpieczony. Przed wymarszem z Wasylkowa, przed frontem wszystkich oddziałów został odczytany rozkaz dzienny dowództwa 7 dywizji piechoty № 37, treści następującej:

Żołnierze!

Pod naciskiem nieprzyjaciela i z powodu możliwości okrążenia naszych wojsk, nakazało Naczelne Dowództwo ewentualne wycofanie się 3 Armji na nową linię obronną, t. j. rzeki Teterewa. To cofanie się naszych zwycięskich wojsk będzie może miało charakter przebijania się przez nieprzyjaciela, by podać rękę zdążającym ku nam znacznym posiłkom z Ojczyzny. Nadszedł więc czas ważnego wysiłku, okazania siły woli i najprzedniejszych cnót żołnierskich. Kto w obecnej chwili nie wytrzyma do ostatniego tchu, kto nie użyje broni i zdecydowania do rozbicia nieprzyjaciela, możliwie powstrzymującego nasz pochód, ten będzie stracony. Bolszewicy nie biorą jeńców — mordują ich. Poza życiem więc, chodzi więcej o odniesienie zwycięstwa. Ufając własnym siłom, broniąc się do upadłego, unikniemy sromotnej zagłady i wyniesiemy sztandary żadnym odwrotem nie splamione przez otaczającego nas wroga.

Mimo wszelkich poważnych trudności, przebicie się Armji musi się udać, jeżeli każdy dowódca, jak i żołnierz dołoży wszelkich sił, bo jedyna gwarancja udania się naszego zadania — jest najenergiczniejsze „Naprzód!”

Szczególną uwagę zachować przy odpieraniu ataków nieprzyjacielskiej jazdy. Nie rozbiegać się przed nią, przeciwnie stanąć zwartym szeregiem, ostatecznie tworząc czworoboki, z zimną krwią, spokojnym ogniem karabinów i kulomiotów, zwalczając ją na bliskie odległości. Każdy piechór musi mieć to przeświadczenie, że swym spokojnym ogniem zwalczy dziesięciu jeźdźców, rzucając zaś karabin, będzie niechybnie splazowanym — pieszko przed koniem nikt nie ujdzie.

Świętym obowiązkiem jest wzajemne wspieranie się kolumn i oddziałów, przy każdym natarciu wroga.

Szubert, pułkownik
Dowódca 7 Dywizji piechoty.

Po odczytaniu tego rozkazu, przemówiłem do zebranych swoich żołnierzy: „Żołnierze! Nikczemny wróg ośmielił się zagrozić nam drogę do odwrotu. Rozkazuję wam wymordować wszystką hołotę, któraby się ośmieliła zagrozić nam drogę do Kraju. Hasłem naszym jest dziś „zwycięstwo“. A jeśli nie zwyciężycie, to wolno wam się ukryć przed hańbą do grobu, by nie przechodzić sromotnej niewoli i by dać poznać przyszłym pokoleniom, jak niezłomnie po bohatersku walczyli żołnierze Zmarłychwstałej Polski“.

Przemawiając do swych żołnierzy, którym oczy błyszczały, z nienawiści do wroga i chęci zmierzenia się z jego oddziałami w jak najkrótszym czasie, trzęsłem się, jak w febrze. Zęby szczękały mi, jak dzikiemu zwierzwowi, który pragnie rzucić się na swą ofiarę, lub gdy broni się w walce na śmierć i życie. Czułem w tym momencie taką potęgę zemsty i chęci do walki z wrogiem, który zagroził nam drogę do kraju, że o niczem innem nie myślałem, jak o tem, by do spotkania z nieprzyjacielem doszło jak najprędzej. Czułem, że zbudziło się we mnie zwierzę, które nakazywało mi mordować wroga nielitościwie, i broniłem się mocno przed paskudną myślą zemsty, by nie wydać rozkazu do mordowania jeńców i rannych w pierwszej potyczce, której oczekiwałem z dzikiem zadowoleniem. Podczas marszu, który był dość długi i uciążliwy, żołnierze moi nie odczuwali zmęczenia. Szli, jak zaczarowani, nie myśląc o zmęczeniu i wygodach, lecz tylko o tem, by w najkrótszym czasie, w boju z nieprzyjacielem, zadać mu klęskę bolesną i bezpiecznie odmaszerować tam, dokąd ich wzywał rozkaz dowódców.

Podczas marszu dowiedzieliśmy się od wywiadu lotniczego, że armja Budiennego miała wyjechać z Żytomierza, który własne wojska zajęły, do rejonu Charlejówki i Chodorkowa, jak również, że od strony Dniepru na północ i południe od Kijowa, posuwa się piechota nieprzyjacielska w nieznaney sile. Pomimo zbliżania się z każdą chwilą oddziałów nieprzyjacielskich, a w szczególności jazdy Budiennego, dobry nastrój nie opuszczał mych żołnierzy. Maszerowali nadal beztrosko z myślą o spotkaniu się z nieprzyjacielem, obserwując badawczo teren, by nie dostać uderzenia jazdy, przez zaskoczenie. Spodzielając się w bardzo krótkim czasie walki z jazdą Budiennego, mawiałem często do swych żołnierzy, by ich zachęcać do walki: „Postarajcie się, chłopcy, w pierwszym boju z tą zgrają, nazabijać bez liku tej konnej hołoty, by jak najwięcej tego tałałajstwa zakopać do ziemi“. W odpowiedzi na me zachęcające przemówienia, widziałem uśmiechnięte i błyszczące chęcią zemsty oczy swych żołnierzy, zdecydowanych wystąpić do boju na śmierć i życie.

W odwrocie z pod Kijowa, 3 Armja posuwała się trzema głównemi grupami.

1. Grupa pułkownika Rybaka, posuwała się po osi: Petrowce — Litwinówka — Fenewicze — Iwanków.

2. 1 dywizja Legjonów, wraz z 6-tą dywizją ukraińską, po osi: Bielicze — Mikulicze — Nowaja Ruda — Malin.

3. 7 dywizja piechoty, po osi: Wasylków — Kniażyce — Motyżyn — Stawiszcz — Rakowicze — Radomyśl. W czasie

tego marszu odwrotowego, 7 dywizja piechoty ubezpieczała skrzydło i tyły cofającej się Armii od strony południowej i wschodu.

12 czerwca o godzinie 5-tej z rana, pułk wymaszerował z Byszewa i przybył o północy do Zabiełocz, skąd po nocnym wypoczynku, wymaszerował nazajutrz o godzinie 10-tej do Mere-niczki, dokąd przybył po 25 kilometrowym marszu, o godzinie 21-szej, gdzie stanął na postój ubezpieczony. Dowódca XIII brygady nakazał pułkowi obsadzenie rzeki Teterewa, na którym to odcinku panował spokój. Kontakt z nieprzyjacielem nie było.

14 czerwca od rana zaczęła się śliczna pogoda. Żołnierze, po męczących marszach, moczyli sobie nogi w rzece, wpatrując się w oddalone za lasem liczne dymy pożarów na horyzoncie. Pośepni żołnierze wiedzieli, że to wróg nikczemny, zwyrodniały i podły, niszczy, puszczając z dymem, skromne mienie polskiej ludności, zamieszkującej oddawna te miejscowości. Trudno było pomóc w nieszczęściu strapiionym rodakom, by powstrzymać krwiożerczą i mściwą dłoń azjaty, w tej ciężkiej dla Polski i Jej Armii chwili. Smutne spojrzenia żołnierzy, skierowywane w stronę wspomnianych pożarów, zdawało się, mówiły: „Musisz jeszcze cierpieć, Męczeński Narodzie Polski, aż przyjdzie dla Ciebie dzień ostatecznego zwycięstwa i wyzwolenia. Prawdziwa Idea, Twojego Żołnierza, zwycięży wroga, który Cię gnębi i niszczy Twoje skromne mienie“.

Tak zeszedł żołnierzom czas spokojnie, nad rzeką Teterewem do godziny 15-tej, poczem naskutek zbliżania się armii Budiennego do Gorbylewa i zerwania kontaktu 7 dywizji z I dywizją Legjonów, został zarządzone dalszy odwrot, na linię rzeki Uszy. Pułkownik Zienkiewicz, pełniący obowiązki dowódcy XIII brygady piechoty, zarządził ściągnięcie całego 25 pułku do Małej Raczy, skąd miał pułk wyruszyć do dalszego odwrotu. Z chwilą ściągania placówek i wymarszu bataljonu z Wyszewicz, bolszewicy wbiegli do wsi i na ulicach powstała bezładna strzelanina. Kule karabinowe ze świstem przelatywały wzdłuż wsi. Kapitan Bogaczewicz, widząc, że w odwrocie zanosi się na pościg ze strony nieprzyjaciela, rzucił do kontrataku 10-tą i 11-tą kompanię, które wyparły nieprzyjacielskie oddziały z góry przy cerkwi, skąd nieprzyjaciel celnym ogniem raził wycofujący się bataljon. Po wykonanym kontrataku, nieprzyjaciel nie utrudniał bataljonowi marszu dalszym pościgiem, ostrzeliwując jedynie dalekim i mniej celnym ogniem artylerji, odchodzący do Małej Raczy bataljon.

Podczas napadu bolszewickiego na Wyszewicze, został odcięty od bataljonu podporucznik Wajnberger Adolf z 20 żołnie-

rzami i jednym karabinem maszynowym. Ten dzielny oficer nie poddał się do niewoli, lecz walcząc z nacierającym nieprzyjacielem, wycofał się w bok, poczem przyłączył się do któregoś z pułków legjonowych i dołączył do bataljonu dopiero w Korosteniu, po przeszło tygodniowej nieobecności, w którym to czasie wszyscy jego koledzy uważali go za straconego. Odcięty w tym czasie z podporucznikiem Wajnbergerem, kapral Mołdawa Jan z karabinem maszynowym, nie poszedł za cofającym się w bok plutonem, lecz za wszelką cenę pragnął przebić się do kompanii. To też cofając się i ostrzeliwując, został całkowicie okrążony przez przeważające siły nieprzyjacielskie, które chciały zabrać go do niewoli, i jeżeli uszedł z tej ciężkiej dla siebie sytuacji, to jedynie zawdzięczając temu, że cofnął się szybko do dużego lasu i zniknął z oczu swym prześladowcom, w zapadającym zmroku wieczornym.

Po przybyciu do Małej Raczy, pułk połączył się z przybyłym na zbiórkę 26 pułkiem i cała XIII brygada piechoty wyruszyła marszem ubezpieczonym, przez Werlok — Borszczewo — Czajkówkę, do Gorbylewa, gdzie były spodziewane większe siły jazdy Budiennego, by rozbić je i wykonywać dalszy obrót na nakazaną pozycję, na linii rzeki Uszy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Pierwszy bój z jazdą Budiennego i dalszy odwrót.

Podczas odwrotu tego dnia, w straży przedniej maszerował 26 pułk piechoty, 25 pułk maszerował w tyle, jako siła główna kolumny. Jadąc konno, podczas bardzo ciemnej nocy i po złych wyboistych drogach, nad ranem czułem się zmęczonym, po paru poprzednio nieprzespanych nocach, podciągnąłem więc wóz amunicyjny na czoło kompanji i rzuciwszy się na jakiś płaszcz żołnierski, czy inną szmatę, zapragnąłem zasnąć choć chwilę, by nabrać sił do dalszej walki i marszu. Ordynansowi rozkazałem prowadzić konia wierzchowego, przy samym wozie, i by mnie natychmiast obudził, gdyby się z nieprzyjacielem coś zaczynało. Nie zwracając uwagi na deszcz, który zaczął padać nad ranem i zalewał mi twarz, jak również na tłukące mi żebra podskoki wozu, posuwającego się po wyboistej drodze, leżałem z przymkniętymi oczyma, marząc o błogiej chwili krótkiego wytchnienia, lecz jeszcze nie zdążyłem zasnąć, gdy ordynans zaczął szarpać mnie z całej siły, wrzeszcząc, jak trąba jerychońska: „Panie poruczniku! Bo już się zaczyna“.

Zerwałem się na równe nogi i wyskoczyłem z wozu na ziemię. Od czoła kolumny, gdzie maszerował 26 pułk piechoty, słychać było gwałtowną strzelaninę, która z każdą chwilą wzmacniała się coraz bardziej. Maszerująca kolumna zatrzymała się i oczekiwała rozstrzygnięcia walki przez straż przednią, lub nadesłania meldunku o pomoc. Dokoła kolumny przebiegały na karych koniach liczne patrole i oddziały jazdy bolszewickiej, szykujące się do szarży z boku, by spowodować panikę i zamieszanie w kolumnie, co napewno w tym boju pragnęła wykorzystać jazda Budiennego. Niestety. Szczęście jeździe Budiennego nie sprzyjało w tym boju. Straż przednia parła nieprzyjaciela do przodu, zadając mu w zdecydowanej walce straty, a kolumna główna stała zdedykowana, jak „stara gwardja Napoleońska“, oczekująca rozkazu do boju, by go zwycięsko zakończyć. Nareszcie oddziały boczne jazdy Budiennego wypatrzyły odpowiedni

moment i wykonały szarżę na tabor i orkiestrę, któregoś z pułków, lecz i tu spotkali się z niepowodzeniem, bo taborycy okazali się więcej pomysłowem wojskiem, niż za jakie mieli ich kozunie Budiennego, powskakiwali pod wozy i nie tyle celnym, ile głośnym i silnym ogniem karabinowym odbili szarżę, bez pomocy piechoty. Gorzej było z orkiestrą, któregoś z pułków. Szwadron jazdy bolszewickiej wpadł na nią całym impentem i zaczął rąbać szablami po instrumentach, które wydawały głuchy trzask, jak tłuczone garnki gliniane. Jeden z pomysłowych muzykantów schwycił dużą trąbę i uderzył z całej siły konia w pysk, na którym uparty kozak starał się zarąbać go szablą. Wystraszony koń cofnął się pośpiesznie w tył, przeszło dziesięć kroków, i uratowany orkiestrant skrył się również za zbawiennym wozem. Do atakujących jeźdźców zaczęła wreszcie ogień piechota i spędziła ich z przedpoła, daleko w krzaki, za którymi skryli się i grupowali do ponownego uderzenia, lecz to nie było dla piechoty już straszne, gdyż wszystkie posiadane w bataljonie karabiny maszynowe stały nabite i wycelowane, w stronę grupującej się kawalerji bolszewickiej. Gorzej natomiast działo się na czołe 26 pułku piechoty. Bój nie ustawał i strzelanina stawała się coraz bardziej zawzięta. Wraz z odgłosem walki, od czoła słychać było wołanie, by karabiny maszynowe podciągnąć do przodu. Kapitan Bogaczewicz, słysząc nawoływania o pomoc karabinów maszynowych, wysłał mnie z sześcioma karabinami maszynowymi do czoła kolumny na pomoc 26 pułkowi piechoty. Biegąc wzdłuż drogi na pomoc, napotkałem przy pierwszych zabudowaniach Gorbylewa zabitych i rannych jeźdźców Budiennego, w walce z 26 pułkiem. Ogorzałe twarze i skośne oczy zabitych i rannych żołnierzy Budiennego, nadawały im wygląd dzikich ludzi. Nie zatrzymując się przy nich, biegłem dalej. W kotlinie przy drodze, stał ze swoim sztabem dowódca dywizji, pułkownik Szubert, do którego zawzięcie strzelała z pobliskiego wzgórza baterja artylerji konnej Budiennego. Nie zdążyłem nastawić swoich karabinów maszynowych, by zwalczyć strzelającą baterję nieprzyjacielską, gdy baterja własna 7 pułku artylerji polowej, celnym i silnym ogniem zmusiła ją do milczenia. Po ostrzelaniu uciekających jeźdźców z przedpoła, zameldowałem się u pułkownika Szuberta po dalsze rozkazy. Otrzymałem rozkaz udać się 600 metrów w lewo od drogi i zabezpieczyć ogniem ten kierunek przed szarżą jazdy bolszewickiej. Po udaniu się na pobliskie wzgórze, zauważyłem w wysokiem zbożu kawalerję nieprzyjacielską, szykującą się do szarży, do której otworzyłem ogień z posiadanych sześciu karabinów maszynowych,

obserwując z zadowoleniem, jak jeźdźcy Budiennego zmykali z zagrożonego placu boju w bezpieczniejsze miejsce, spadając z koni. Po ucieczce nieprzyjaciela, udałem się na przedpole, gdzie w zbożu spotkałem kilku mocno porąbanych szablami żołnierzy 26 pułku nad którymi widocznie znęcali się jeźdźcy bolszewicy, gdyż niektórzy z poległych mieli powykręwane oczy i twarze kilkakrotnie porąbane.

26 pułk nacierał bez przerwy na kawalerję Budiennego, wypierając ją coraz bardziej za wieś. Nie pomogło rzucenie, jak się później dowiedzieliśmy, przez dowódcę grupy Budiennego, Woroszyłowa, do boju ostatniej brygady odwodowej. Jazda Budiennego, ścieląc drogę trupami, cofała się w popłochu z placu boju, widząc, że nieda sobie rady z oddziałami, które w tym boju miały tylko jedno pragnienie — zwyciężyć! Po dziesięciominutowej przerwie, po boju, dała się słyszeć silna kanonada artyleryjska w lewo. To również pułki jazdy Budiennego natknęły się powtórnie na oddziały XIV brygady piechoty, t. j. maszerujący 11 i 27 pułk piechoty, pod dowództwem pułkownika Pogorzelskiego, które to pułki słysząc przed chwilą odgłosy silnej bitwy, przygotowały się godnie, by zadać nieprzyjacielowi jak największe straty, przez zaskoczenie go ogniem. Uciekające w tym dniu pułki jednej z lepszych, 4-tej dywizji jazdy Budiennego, musiały dostać tęgie lanie od oddziałów 7 dywizji piechoty, gdyż nietylko w tym dniu, lecz i przez szereg dalszych dni, jazda Budiennego nie próbowała zastępować drogi odwrotu dywizji, która wykonywała nakazany odwrót. Tak szczęśliwie i zwycięsko zakończył się ten pierwszy bój 7 dywizji piechoty z oddziałami jazdy Budiennego, które występując do tego boju, miały szczerze zamiary rozbić i zabrać do niewoli nietylko oddziały 7 dywizji piechoty, lecz również próbowały szczęścia, by zniszczyć całą 3 Armję, cofającą się z pod Kijowa. Po zakończonym zwycięsko boju, pułki odpoczywały w zdobytym Gorbylewie i po wydaniu zgłodniałym żołnierzom obiadu, wymaszerowały do wsi Sały na nocleg ubezpieczony.

O godzinie 13-ej minut 30, tego dnia, czyli na pół godziny przed wymarszem, powrócił do kompanji na placówkę kapral Mołdawa Jan, odcięty dnia poprzedniego w Wyszewiczach, przez bolszewików, który zameldował mi o niesamowitych swych przygodach. Cofając się przed pościgiem bolszewików z pod Wyszewicz, kapral Mołdawa został przez nich okrążony i jedynie zawdzięczając, że miał las pod bokiem, uszedł ich pogoni i skrył się w gęstwinie, korzystając z zapadającego zmroku. Siedząc

z garstką swoich żołnierzy i karabinem maszynowym w ciszy leśnej, kapral Mołdawa zawiązał koniowi pysk, paskiem od spodni, by znudzone zwierzę nie zdradziło go rzeniem i zaczął myśleć ponuro nad swoim losem i możliwością ratunku. Siedząc w lesie, kapral Mołdawa wypłakał się szczerze, jak mi opowiadał, gdyż żał mu się okropnie zrobiło, że już więcej walczyć nie będzie i dostanie się w ręce nieprzyjaciela, a co najważniejsze, że dowódca jego pomyśli, że z cykorji poddał siebie i ludzi do niewoli. Po chwili żalu i przygnębienia, kapral Mołdawa otrząsnął się z przykrych myśli, które przygniatały mu umysł, i zawołał energicznie na swoich żołnierzy: „Chłopcy! Pomódlmy się i jazda w drogę, bo jak po nocy nie uciekniemy, to w dzień nas prędzej złapią”. Pokrzepieni na duchu krótką modlitwą, wyszli z lasu na drogę i dopytując się spotykanych ludzi, którędy wojsko maszerowało, posuwali się za pułkiem, zdala, wśród ciemnej nocy, dającej im ukrycie przed obserwacją wroga, którego całe mrowie przeszło już, ich drogą odwrotu, za pułkiem. Czy zdradził ich sympatyk bolszewicki, którego w zaufaniu pytali o drogę, czy też bolszewicy zauważyli ich sami, dość, że wzdłuż drogi odwrotu, przebiegały kilkakrotnie patrole piesze i konne, przed którymi uciekali z karabinem maszynowym na wózku w pole i do okolicznych lasków. Tak dążącym do swoich raźniej zabiły serca, gdy usłyszeli o świecie bój pod Gorbylem. Pędząc na oślep w stronę zbawiennego boju, nie zwracali uwagi na nic, pragnąc być jak najprędzej u swoich, tak, że nie wykorzystując należycie terenu, narazili się na to, że ścigał ich nadal spory oddział kawalerji nieprzyjacielskiej z autem pancernem. Ci nieszczęśliwi i niezłomni zarazem żołnierze, podobni do rozbitków na morzu, i wówczas nie złożyli broni, i ostrzeliwując się, przed pościgiem, cofali się przez las w stronę oddziałów polskich. Cofając się przez gęsty las, porzucili wózek od karabinu maszynowego, z którym już nie mogli posuwać się przez gęste zarośla, i niosąc karabin maszynowy i amunicję w rękach, cofali się dalej zdecydowanie, byleby nie dostać się do niewoli. Widząc, że bolszewicy śledzą ich w lesie, idąc po odciśniętych śladach ich podkutych żelaznemi gwoździami butach, kapral Mołdawa rozkazał wszystkim swym żołnierzom zdjąć buty i cofać się nadal boso. Tak prowadzony ręką dobrego losu, dotarł w Gorbylewie do swoich, przyprowadziwszy wszystkich swoich sześciu żołnierzy i konia z karabinem maszynowym, po przebyciu około 50 kilometrów wśród powodzi wrogów. Serce mi się ścisnęło, gdy patrzyłem na kaprala Mołdawę, który ze łzami radości, czy też wzruszenia, meldował mi posłusznie powrót z ob-

sługą i karabinem maszynowym, tłumacząc się, że w żaden sposób wózka od karabinu maszynowego uratować nie mógł. Znużeni, z pokaleczonymi nogami od forsownego marszu, żołnierze kaprała Mołdawy usiedli na ziemi, oglądając swe zbolące nogi. Jeden z nich był tylko niezmordowany, miał odpoczywać, zrywał trawę i karmił nią znużonego i wyczerpanego konia, który zjadał łapczywie podawaną mu suchą, z przydrożnego rowu trawę. Za ten czyn i uratowanie obsługi z karabinem maszynowym, kapral Mołdawa został przedstawiony do Orderu Virtuti Militari V-ej klasy, lecz otrzymał tylko „Krzyż Walecznych“.

16 czerwca. Cały dzień odpoczynek w Sałach. Pogoda nieco poprawiła się. Dzień nastał pochmurny i ponury, lecz przynajmniej deszcz nie padał. Może ten dzień nie był taki przykry, jak mi się wydawał, przy ogromie moich zmartwień i kłopotów, znalazłem się bowiem w sytuacji bez wyjścia, bo zabraną amunicję na drugi wóz, kosztem żywności, przy odwróceniu z Wasylkowa, oddałem 26 pułkowi, któremu pod Gorbylewem w walce z jazdą Budiennego zabrakło amunicji, jak również resztki skromnych produktów żywnościowych włożono do kotła, a prowiantura zapasów żywności nie miała i nieprędko mieć obiecywała. Na domiar złego okolice, przez które w tym czasie maszerowaliśmy, były tak wyniszczone, że absolutnie nic nie można było zakupić dla żołnierzy. Na kolację dnia tego żołnierze otrzymali tylko samą kawę, bez chleba i nazajutrz po takim samym śniadaniu wymaszerowali z Sał, przez Kapelny — Turczynkę do wsi Staryki. Jadąc konno, przyglądałem się ze współczuciem zgłodniałym swoim żołnierzom, którzy, nadrabiając minami, uśmiechali się do mnie życzliwie, dowcipkując, że „jeszcze nie jest tak źle, skoro mogą iść wytrwale“. Wiedziałem, że nie nadługo tym zuchowatym żołnierzom wystarczy ich humoru i że wielki hart ducha stłumi głód straszliwy, to też nie mając innego wyjścia, zawróciłem konia i pogalopowałem do tyłu kolumny po radę do oficera żywnościowego. Przejeżdżając obok dowódcy bataljonu, nie zatrzymałem się przy nim i, udając, że mi się gdzieś bardzo śpieszy, pogalopowałem dalej. Przeczynałem, że kapitan Bogaczewicz nie wiele mi poradzi w tem nieszczęściu i tylko mnie zbeszta za wyłamanie się z pod rozkazu, tembardziej, że amunicji, którą zabrałem kosztem żywności, też już nie miałem, więc, by nie trapić dowódcy bataljonu, który i tak by mnie odesłał do oficera żywnościowego, wołałem pojechać wprost do niego.

Na czele taboru jechał podporucznik Swoboda Witold, oficer żywnościowy bataljonu, bardzo dbały o potrzeby żołnierzy

i oficerów, który uśmiechnął się do mnie życzliwie, ściskając mi rękę po przyjacielsku na powitanie, lecz gdy mu oświadczyłem, że kompanja moja od dnia wczorajszego nic nie jadła, prócz czystej kawy, podporucznik Swoboda omal nie zemdlał i nie spadł z konia. Obawiałem się, by się naprawdę nie rozchorował, takie piorunujące wrażenie na niego wywarła ta przykra wiadomość. Ocierając pot z czoła, podporucznik Swoboda zaczął mi klarować, że żadnego prowjantu dla mnie niema i niewiedomo, czy za tydzień intendentura żywność dla bataljonu dostarczy, gdyż prowjant był wydany i powinien być. Nie mając wyjścia, wmawiałem w podporucznika Swobodę, że „mnie to nic nie obchodzi, na to on jest oficerem żywnościowym, by żołnierz głodny nie maszerował i by jeść dostał, bo jak tak dalej pójdzie, to będzie źle“. Na skutek tych nalegań, podporucznik Swoboda ustąpił i na pierwszym postoju zakupił dla mej kompanji dużą krowę, przybiecując, że codziennie mi zakupi taką samą, byleby moim biednym sierotom nie dać z głodu zginąć. Śmiać mi się chciało i zarazem współczucie mnie ogarniało na widok, jak prawie wszyscy żołnierze mojej kompanji opiekowali się otrzymaną krową, głaszcząc ją i pieszcząc jeden przez drugiego i jak jej później na pierwszym dłuższym postoju wspólnie łeb ucieli jakąś starą siekierą, krając na kawały, które pośpiesznie wrzucali do kuchni polowej, by się prędzej ugotowały. Po godzinnem gotowaniu, kucharz rozdawał żołnierzom olbrzymie porcje mięsa gotowanego i pełne menażki tłustego i mdłego rosółu, ugotowanego bez soli, której w tej okolicy na lekarstwo za cenę złota nie można było dostać. Obserwując krzywiących się podczas jedzenia swych żołnierzy, podszedłem do kuchni polowej i spróbowałem tego przysmaku, który miał moim żołnierzom służyć teraz jako jedyne pożywienie, aż do nadejścia lepszych czasów. Mięso było mdłe, lecz jakoś można go było jeść bez soli. Co do rosółu bez soli, to było to tak mdłe świństwo, że z oburzeniem wylałem go na ziemię, by nie rozchorować się, lub nie stracić apetytu na cały miesiąc. I tak z dnia na dzień, w czasie tego odwrotu, otrzymywali moi żołnierze na rano i wieczór wyłącznie tylko gotowane mięso i rosół bez soli, krztusząc się z obrzydzenia. Niektórzy, więcej wybredni, odkręcali granaty ręczne i posypywali mięso materiałem wybuchowym o gorzkawo-słonawym smaku, lecz i tego im nie wolno było, ze względu na niszczenie tak cennej broni, jaką są na wojnie granaty ręczne, jak również ze względu na możliwość zatrucia. Byli jednak w kompanji i tacy żołnierze którzy zjadali olbrzymią kilogramową porcję gotowanego bez soli mięsa, popijali rosółem

również nie solonym i mawiali z zadowoleniem, że „nie jest jeszcze tak źle, bo przynajmniej tego mają poddostatkiem“. Pomi-
mo, że gotowane mięso bez soli było mdłe, to jednak był to
produkt pożywny, gdyż żołnierze maszerowali i byli najedzeni,
a siły ich nie opuszczały.

18 czerwca o godzinie 6-tej bataljon wymaszerował ze Star-
rik przez Złobiaz—Motocz—Korosteń do Paszny, gdzie kompa-
nje objęły pozycje po I-ej Dywizji Legionów. Ostatni raz tego
dnia w południe obserwowałem, jak żołnierze zjadali znienawi-
dzone przez siebie porcje gotowanego mięsa bez soli, racząc się
nim nawzajem. Z zadowoleniem obserwowałem, jak niektórzy żoł-
nierze w tym czasie przynosili parę bochenków zakupionego
czarnego chleba i kilka kiszonych ogórków i jak temi przysma-
kami, po drobnym kawałeczku, dzielili się ze swymi kolegami,
którzy, wykrzywiając gęby, spożywali codzienne swoje mdłe
mięso. Po przybyciu do Paszyny, oficer żywnościowy bataljonu
zaopatrzył niezwłocznie kompanje w żywność tak, że zgłodnia-
li żołnierze najadali się w tym dniu do utraty przytomności. Po na-
karmieniu żołnierzy i uzupełnieniu amunicji, bataljon wyruszył
niezwłocznie na obsadzenie pozycji.

19 czerwca nieprzyjaciel od samego rana rozpoczął utarcz-
ki na prawem skrzydle bataljonu. Szczególnie silne ataki
w tym dniu prowadził nieprzyjaciel na odcinku 26 pułku pie-
choty, któremu dzielnie przychodziły na pomoc oddziały 5 pułku
Legionów, pomagając dwukrotnie odpędzić nacierające, przewa-
żające siły nieprzyjacielskie. W tym dniu XX brygada, 7 dywizji
sowieckiej, prowadziła silne ataki na odcinku całego 25 pułku
bezsukutecznie. Oddziały 25 pułku trzymały się na pozycjach
niezachwianie. W rejonie Woronowa, 10 kompanja podporucz-
nika Łukasińskiego, napierana silnie przez nieprzyjaciela, przeszła
do przeciwuderzenia, odpędzając nacierające oddziały nieprzyja-
cielskie, na dalekie przedpole, tracąc jedynie dwóch zabitych
i czterech rannych żołnierzy. Uderzenie kompanji było tak
gwałtowne i zdecydowane, że bolszewicy dnia tego zaprzestali
dalszych ataków.

20 czerwca nieprzyjaciel ponowił zaciekle ataki, przy więk-
szem poparciu artylerji, co dało nam do myślenia, że nieprzy-
jaciel podciągnął świeże siły i że na zdobyciu tej pozycji bardzo
mu zależy. Silne ataki dnia tego, a w szczególności na odcinku
26 pułku, zostały każdorazowo krwawo odparte i pułki utrzymały
się do nocy na swych pozycjach. Podczas boju, przez własną
nieostrożność, dostał się do niewoli plutonowy Ścibiorek, który
uciekł z niewoli i dołączył do bataljonu nad Bugiem, po dwu-

miesięcznej tułaczce w Rosji, obdarty i wygłodniały, opowiadając tragedję swego życia.

21 czerwca w związku z zarządzonym odwrotem na linję rzeki Uborć, III bataljon 25 pułku piechoty, o godzinie 6-tej rano rozpoczął odwrót z nad rzeki Uszy, cofając się z Bard, przez Uginy — Putyłowicze do Małego Dywlina, dokąd przybył na nocleg o godzinie 24-tej. Z chwilą ściągania oddziałów z pozycyj, nieprzyjaciel przeszedł do ataku na całym odcinku pułku i zajął Paszynę, tak, że 5-ta i 6-ta kompanja 25 pułku, będąc odcięte przez nieprzyjaciela, przeszły przez rzekę w bród i z bagnietem w ręku torowały sobie drogę odwrotu. III bataljon również nie cofał się na Korosteń, który był już wcześniej zajęty przez oddziały bolszewickie, lecz powstrzymując ogniem napór nieprzyjaciela, cofał się przez pola. Na pomoc bataljonowi i wycofującym się oddziałom, przybył pociąg pancerny, który był skazany na zagładę, lecz zawdzięczając bardzo bohaterskiej, pełnej poświęcenia obsłudze, walczył niezłomnie z napływającymi wciąż hordami wroga, które, jak mrowie, otoczyły zięjący bez przerwy ogniem, pociąg pancerny. Pułk w marszu odwrotowym oddalał się coraz bardziej, a pociąg pancerny ział ogniem nadal bez przerwy, z niesłabnącą energją, zaścielając pole trupami wroga, nie wycofując się. Z tyłu za pociągiem palił się most kolejowy, a wspomniany pociąg walczył nadal i nie wycofywał się. Schodząc za wzgórze, popatrzyłem przez lornetkę w stronę walczącego pociągu pancernego, do którego zbliżało się coraz więcej żołnierzy nieprzyjacielskich, oczekując z biciem serca jego ruchu odwrotowego, lecz pociąg pancerny nie ruszał się z miejsca, a jedynie silny trzask jego karabinów maszynowych, świadczył o tem, że walczył jeszcze i nie stał bezczynny. Maszerując dalej, słyszeliśmy silne wybuchy na naszych tyłach. To prawdopodobnie walczący pociąg pancerny pomagał sobie ogniem swych armat, lub może nieprzyjaciel wysadzał szyny kolejowe w powietrze, by się ten bohaterski pociąg pancerny nie wycofał — i prawdopodobnie nie wycofał się, gdyż maszerując długo patrzyłem na tor kolejowy, wzdłuż którego prowadziła przez czas dłuższy droga odwrotu, lecz nigdzie nie zauważyłem wycofującego się pociągu pancernego po boju. Prawdopodobnie, po spełnionem chlubnie zadaniu, dostał się w ręce wroga, lub pragnąc spełniać nadal swe zadanie, cofał się dalej, na tyłach, poza cofającymi się pułkami.

Kto widział na własne oczy walkę tego pociągu pancernego, ten może opowiedzieć przyszłym pokoleniom, jak walczyli Prawdziwi Bohaterowie i Niezłomni Polscy Żołnierze w walce

o odzyskanie i utrwalenie Niepodległości. Będąc bardzo zajęтым przy prowadzeniu walki odwrotowej w tym czasie, nie miałem możności dowiedzieć się nazwy tego bohaterskiego pociągu i nazwiska Jego Niezłomnego Dowódcy, by Ich nazwiska zapisać złotem zgłoskami na liście Bohaterów Ostatniej Wojny Naszego Narodu.

* * *

Mając wiadomości, że w okolicach Dywlina znajdują się większe siły nieprzyjacielskie, kapitan Bogaczewicz nie rozmieszczał żołnierzy we wsi na kwaterach, by nie być zaskoczonym przez nieprzyjaciela w nocy, lecz zarządził biwak w pobliżu wiatraka w dolinie. Zimno tej nocy dokuczało żołnierzom, byli jednak bezpieczniejsi, że ich nieprzyjaciel nie odnajdzie i znie-nacka podczas snu nie zaskoczy.

22 czerwca z pierwszym brzaskiem dnia, bataljon został zaalarmowany i po wzmocnieniu placówek karabinami maszynowymi, żołnierze przystąpili do mycia się i spożywania śniadania, oraz szykowania się do dalszego marszu. Zdała krążyły liczne patrole nieprzyjacielskie, które jednak zbyt blisko nie podejżdżały. O godzinie 7-ej rano, bataljon wraz z pułkiem wyruszył z Małego Dywlina i przez Rudnię Radowską pomaszerował do Radowla, gdzie stanął na postój ubezpieczony. Noc dnia tego i dzień następny przeszły spokojnie, pomimo to jednak nie czuł się człowiek dobrze w tej całkowicie zalesionej ze wszystkich stron okolicy. Korzystając ze słonecznej pogody, żołnierze odpoczywali po przebytych trudach wojennych, leżąc w cieniu żywicznych drzew okolicznych lasów. Pod wieczór dnia następnego, patrole nieprzyjacielskie rozpoczęły swą działalność.

24 czerwca: dzień gorączkowej pracy i niebezpieczeństw. Jeszcze cisza i spokój panowały dokoła, a już człowiek czuł, że w powietrzu kryje się coś złego. Po upalnym dniu, nastała noc ciemna, choć pogodna. Uciekając przed robactwem, którego pełno miałem na kwaterze, kazałem sobie zrobić posłanie z czystej słomy, na dworze, i leżąc zapatrzoney w iskrzące się od gwiazd niebo, snulem jakieś myśli, nie mogąc zasnąć tej nocy, gdy o godzinie 2-giej w nocy, usłyszałem oddaloną strzelaninę karabinową. To rozpoczynała się bitwa, na odcinku 26 pułku, w rejonie stacji kolejowej Rudnia Radowska. Narazie myślałem, że to akcja patroli, która w krótkce ucichnie, lecz skoro strzelanina zaczynała być coraz silniejsza i zaterkotały karabiny maszynowe, a huk armat, roznoszony echem lasów, przeszył powietrze, wiedzieliśmy, że zanosi się na większy bój nocny. Kapi-

tan Bogaczewicz zarządził ostre pogotowie bataljonu, tak, że żołnierze poubierali się szybko, i z karabinami w ręku, gotowi do walki, odpoczywali na swych posłaniach, wsłuchując się w odgłos toczącej się walki nocnej. Wśród tego piekła walki, której bez przerwy towarzyszyły potężne wybuchy pocisków armatnich i głośnie kilkakrotne okrzyki „hurra“, świadczące o walce na bagnety, 26 pułk piechoty trzymał się dziarsko i po bohatersku. O godzinie 9-tej bitwa stawała się coraz natarczywsza i dowódca dywizji wysłał dwie kompanie 25 pułku, z czterema karabinami maszynowymi, na pomoc 26 pułkowi. Prowadził wspomniane kompanie bardzo dzielny i obowiązkowy, nieustraszony oficer, porucznik Budzoń Józef, który miał poważnie starżane zdrowie, dłuższym pobytem w niewoli moskiewskiej, w czasie wojny światowej, jako oficer austriacki. Biegając na pomoc 26 pułkowi piechoty, spotykaliśmy w lesie pojedynczych żołnierzy, lub małe grupki, wyczekujące pomocy, którzy to żołnierze wskazywali nam w terenie linię nieprzyjacielską, prosząc o parę sztuk amunicji, by powrócić jak najspieszniej do boju. Ze skraju lasu widać było jak na dłoni, piaszczyste wzgórze przed wsią Radowel, z którego bolszewicy zasypywali ogniem karabinów maszynowych oddziały zmęczonego bojem 26 pułku piechoty. Porucznik Budzoń ustawił na skraju lasu swoje kompanie i karabiny maszynowe i rozpoczął gwałtowny ogień na zajęte przez bolszewików wzgórze, poczem wydał rozkaz do szturmu na wieś. Pomimo ciężkiej sytuacji w tym boju, do szturmu poszła wyłącznie 12 kompania, parucznika Budzonina, gdyż 11 kompania podporucznika Kotowskiego odeszła na pomoc 3 kompanii 26 pułku, która pod stacją kolejową Rudnia Radowska zdobyła armaty bolszewickie. Uderzenie 12 kompanii na wieś Radowel było tak brawurowe i zdecydowane, że bolszewicy po krótkiej walce uciekli ze wsi do lasu. Pędząc przez wieś cofające się oddziały bolszewickie, 12 kompania wybiegła na wschodni jej skraj, gdzie w pobliskich krzakach, jakiś dowódca, czy też komisarz bolszewicki, siedzący na rasowym białym koniu, z rewolwerem w ręku, starał się powstrzymać uciekających swych żołnierzy i nawrócić ich zpowrotem do boju. Rozkazałem kapralowi Mołdawie, otworzyć niezwłocznie ogień karabinów maszynowych na bezładną gromadę uciekinierów. W jednej sekundzie zaterkotał karabin maszynowy kaprała Mołdawy, a powstrzymywana przez komisarza bolszewickiego gromada bolszewików, rozpięrzchła się w bezładzie, pozostawiając w krzakach zabitych i rannych. Nie przerywając ognia, kapral Mołdawa skierował wiązkę kul karabinu maszynowego za uciekającym komisarzem, lecz zawdzięczając

panicznej ucieczce wymienionego na rączym koniu, nie mógł go dosięgnąć, a jedynie targał kawałami, ogon szlachetnego rumaka, który odrywany kulami, wylatywał w powietrze, jak wyrzucane szmaty. W jednej sekundzie jeździec skrył się za krzakami, poświęcając jedynie ogon swego dzielnego rumaka, który przez swój pęd zawrotny mu życie uratował.

Po zdobyciu wsi Radowel, z prawej strony, z oddalonego o pięćdziesiąt kroków lasu, kompanja otrzymała silny ogień karabinowy, a głośnie „ura”, oznajmiło kontratak nieprzyjacielski. Kapral Giermakowski Bolesław, nie czekając na rozkazy, z własnej inicjatywy, przeniósł swój karabin maszynowy, na prawy wylot wsi i otworzył gwałtowny ogień, na wylaniających się z lasu bolszewików. W tej samej sekundzie, zagrzmiały karabiny w rękach dzielnych żołnierzy 12 kompanji, którzy rzucili się do przeciwdzierzenia i bagnetem zmusili oddział bolszewicki do ucieczki, goniąc go przez las, na przestrzeni trzech kilometrów, aż do stacji kolejowej Rudnia Radowska. Podczas tego pościgu, podszedł do mnie porucznik Budzoń i poprosił, bym poprowadził dalej w boju jego kompanję, bo on czuje, że niedługo umrze. Twarz miał zmienioną i pianę na ustach. Zbyt forsowny szturm i pościg jego kompanji wyczerpał doszczętnie jego siły. Szlachetny i bohaterski ten oficer dostał się do niewoli rosyjskiej w 1915 roku, jako oficer armji austriackiej. Niewola rosyjska, a w szczególności, po przewrocie bolszewickim, tak podrywała zdrowie porucznika Budzonia, że przy większym wysiłku fizycznym, odczuwał zawrót głowy i duszność w piersiach, co mu jednak nie przeszkadzało, że przy nadmiernej swej obowiązkowości i poświęceniu, przebywał stale od szeregu miesięcy na froncie, znosząc trudy i niewygody życia wojennego. Był to faktycznie ostatni bój porucznika Budzonia, po którym wyjechał do szpitala i więcej do zdrowia nie powrócił, kończąc na gruźlicę swój żywot, cały poświęcony dla Ojczyzny. Przedwcześnie zabrała śmierć tego oficera, który umiłował Wolność Ojczyzny, ponad życie własne, i nie pozwoliła mu doczekać zwycięskiego końca wojny, którego doczekaliśmy my, jego towarzysze broni. „Niech Mu Ta Ziemia Polska, którą ukochał sercem całym, lekką będzie. Niech deszcz rzewnemi nad Jego mogiłą zapłaczę łzami, a wiatr niech mu szepcze melodję cichą, tajemniczą, o sławie i zwycięstwach jego żołnierzy, towarzyszy broni i Całej Zwycięskiej Armji Polskiej“.

Po zdobyciu stacji kolejowej Rudnia Radowska, czyli odzyskaniu pierwotnej pozycji 26 pułku piechoty, którego broniła tu jeszcze kompanja i nie myślała absolutnie wycofywać się bez roz-

kazu, pomimo, że nadmiernie lesisty teren utrudniał w bardzo znacznym stopniu obronę. Bolszewicy w każdej chwili mogli tu przybyć niepostrzeżenie przeważającymi siłami i zadać kompanii duże straty, lub zniszczyć ją doszczętnie. Kiedy po skończonym boju, granaty ręczne przestały bić w las i po wycofaniu się bolszewików ustała strzelanina karabinowa, przesłałem meldunek do dowództwa 26 pułku piechoty, o zajęciu stacji kolejowej, i zadowolony ze spełnionego czynu, czekałem na dalsze rozkazy, nie wiedząc, że z rozkazu dowództwa dywizji, cała XIII brygada piechoty cofała się na Olewsk. Byłbym prawdopodobnie pozostał na tej stacji kolejowej, wśród lasów pełnych nieprzyjaciela, i nie wycofałbym się do swoich, gdyby nie odwaga i wielka rycerskość dowódcy bataljonu 26 pułku, kapitana Endel-Ragisa, który nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo dostania się do niewoli, sam jeden przyjechał do mnie konno, przez lasy i zawiadomił mnie o wycofywaniu się naszych wojsk do Olewska, dając mi rozkaz, bym natychmiast wycofywał się do Olewska, dokąd maszeruje cała brygada. Zebrawszy całą kompanię z karabinami maszynowymi, cofałem się wraz z kapitanem Endel-Ragisem, pod ogniem nieprzyjacielskim do wsi Rudnia Radowska, gdzie na pozycji oczekiwał bataljon kapitana Endel-Ragisa, poczem niezwłocznie wyruszyliśmy drogami przez lasy do Olewska, które przed nami przeszły oddziały nieprzyjacielskie, w pościgu za wycofującymi się pułkami. Wdzięczny byłem kapitanowi Endel-Ragisowi, za Jego poświęcenie, że przybył osobiście i wycofał mnie na czas z niebezpiecznej pozycji, bo gdyby nie przybył sam, a wysłał łącznika, któryby zbłądził, lub z innej przyczyny nie doszedł do mnie, siedziałbym tam niechybnie, do przybycia bolszewików i prawdopodobnej klęski, z ich przeważającymi siłami, zdala od swoich, wśród bezbrzeżnych lasów.

Po przybyciu do Olewska, poprosiłem dowódcę 26 pułku o pozwolenie jak najszybszego powrotu do swego bataljonu, wiedząc, że kapitan Bogaczewicz czuje się niebardzo dobrze na pozycji, nie mając przy sobie swoich dwóch kompanij. Połączwszy się z 11 kompanją, która również powróciła z 26 pułkiem, ze sporą ilością zdobytych karabinów maszynowych i wozów taborowych, szykowałem się do odejścia, wypytując oficerów sztabu dywizji, o miejsce postoju swego bataljonu. Zmęczeni i zgłodnieli moi żołnierze, leżeli pokodem na rynku w Olewsku, odpoczywając przed spodziewanym marszem. Obok nich leżeli żołnierze 26 pułku, do których podszedł dowódca 7 dywizji piechoty, pułkownik Szubert i przemówił:

„Żołnierze! Dzielnie spisaliście się dzisiaj, prowadząc bój, z przeważającym nieprzyjacielem, pod naporem którego wycofaliście się tutaj. Przykro mi tylko, że 25 pułk piechoty był tak blisko i nie przyszedł wam z pomocą. Za trudy położone, podczas dzisiejszego, ciężkiego boju, dziękuję wam!”

W pierwszej chwili myślałem, że mnie diabli porwą, na niesprawiedliwe przemówienie dowódcy dywizji, lecz nie będąc w życiu zbyt chciwym na pochwały ludzkie, stłumiłem żal w sobie, nic nie mówiąc. Spojrzałem na swoich żołnierzy i przykreść ogarnęła mnie wielka. Dużo żołnierzy patrzyło na mnie ponuro ze smutkiem, mając łzy w oczach. Ci niezłomni i bojowi żołnierze odwracali się na boki, ocierając łzy ukradkiem, które tłoczyły im się do oczu, za pominięty przez dowódców, ich wysiłek krwawy, który w tym dniu przyniósł pomoc ich sąsiedniemu pułkowi, w ciężkiej dla niego sytuacji. Dowódca 26 pułku mówił coś dyskretnie do dowódcy dywizji, wskazując na mnie i na moich żołnierzy, poczem odeszli w stronę dowództwa dywizji. Podeszedłem do swoich żołnierzy i przykreść ogarnęła mnie jeszcze większa. Na ziemi siedział ranny w tym boju w rękę żołnierz, który zapatrzone przed siebie, myślał o czymś ponuro i zabrudzonym od zaschłej krwi i kurzu bandażem, ocierał sobie pot z czoła, nie chcąc odchodzić z kompanji do szpitala. Na ten widok, uczułem ból serca i nie chcąc dłużej poddawać się rozczuleniu, krzyknąłem na swoich posępnych żołnierzy:

„Powstań! Nie mazać mi się, jak stado bab, lub gromada dzieci, co nie dostała cukierków. Nie dla pochwały dowódców walczyć, a dla spełnienia poważniejszych czynów”. I chcąc przerwać żołnierzom ich przykre dumania, rozkazałem maszerować. Idąc przez dzikie lasy i puste pola w stronę Kiszyna, gdzie miałem spotkać swój bataljon, by się z nim połączyć, siłą woli zmuszałem się do zapomnienia słów dowódcy dywizji, który mówił, że 25 pułk był tak blisko i nie przyszedł 26 pułkowi z pomocą, i pomimo że sto razy wmawiałem w siebie, że nie dla pochwał służę, lecz dla wznioślejszych celów, słowa dowódcy dywizji tłoczyły mi się do mózgu i krwawiły serce. Dopiero gdy zapadał zmrok i z za każdego krzaka w lesie poczynano grozić niebezpieczeństwo, zapominałem o przykrych słowach dowódcy dywizji i idąc ciemną drogą przez dziki i pusty las, nadśluchiwałem, obserwując badawczo drogę, by nie zbłądzić, lub nie wpaść w zasadzkę, a co najgorsze, by nie postrzelać się po ciemku, ze swymi. Po przybyciu do Kiszyna, z przykreścią dowiedziałem się, że bataljonu kapitana Bogaczewicza tu niema

i że wyruszył wraz z pułkiem, z rozkazu Dowódcy 3 Armji, generała Rydza-Śmigłego, do zajęcia z powrotem opuszczonego Radowła. Nie było innej rady, jak zanocować w tej nieprzyjemnej, w pobliżu lasów i frontu wiosce, by dać żołnierzom wytchnienie po trudach bojowych i marszach dnia poprzedniego i by po odszukaniu za dnia, przy pomocy patroli swego bataljonu, połączyć się z kapitanem Bogaczewiczem. Po należytem ubezpieczeniu się we wsi, zgłodniałym żołnierzom pokładli się spać w ubraniach, mając przy sobie na posłaniu karabiny i granaty ręczne, gdyby zostali podczas snu zaskoczeni przez nieprzyjaciela. Każdy żołnierz wiedział, że na skraju pobliskiego lasu znajduje się plac alarmowy, dokąd ma biec, gdyby nieprzyjaciel napadł na wieś. Tam ma się zebrać kompanja, by stawić czoło nieprzyjacielowi. Po wydaniu wszystkich zarządzeń, udałem się na spoczynek do swej kwatery i rzuciłem się na słomę, rozłożoną na brudnej podłodze, by zasnąć na chwilę, wydawszy przedtem rozkaz posterunkowi alarmowemu, by mnie niezwłocznie obudził, gdyby zauważył nieprzyjaciela, podchodzącego pod wieś, lub gdyby usłyszał w pobliżu strzelaninę.

27 czerwca, o godzinie 1-szej w nocy, posterunek alarmowy zastukał energicznie do mego okna. Zerwałem się z posłania na równe nogi i wybiegłem przed chatę, na ulicę. Zdała dolać mnie odgłos silnej kanonady artyleryjskiej i strzelanina karabinowa, od strony Radowła. Wiedziałem i zdawałem sobie jasno sprawę, że tam walczy 25 pułk i bataljon kapitana Bogaczewicza, bez dwóch kompanij, i głos obowiązku nakazywał mi jak najszybsze wyruszenie w stronę boju, ze względu jednak na to, że nie znałem sytuacji bojowej na froncie, a strzelanina wkrótce ucichła, powróciłem do swej kwatery i rzuciłem się z powrotem na słomę, gdzie zasnąłem snem kamiennym. Obudziło mnie nad ranem mocne szarpanie za rękaw i trwożliwe powiedzenie któregoś z oficerów: „Wstawaj! Bolszewicy we wsi. Idą nas fasować”.

Chwyciłem za rewolwer i leżąc na posłaniu, namyślałem się szybko, czy wyskoczyć oknem, lub drzwiami i zaalarmować śpiących żołnierzy do boju, czy też poczekać w chacie, aż wejdzie do niej bolszewik, po zabiciu którego trzeba będzie rozpocząć działać, gdy w sieni usłyszałem tupot butów żołnierskich i do izby wbiegł potężny drab z płonąca żagwią, którą przykładając mi omal że nie do nosa, zapytywał po rosyjsku zaspąną gospodynię: „Gdzie zdieś spiat oficera?”

I w tej chwili, gdy miałem rewolwer skierowany w szeroką pierś, mniemanego bolszewika i chciałem pociągnąć za cyngiel

rewolweru, by uśmiercić draba, czyhającego na moje życie, czy też wolność, który nachyliwszy się nademną, przy pomocy pochodni przyglądał mi się badawczo, usłyszałem zapytanie:

„Panie poruczniku! Gdzie tu są baterie 7 pułku artylerji polowej, gdyż wiozę amunicję do armat i nie mogę swych baterij odnaleźć“. Cofnąwszy odruchowo wymierzony rewolwer, którym omal nie położyłem trupem podoficera własnej artylerji, poleciłem mu zatrzymać się przy mnie do rana, by go skierować na właściwą drogę, po wyjaśnieniu sytuacji, zapomocą patroli, które zamierzałem wysłać o świcie na wszystkie strony, na poszukiwanie bataljonu. Wysłane o świcie patrole, nadesłały mi po pół godzinie od chwili wymarszu meldunek, że kapitan Bogaczewicz maszeruje z Radowla do Kiszyna i że za godzinę stanie w Kiszynie, dokąd skierował go rozkaz dowódcy pułku. Po przybyciu bataljonu do Kiszyna, nakarmiłem zgłodniałych żołnierzy dosyta z kuchen polowych, poczem cały bataljon odmaszerował na przyczółek mostowy w Łopatyczach, gdzie miał rozkaz utrzymywać obronnie wschodni brzeg rzeki Uborć, do ewentualnego wyjścia wojsk naszych do akcji zaczepnej, za rzekę.

ROZDZIAŁ XIX.

Walki nad Uborcią-Słuczą-Styrem i Stochodem.

Wycofanie się 7 dywizji piechoty na linię rzeki Uborć, nastąpiło ze względu na wycofanie się 6 dywizji piechoty, pod naporem przeważających sił nieprzyjacielskich, z linii: Jancza-Rudnia-Podłuby, na Bolszaju Głumczę-Miedwedówkę, na skutek czego grupa Słucz odgięła swoje północne skrzydło na rzekę Cwilkę, i w związku z tem, Dowództwo 3 Armji zostało zmuszone odwołać projektowaną akcję zaczepną na Sławeczno i obsadzić linię obronną rzeki Uborć. Pozycja w tym czasie nad rzeką Uborć została obsadzona następująco:

6 dywizja ukraińska, z jednym baonem 5 pułku Legionów, baterją artylerji i szwadronem jazdy 7 brygady kawalerji, obsadziła odcinek: Kopiszcze-Jurowa.

7 dywizja piechoty, obsadziła odcinek, od Jurowej włącznie, do Słobódki Łopatyczewskiej wyłącznie, utrzymując tam łączność z 1 dywizją Legionów i grupą wypadową pułkownika Dąb-Biernackiego. 25 pułk obsadzał pozycję w ten sposób, że III bataljon 25 pułku, kapitana Bogaczewicza, bronił przyczółka mostowego Łopatycze, przed rzeką, pozostałe dwa bataljony pułku, obsadzały pozycję nad rzeką, od Barbarówki włącznie, do Słobódki Łopatyczewskiej wyłącznie. 26 pułk stanął w Rudni Bystrej, jako odwód dywizji.

Po przybyciu nad rzekę Uborć, oficerowie i żołnierze zrozumieli, że wycofali się na linię, skąd Armja Polska wyruszyła na ofensywę kijowską, i że dalej im cofać się nie wolno. To też oddziały zapragnęły walczyć wytrwale, stawiając mężnie czoło oddziałom bolszewickim, które nacierały na nie bez przerwy. W tym czasie, na przedpolu 3 Armji, znajdował się nieprzyjaciel w następującem ugrupowaniu:

Na północ od toru kolejowego Kijów - Sarny, znajdowały się dwie brygady, 25 dywizji bolszewickiej. Na południe od nich stały: 19 i 20 brygady, 7 dywizji bolszewickiej, ze 141 brygadą, 58 dywizji bolszewickiej. Poza tem dochodziła jeszcze 44

dywizja piechoty bolszewickiej i jedna brygada jazdy Baszkirskiej, co przy słabych stanach oddziałów, bolszewickich, nie przedstawiało nawet dużej przewagi liczebnej, w stosunku do przebywających tam sił polskich, lecz oddziały polskie musiały obsadzać szeroki odcinek frontu i były na nim porozprasane, a oddziały bolszewickie, działając koncentrycznie, miały możliwość przeciwstawić oddziałom polskim przewagę liczebną, na poszczególnych odcinkach.

Bolszewicy, szykując się do decydującego uderzenia na froncie litewsko-białoruskim na północy, starali się za wszelką cenę odciągnąć odwody polskie z północy, na południe, to też bez przerwy prowadzili uporczywe ataki na odcinku 25 pułku i całej 7 dywizji piechoty.

27 czerwca, o godzinie 7-mej, placówki nasze przed Łopatyczami, zaalarmowały strzałami zbliżanie się nieprzyjaciela. Żołnierze chwyтали za broń i biegli pośpiesznie na wyznaczone sobie stanowiska obronne, skąd rozpoczęli po wycofaniu się placówek, silny ogień karabinowy, na nacierające tyraljery nieprzyjacielskie. Mocno porośnięty teren krzakami, utrudniał celne strzelanie naszym żołnierzom i ułatwiał posuwanie się bolszewikom, lecz żołnierze w tym boju, walczyli tak niezłomie, z pragnieniem zwycięstwa, że parogodzinny bez przerwy bój, prócz dużych strat, żadnych sukcesów nieprzyjacielowi nie przyniósł. Nacierające oddziały bolszewickie, widząc zdecydowany opór bataljonu kapitana Bogaczewicza, zatrzymały się i okopały, prowadząc walkę ogniową karabinów maszynowych i artylerji. Od ognia nieprzyjacielskiego w tym boju został ranny podporucznik Łukasiński Konrad, jak również bataljon miał przeszło 10 zabitych i ciężko rannych, tak, że dłużej pod tym morderczym ogniem nie można było siedzieć bezczynnie i należało jak najprędzej nieprzyjaciela stąd przepędzić. Dowódca 25 pułku, pragnąc przyjść z pomocą, bataljonowi kapitana Bogaczewicza, rozkazał rzucić jedną kompanję I bataljonu, do kontrataktu, na prawe skrzydło nieprzyjaciela. Dzielny dowódca 2 kompanji 25 pułku, porucznik Chmielewski Henryk, przebył rzekę wbród i uderzył do szturm na bagnety, rolując bardzo szybko ugrupowanie natarcia nieprzyjacielskiego. Z chwilą, gdy oddziały bolszewickie próbowały stawić czoło uderzającej na ich skrzydło kompanji porucznika Chmielewskiego, bataljon kapitana Bogaczewicza zionął na nieprzyjaciela tak morderczym ogniem, że nieprzyjaciel porzucił stojące na pozycji karabiny maszynowe, baterje armat i pozostawiając zabitych i rannych, ratował się paniczną ucieczką, nie stawiając żadnego oporu, tak, że wysła-

ne niezwłocznie za uciekającym nieprzyjacielem patrole bojowe, nie nawiązały z nim kontaktu, znajdując jedynie porzucone w lesie armaty, karabiny maszynowe i wozy amunicyjne. Zawdzięczając brawurowemu i zdecydowanemu uderzeniu na bagnety, kompani porucznika Chmielewskiego, bataljon kapitana Bogaczewicza został uwolniony od silnego ognia nieprzyjacielskiego, a 25 pułk zdobył w tym boju 4 armaty polowe z jaszczami i amunicją, gotowe do strzelania, i 8 karabinów maszynowych.

W czasie tego boju, zdarzył mi się niewytłumaczony dla mnie do dnia dzisiejszego wypadek. O godzinie 9-tej, gdy bój dochodził do najwyższego swego napięcia, a artylerja nieprzyjacielska, silnie ostrzeliwała okopy w Łopatyczach, stałem za niezbyt grubem drzewem i obserwowałem z ukrycia posunięcia nieprzyjacielskie, by zbadać zamiary nieprzyjacielskie, co do głównego jego uderzenia. Silne wybuchy granatów artyleryjskich, połączone z bezustannym trzaskiem karabinów maszynowych i żalosnym jękiem, przelatujących nad głowami walczących, kul karabinowych, stwarzały zwykły zgiełk bitewny. Stojąc za wspomnianem drzewem i obserwując plac boju i posunięcia nieprzyjaciela, byłem mocno zaaferowany i będąc zagrzany bojem, nie odczuwałem lęku, ani też złych przeczuć. W pewnym momencie, jakiś głos wewnętrzny, silny i potężny, nakazał mi, bym jaknajprędzej oddalił się, z za wspomnianego drzewa, w inne miejsce. Posłuszny wewnętrzznemu i nieznanemu nakazowi, jak zahypnotyzowany, przebiegłem do pobliskiego okopu, gdy w tym samym momencie pocisk artyleryjski nieprzyjaciela pękł z hukiem i trzaskiem, tuż pod samem drzewem, z pod którego przed sekundą czasu uciekłem. Narazie zdawało mi się, że był to zwykły przypadek, nad którym należy przejść do porządku dziennego, lecz po boju, gdy w wolnej chwili czasu zacząłem rozważać to szczęśliwe dla mnie zdarzenie, odczuwając jeszcze w swym umyśle siłę wewnętrznego nakazu, do ucieczki z pod narażonego na pocisk artyleryjski drzewa, doszedłem do przekonania, że nie był to zwykły przypadek, lecz wyższa siła losu, czy też Opatrzności. A może wówczas, gdy obserwator artyleryjski nieprzyjaciela, widząc mnie, kierował na mój cel armatę, czy też baterję, i gdy w tej chwili, całą siłą swej woli pragnął ognia, na me zgładzenie, odczułem ten moment i wycofałem się w bezpieczniejsze miejsce, wiedziony dobrem przecuciem. W każdym bądź razie zjawisko to dla mnie, do dnia dzisiejszego, pozostało niewytłumaczone.

Nazajutrz po boju, 25 pułk zluźował na odcinku Andrzejówka - Łopatycze, oddziały 1 dywizji Legjonów, czem znacznie powiększył swój odcinek obronny. Naskutek tego, czy też mając rozkaz za wszelką cenę, przerwać front na tej pozycji, bolszewicy dniami i nocami prowadzili bez przerwy, zaciekle walki na odcinku 25 pułku, lecz bezskutecznie. Żołnierze 25 pułku walczyli w tych bojach z uporem, jak lwy rozwścieczone, zaścierając pole trupami wroga.



Szczęśliwi, którzy polegli śmiercią bohaterską w walce za Ojczyznę, lecz stokroć szczęśliwsi Ci, co doczekali Zmartwychwstania i Zwycięstwa swej Ojczyzny, po wiekowej niewoli i krwawych zmaganiach. Siedzą: 1) ś. p. por. Chmielewski Henryk, 2) ś. p. por. Mikurda, 3) ś. p. por. Sledzikowski, 4) por. lek. Skalski, 5) podp. Cebula, 6) podp. Kowalówka.

4 lipca nieprzyjaciół przeprowadził bardzo silny atak, na pozycje I bataljonu 25 pułku. Od strony Zubkowic i Kaczyszyna nacierały na Serdiuki 42 i 56 pułki bolszewickie. Od strony Kiszyna nacierał 28 pułk jazdy bolszewickiej, jak również w tym boju, brał udział, również ze strony bolszewickiej, 1 pułk komunistyczny Warszawski, imienia Bartosza Głowackiego, ubrany w mundury i hełmy polskie, prawdopodobnie zabrane żołnierzom polskim wziętym do niewoli. W Serdiukach bronił

się podczas tych walk, jak niezapomniany „Bohater Woli”, dowódca 2 kompanji 25 pułku, porucznik Chmielewski Henryk, zdobywca baterji armat i karabinów maszynowych, przed tygodniem czasu, pod Łopatyczami. Okrażony ze wszystkich stron, przez przeważające siły nieprzyjacielskie w Serdiukach, porucznik Chmielewski nie uląkł się i walczył do ostatniej kropli krwi, pamiętając o honorze Ojczyzny i pułku, ponosząc śmierć bohaterską na wspomnianem placu boju. Korpus Oficerski 25 pułku doceniając bohaterskie czyny Tego Niezlomnego Towarzysza Broni, uchwalił jednogłośnie zaopiekowanie się, pozostałemi trzema sierotami, po ś. p. poruczniku Chmielewskim, łożąc na ich utrzymanie potrzebne kwoty.

Po zdobyciu przez bolszewików Zwiąhla i Korca, 7 dywizja piechoty otrzymała rozkaz wycofania się przed możliwem oskrzydleniem, od południa, na linję rzeki Słuczy.

5 lipca zrana zebrał się 25 pułk w pobliżu frontu, skąd przez Borowskie Rudki, Karpowce, Kisorycze, Rudnię, Lwa, Czabel, Znosicze, wycofał się bez boju za Słucz, dokąd przybył w dniu 8 lipca. Upał i złe piaszczyste drogi utrudniały znacznie ten forsowny marsz odwrotowy, tak, że przemęczeni i spoceni żołnierze, z całą przyjemnością zażywali błogiej kąpieli w rzeczce Słuczy, szykując się do obrony pozycji, nad rzeką, w związku ze spodziewanem nadejściem nieprzyjaciela. Nie miał jednak pułk szczęścia walczyć w tem miejscu, gdyż naskutek zajęcia przez jazdę bolszewicką rejonu „Stepania”, nazajutrz 25 pułk przeszedł do Kryczyłska, za rzekę Horyń, obsadzając pozycję, na linii: Werbcza Duża — Werbcza Mała — Kryczyłsk. Po parogodzinny odpoczynek w Kryczyłsku, bataljon kapitana Bogaczewicza odmaszerował do Werbczy Dużej, na wzmocnienie prawego skrzydła pułku, dokąd przybył również dywizjon, czy też cały 3 pułk ułanów, wyparty przez przeważające siły jazdy Baszkirskiej ze Stepania. Po nieprzespanej nocy i ciągłej gotowości bojowej, kapitan Bogaczewicz siedział ze swymi oficerami i zjadał ze smakiem. beztróska śniadanie, gdy do jego kwatery wszedł dowódca 3 pułku ułanów, podpułkownik Bystram, zapytując zdziwionym głosem:

„Panowie siedzicie tutaj, jak za dobrych czasów i nie na wojnie, a tu z za każdego krzaka i fałdy terenowej czycha jazda wroga.” Kapitan Bogaczewicz uspokoił podpułkownika Bystrama słowami, że „jeszcze nie jest tak źle, skoro jego placówki nie strzelają,” prosząc podpułkownika Bystrama do stołu, by raczył z nami zjeść śniadanie. Uspokojony nadmierną pewnością siebie kapitana Bogaczewicza i jego oficerów, podpułkownik

Bystram zjadł śniadanie i zasnął znużony przy stole. Oficerowie i żołnierze wolni od służby, leżeli z bronią w ręku, zażywając odpoczynku. Ordynansi w tym czasie urzęniłi łeb zakupionej kurze i chodząc na palcach, by nie obudzić odpoczywających oficerów, przygotowywali obiad. Był to czas w którym oficerowie przesypiali się z żołnierzami małą chwilkę czasu podczas dnia, spędzając szereg nocy bezsennie, w ciągłej gotowości bojowej, lub w bojach i marszach odwrotowych. O godzinie 11 tej wszyscy oficerowie powstali i po ubraniu się, zasiedli do stołu. Gawędząc beztrosko, z humorem oczekiwali na obiad. Ordynansi w zakłopotaniu, dmuchali na ogień, by się obiad jak najprędzej ugotował. Po ugotowaniu podawali na stół rosół, gdy do kwatery wbiegł oficer 3 pułku ułanów i zameldował podpułkownikowi Bystramowi, że silne patrole jazdy bolszewickiej posuwają się w ich stronę, z przedpola. Kapitan Bogaczewicz zaalarmował bataljon, który w jednej chwili stanął gotów do boju. Oficerowie wybiegli do swych oddziałów, skąd powracali za chwilę, zjadając obiad na zmianę, którym w pośpiechu poparzyli sobie usta. W powietrzu panowała cisza i spokój, tak, że o godzinie 12 tej ordynansi podawali do stołu mięso z kury, gdy stojące przy moście placówki, dały znać strzałami, że wróg zbliża się i że jest niedaleko. Wszyscy oficerowie znajdowali się przy swych oddziałach, które ukryte w opłotkach wioski, oczekiwały na zbliżenie się nieprzyjaciela, by zadać mu straty, przez raptowne zaskoczenie. Patrole kozackie jednak nie podjeżdżały zbyt blisko, lecz skacząc na dalekim przedpolu, na swych karych koniach, jeźdźcy wpatrywali się przez lornety w ugrupowanie naszej pozycji, którą za chwilę mieli zaatakować. Po chwili wyczekiwania bataljon wycofał się ze wsi do pobliskiego lasu, skąd wraz z 3 pułkiem ułanów obserwował ruchy nieprzyjaciela na przedpolu. Siedząc w lesie i oczekując na wydarzenia, oficerom i żołnierzom czas dłużył się znacznie. Wszyscy czuli się w tym lesie, jak na jakiejś nudnej majówce, gdy na prawem skrzydle pułku jazda bolszewicka przeszła do ataku. Gwałtowna strzelanina przerwała nudę żołnierzom, którzy trzymając w dłoniach karabiny, wyglądali z ciekawości z lasu, na przedpole. O godzinie 16-tej nadszedł rozkaz do boju. Bataljon otrzymał rozkaz udania się niezwłocznie do Werbczy Małej, gdzie nieprzyjacielska jazda mocno zagrażała walczącym tam oddziałom. Po wyjściu z lasu, oczom żołnierzy przedstawił się przykry widok. Na przełaj, przez pola, cofała się 4 kompania 25 pułku, ostrzeliwując się zawzięcie przed napierającą na nią kawalerją nieprzyjacielską, która szykując się do szarży,

błyszczała tysiącami promieni swych szabel, w słońcu pogodnego dnia letniego. Był to dla mnie niezapomniany, śliczny, i zarazem przykry widok. Zapatrzony w błyski tysięcy szabel, przebiegających szybko na dalekiem przedpolu jeźdźców nieprzyjacielskich pragnąłem jaknajszybciej znaleźć się przy zagrożonej kompanji, by jej dać pomoc, w chwili, gdy do zniszczenia jej wystarczyłoby kilkadziesiąt sekund, gdyż jazda nieprzyjacielska posuwała się za nią nie więcej, jak w odległości 500 metrów, która to przestrzeń dla galopującej w szarży kawalerji jest znikoma, by dopaść i wyrąbać piechotę. Jeżeli ta kompanja wyszła z tych przykrych opresji, bez klęski, to zawdzięczając temu, że jazda bolszewicka nie ośmieliła się wykonać szarży na tak zdecydowany oddział. A może oddział jazdy nieprzyjacielskiej, postępujący za cofającą się 4 kompanją, nie miał zamiaru uderzyć do szarży, a jedynie zwrócić uwagę piechoty w tę stronę, gdyż w krótkim czasie, jazda bolszewicka ruszyła do szarży z ukrycia, ze wszystkich stron, na bataljon kapitana Bogaczewicza. Wraz z wołaniem żołnierzy naszych: „Kawalerja ztyłu!“, usłyszałem okrzyki wojenne jeźdźców bolszewickich, którzy całym pędem nóg końskich szarżowali z różnych stron na bataljon. Niektórzy żołnierze bataljonu, maszerujący ztyłu kolumny, gdy obejrzeli się poza siebie, ujrzeli nad swemi głowami wzniesione szable kawalerzystów bolszewickich, co jednak nie wpłynęło na nich demoralizująco, gdyż chwyciwszy karabiny, rozpoczęli niezwłocznie walkę ogniową, co ich uratowało, gdyż bataljon miał w tym boju bardzo małe straty, a jeźdźcy bolszewicy, którzy zapędzili się zbyt blisko za bataljonem, padali przeszyci kulami karabinowymi, lub przyłgnąwszy do karków końskich, zmykali z placu boju w bezpieczne ukrycia. Jeden z jeźdźców bolszewickich omal że w tym boju nie zarąbał lekarza bataljonowego, podchorążego Lewensztejna, pochodzącego z Kielc, lecz szable chybiła i przemknąwszy koło głowy zaskoczonego doktora, uderzyła z dużą siłą w deskę wozu sanitarnego. Zapalczywy drab chciał poprawić cięcie, lecz nim zdołał je wykonać, spadł z konia, ugodzony kulą karabinową żołnierzy, którzy nadbiegli doktorowi na pomoc. Pomimo niebezpiecznej chwili, która mogła w każdym momencie sprowadzić szablę bolszewicką, człowiekowi na głowę, nie tyle obserwowałem galopujących po placu boju jeźdźców bolszewickich, ile zawziętą walkę żołnierzy bataljonu. Pęd, coraz to nowych oddziałów bolszewickich, zdążających na pomoc, jak również trzask szabel bolszewickich, uderzanych o stalowe hełmy żołnierzy, bataljonu kapitana Bogaczewicza, nie odstraszył tych niezłomnych żołnierzy. Strzelając i goniąc jeźdźców bolszewi-

ckich na placu boju, żołnierze wytrwali do końca walki zwycięsko, gdyż wiedzieli, że jeżeli nie zwyciężą, to i tak nie ujdą przed jazdą bolszewicką, która na koniach zdoła ich dogonić i zniszczyć. Kiedy ostatni jeźdźcy bolszewickcy wycofali się do okolicznych lasów, żołnierze zaprzestali strzelać i czekali na dalsze rozkazy, obserwując teren badawczo na wszystkie strony. Niedługo odpoczywali, bo wnet ujrzeni z oddali na przedpolu liczne tyraljery jazdy nieprzyjacielskiej, która z odległości dwóch kilometrów posuwała się galopem, w stronę bataljonu kapitana Bogaczewicza. Za wspomnianą tyraljerą jechała druga, by wesprzeć pierwszą w szarży. Żołnierze wpatrywali się w zbliżającą się jazdę nieprzyjacielską, szykując się do boju. Zdawałoby się, że ta wielka przewaga jazdy wroga idzie na ten niezłomny bataljon, by położyć ostatecznie w tym boju kres jego istnieniu. Zanosilo się na większą i szczęśliwą dla bataljonu bitwę, w której jazda bolszewicka poniosłaby duże straty, gdyż żołnierze wyczekiwali z nienawiścią, na zbliżenie się atakującej jazdy bolszewickiej, licząc każdy krok zbliżającego się nieprzyjaciela, by zacząć ogień karabinowy. W tym momencie, zawczasie wyjechał z lasu, nam na pomoc 3 pułk ułanów. Zaczęli się targować dowódcy o palmę zwycięstwa tego boju i popełnili bardzo wielki błąd. Kapitan Bogaczewicz pragnął przyjąć szarżę nieprzyjacielską silnym ogniem karabinów maszynowych, poczem po załamaniu jej mieli wyskoczyć ułani z lasu i ścigać uciekającego nieprzyjaciela. Pułkownik Bystram pragnął pierwszy uderzyć na jazdę bolszewicką i po rozbiciu jej szarż, piechota miała ścigać i rozbić do reszty jazdę bolszewicką.

Na wojnie i wogóle w wojsku, starszy zawsze ma rację. Tak też i w tym boju stanęło na tem, że ułani wyjechali przed piechotę i pierwsi mieli spotkać się z jazdą Baszkirską, miast ustąpić miejsca piechocie i oczekiwać w ukryciu na ostateczne, zwycięskie zakończenie boju. Obie strony jazdy zbliżały się do siebie bardzo szybko. Z odległości 200 kroków obie strony uderzyły na siebie z szablami z taką furją, że warto było oglądać ten widok, za cenę własnego życia. Konie obu walczących stron zderzyły się piersiami. Ułani z szablami pragnęli rzucić się w wir walki, by rąbać aż do całkowitego zwycięstwa, zniebawione gęby wrogów, lecz impet obustronny uderzenia był tak wielki, że jeźdźcy nie mogli opanować rwących w pełnym galopie koni, i 3 pułk ułanów wraz z jeźdźcami bolszewickimi pogalopował w prawo. Wielki tuman kurzu zakrył widok boju, tak, że swój swego, jak również nieprzyjaciela nie mógł rozpoznać. Dowódcy tracili orientację, a konie wskazywały kierunek,

rwąc pełnym galopem dalej. Bataljon kapitana Bogaczewicza z okrzykiem „hurra”, rzucił się do szturm, na pomoc 3 pułkowi ułanów, by ten nie został pobity w walce z przeważającymi siłami jazdy nieprzyjaciela, lecz jakież było zdziwienie oficerów i żołnierzy, gdy zamiast stosów trupów i rannych, na pobojuwisku, nie znaleziono żadnego ułana ani też bolszewika. Jedyne ślady kopyt końskich wskazywały kierunek, w którym odjechali walczący. Nie czas było jednak zastanawiać się nad tem, bo zbliżała się w kierunku na bataljon Baszkirska brygada jazdy sowieckiej, która jako jedna z najlepszych, miała zakończyć zwycięsko dla bolszewików bój.

Brygada Baszkirska pędziła galopem na bataljon, zbliżając się od strony zachodzącego słońca, co bardzo ujemnie wpływało na obserwację przedpola i przyjęcie samego boju, lecz dobry żołnierz walczy i zwycięża nie tylko przy dobrych warunkach, lecz i w każdej innej dla siebie niewygodnej chwili, to też żołnierze, przysłaniając sobie oczy, jak dzikie bestje, żadne krwi patrzyli w stronę zbliżającego się nieprzyjaciela, szykując do rzutu, granaty ręczne, tę potężną broń, w walce z kawalerją, oraz nastawiając na zbliżającego się nieprzyjaciela, karabiny maszynowe. Podziwiałem zimną krew kapitana Bogaczewicza, na rozkaz którego bataljon miał otworzyć ogień. Jazda bolszewicka zbliżyła się w pełnym galopie, na odległość 600 metrów, a z szeregów bataljonu nie padł bez rozkazu ani jeden strzał. I stał się w tym boju dziwny zbieg okoliczności. Jazda bolszewicka podjechała do bataljonu kapitana Bogaczewicza w pełnym galopie, na odległość 500 kroków i myśląc prawdopodobnie, że bataljon podda się do niewoli, skoro do niej strzelać nie ma odwagi, zatrzymała konie i opuściwszy szable wdół, patrzyła triumfalnie, na wyczekujący bataljon, który absolutnie nie miał zamiaru poddawać się do niewoli, lecz pragnął podpuścić jazdę bolszewicką bliżej, by celnym ogniem zadać jej większe straty. Postępowanie jazdy bolszewickiej zdziwiło nas bardzo, tak, że w pierwszej chwili myśleliśmy, że to po walce, powrócił podpułkownik Bystram z 3 pułkiem ułanów, lecz popatrzywszy przez lornety przy pomocy których można było rozpoznać należycie jazdę bolszewicką, przygotowaliśmy się do obrony. Oczekujący klęski bolszewicy, nie wiedzieli, że stoją w ogniu wycelowanych karabinów maszynowych, oraz że każdy żołnierz bataljonu, trzyma w ręku nabity karabin i granat ręczny, szykując się zdecydowanie do walki, na rozkaz dowódcy bataljonu. Obie strony wpatrywały się w szeregi nieprzyjacielskie, jakby pragnęły odgadnąć myśli i zamiary nieprzyjaciela. Po parokrotnem

wezwanu bataljonu do poddania się, jazda bolszewicka zauważyła, że popełniła błąd, za który na wojnie tak drogo płaci każdy dowódca, krwią swoich żołnierzy. Bolszewicy nie ustąpili, choć lepiej uczyniliby, gdyby całą siłą końskich nóg rzucili się do ucieczki, niż to, że wykonali szarżę na przygotowaną do boju piechotę. W szeregach bolszewickich dało się zauważyć lekkie poruszenie, poczem ze świstem i okrzykiem „ura“, kozacy wzniesli szable w górę i ruszyli całym pędem do szarży na bataljon. Na komendę dowódcy bataljonu, padły pod kopyta jazdy bolszewickiej setki granatów ręcznych, po wyrzuceniu których nastąpiły gromy wybuchów. Jednocześnie ustawione 8 karabinów maszynowych zionęło ogniem, na atakującą jazdę nieprzyjacielską.

Pod morderczym ogniem bataljonu, załamała się szarża jazdy baszkirskiej. Gęsto padali zabici i ranni na placu boju, który przebiegały konie, bez jeźdźców. Nie mając innej rady, jeźdźcy bolszewiccy zawrócili wystraszone konie i pędzili co koń wyskoczy zpowrotem. Wśląd za uciekającymi bolszewikami strzelali bez przerwy żołnierze ogniem pościgowym, lubując się widokiem spadających z koni kawalerzystów nieprzyjacielskich. Ostatnia garstka rozbitków, w sile 30 koni, ratowała się ucieczką w stronę wsi Werbcza Mała, lecz i tym nie pozwolono wyjść z tego boju bezkarnie. Stojący na prawem skrzydle bataljonu karabin maszynowy, odciął im odwrót zaporą płaską, którą rzucił przed samą wieś. Na przedzie uciekających jeźdźców bolszewickich, pędził jak wicher, na doborowym koniu, jakiś prawdopodobnie dowódca szwadronu, lub dywizjonu, z Baszkirskiej brygady, który przed samą wsią wpadł w wiązkę ognia zaporowego karabinu maszynowego i jak zając na polowaniu, zrolował wraz z koniem, staczając się po ziemi, pod same zabudowania wioski. Wkrótce po nim, wjechali w strefę morderczego ognia inni uciekający z pobojuwiska, których spotkał ten sam los nieubłagany. Uciekający z tyłu jeźdźcy bolszewiccy, widząc padających pod samą wsią swych towarzyszy, skręcili w lewo i pragnąc ująć pogoni ogniowej, powskakiwali z wysokiego brzegu, do bagnistej rzeczki, ginąc w niej od ognia ścigających ich żołnierzy.

Po ucieczce jazdy bolszewickiej, bataljon kapitana Bogaczewicza ruszył niezwłocznie do szturm na wieś Werbczę Małą, lecz zastał ją wolną od nieprzyjaciela. Przed samą wsią leżało paru zabitych jeźdźców bolszewickich, wraz z końmi. Przykry widok sprawiał leżący pod jedną z chat wiejskich jeździec z Baszkirskiej brygady bolszewickiej. Uchylone lekko

skośne jego oczy i zsiniała, wykrzywiona od bólu twarz, wskazywały, że bardzo cierpieć musi. Jakaś pocziwa stara baba wiejska, polewała mu głowę zimną wodą, pragnąc widocznie zmniejszyć cierpienia wymienionemu. Nadszedł lekarz bataljonu, podchorąży Lewensztejn i nie zwracając uwagi na to, że jeden z drabów, może nawet ze szwadronu rannego, omal że nie wysłał go z wozu sanitarnego, na tamten świat, pragnął ratować rannego, lecz po ściągnięciu munduru i bielizny dogorywającemu, zauważył, że nic mu już na tym świecie nie pomoże. Otrzymał bowiem kulę karabinową w prawy bok, poniżej żeber, i ta wychodząc na wylot, wyrwała za sobą cały pęk poszarpanych jelit, które zmieszane z krwią i wydzielinami ludzkimi, wisiały jak kłęb starych szmat, pod ociekającą krwią raną.

Nie mając czasu do tracenia na współczucie, 99% trupowi, udałem się do swej kompanji, która karabinami maszynowemi obsadzała zdobytą wieś.

Po tej krwawej i ciężkiej dla jazdy bolszewickiej bitwie, bolszewicy nie deptali nam po piętach, podczas dalszego nakazanego marszu odwrotowego, nietylko nazajutrz, lecz przez szereg dni, aż do chwili przejścia przez pułk linii rzeki Styru, pod Czartoryjskiem.

11 lipca pułk obsadził pozycję obronną, na zachodnim brzegu rzeki Styru, między Połonnem i Sopaczowem, utrzymując przyczółek mostowy: Rafałówka-Ćminy. III bataljon 25 pułku w tym czasie stał w Rafałówce, jako odwód pułku. Pomimo że Rafałówka była mocno zbombardowana jeszcze w czasie wojny światowej i dotychczas niecałkowicie odbudowana, to jednak postój w niej był dość wygodny, ze względu na wysokie pasmo wzgórz, które kryło całkowicie leżącą w dole Rafałówkę, przed obserwacją i ogniem artylerji nieprzyjacielskiej. Piękna pogoda i bardzo przyjemna kąpiel w czystej wodzie Styru, uprzyjemniały pobyt, na tej pozycji.

13 lipca odszedł w. z. dowódca 25 pułku, podpułkownik Rissy Robert i pułk objął major Jaklicz, młody jeszcze, lecz nader doświadczony, energiczny i nieustraszony oficer, były szef sztabu, bohaterskiego generała Romera. Po objęciu pułku przez majora Jaklicza, rozpoczęły się intensywniejsze działania na froncie. 58 dywizja bolszewicka przybyła do Bereźnicy, wysuwając swoje stráže przednie, na Sucholesy-Olizarę-Romejki i Policę. W celu zbadania ugrupowania i zamiarów nieprzyjacielskich, major Jaklicz zarządził wypad na przedpole, w celu rozbicia nieprzyjaciela i przychwycenia jeńców.



Pierwszy występ nowego dowódcy pułku, major Jaklicz w gronie oficerów 25 pułku piechoty, omawia plan wypadu na Czudle-Lubachy. Stoją: 1) por. Rakowiecki, 2) por. Studziński, 3) mjr. Jaklicz, 4) por. Juszkievicz, 5) podp. Wajnberger, 6) por. Salach.

15 lipca, o godzinie 2-giej nad ranem, wyszedł na wypad, z 9 kompanją, 25 pułku, porucznik Studziński Franciszek, w kierunku na wieś Czudle i Lubachy, gdzie o świcie napadł nocującą tam kawalerję nieprzyjacielską, zabierając do niewoli 12 jeńców, wraz z osiodłanymi końmi wierzchowemi, oraz zdobywając 6 karabinów maszynowych, 4 aparaty telefoniczne i kancelarję pułku bolszewickiego ze wszystkimi aktami i maszyną do pisania. Cofając się do Rafałówki, porucznik Studziński był zmuszony prowadzić bój z silnemi oddziałami piechoty i jazdy nieprzyjacielskiej, które za wszelką cenę chciały odebrać mu zdobycz, a w szczególności kancelarję pułkową. Po ciężkiej walce ze ścigającym go nieprzyjacielem, porucznik Studziński wycofał się do Rafałówki z jeńcami i zdobyczą, tracąc 4 zabitych i kilku rannych swoich żołnierzy. 20 lipca oddziały bolszewickie sforsowały rzekę Styr, na odcinku 6-tej dywizji Ukraińskiej i zajęły Bielską Wołę, zagrażając mocno oskrzydleniem z lewego skrzydła, 25 pułkowi. Wysłane oddziały nasze do kontrataku, wyparły nieprzyjaciela zpowrotem za rzekę,

pozostawiając sytuację bez zmian. Pomimo częstych ataków ze strony nieprzyjaciela, 25 pułk trzymał się dobrze na powierzonej mu pozycji, dopiero po zajęciu przez jazdę Budiennego Beresteczka, pułk otrzymał rozkaz wycofania się, na linię rzeki Stochód.

26 lipca o zmroku, bataljon kapitana Bogaczewicza zniszczył most na rzece Styrze w Rafałówce i połączywszy się z pułkiem, wycofał się przez: Kołodje-Kościuchnowkę Optową, do Maniewicz, gdzie stanął na jednodniowy postój, przed dalszym marszem odwrotowym, na linię rzeki Stochodu. Podczas kilkogodzinnego postoju w Maniewiczach, wolni od służby żołnierze zwiedzali miejscowy cmentarz legjonowy, z czasów wojny światowej. Oficerowie i podoficerowie, dawni legioniści, uczestnicy pamiętnych walk pod Górą Polaków, oprowadzali swoich żołnierzy, po tem drogiem Polskiem Żołnierzowi cmentarzysku i przystając przy poszczególnych mogiłach, opowiadali żołnierzom, kto w danej mogile spoczywa i przy jakich okolicznościach zakończył swój bohaterski żywot. Zasluchani w opowiadanie swych dowódców, żołnierze klękali przy opuszczonych mogiłach i odmawiając ciche modlitwy, trwali w zadumie i myślą tęskną biegli do tych drogich, niezapomnianych, pierwszych Polskich Rycerzy, którzy na tym cmentarzu, na sen wieczny, po składali swe młodociane i bohaterskie głowy. Długoby napewno jeszcze żołnierze przebywali na tem drogiem każdemu Polakowi cmentarzysku, lecz strzały karabinowe na placówkach alarmowały o zbliżaniu się nieprzyjaciela i trzeba było porzucić przykre rozmyślenia i śpieszyć na zagrożone odcinki, tam, gdzie każdego wzywał żołnierski jego obowiązek. Dwa razy w tym dniu jazda bolszewicka atakowała Maniewiczze, lecz bezskutecznie. Za każdym razem cofnęła się ze stratami, nie mogąc wyprzeć bataljonu z powierzonej mu pozycji. Dopiero pod wieczór pułk wycofał się z Maniewicz i przeszedł na nowe pozycje, za rzekę Stochód, obsadzając odcinek nad rzeką na linii: Smolary-Stobychwa-Obzyr Wielki.

Bataljon kapitana Bogaczewicza obsadził Obzyr Wielki, zajmując dobrze odrutowane i umocnione, dawne okopy niemieckie z czasów wojny światowej. Silnie odrutowana pozycja, z betonowemi schronami, za szeroką, bagnistą rzeką, dawała całkowite bezpieczeństwo, i można byłoby tutaj bronić się z powodzeniem, przeciw dziesięć razy liczniejszemu nieprzyjacielowi, to też wszyscy czuli się dobrze i cieszyli, że stąd, ani jeden krok dalej, na zachód, nie cofnie się wojsko polskie. Tutaj dopiero żołnierze czuli się, prawdziwie, jak na wojnie. Artyle-

ra od świtu do nocy ostrzeliwała okopy obustronnie. Pozostałe z czasów wojny światowej pojedyncze mogiły i olbrzymie cmentarzyska, na każdym kroku wskazywały zagładę, jaką wojna przynosi żołnierzowi po długich dniach jego pobytu na froncie. Zrównane z ziemią wsie i pozostałe po nich zgłiszcza i stopy gruzów, dawały znać o wielkim zniszczeniu kraju, jakie wojna światowa uczyniła na ziemiach polskich.

Bolszewicy za wszelką cenę pragnęli przeprawić się na zachodni brzeg Stochodu, to też często atakowali pozycję wzdłuż odcinka 25 pułku, prowadząc najwięcej uporczywe ataki na przeprawę w Obzyrze Wielkim, lecz nigdzie nie mogli złamać oporu żołnierzy i sforsować rzeki. To też po bezskutecznych atakach w rejonie Wielkiego Obzyna, Smolar i Stobychwy, przesunęli się dalej, poza lewe skrzydło pułku, i sforsowali rzekę Stochód.

29 lipca bolszewicy przeprawili się na zachodni brzeg Stochodu, w rejonie wsi Hołuby, odrzucając oddziały generała Bałachowicza w kierunku na Jajno, Kamieniec Koszyrski, zagrażając mocno lewemu skrzydłu, bataljonu kapitana Bogaczewicza, do którego mieli dobre podejście, wykorzystując duży las za lewym skrzydłem bataljonu i stare, niemieckie okopy, ciągnące się wzdłuż rzeki.

Od samego rana tego dnia, podporucznik Bradtke, przebywający na lewym skrzydle bataljonu z plutonem 11 kompanii, odpierał ataki nieprzyjacielskie, których tyraljery, przeważającymi siłami, jak szarańcza wychodziły z pobliskiego lasu i bezustannie atakowały skrzydło bataljonu, zagrażając poważnie, rozciągniętemu na przeszło 5 kilometrów długości frontu, bataljonowi.

O godzinie 16-tej bolszewicy silniej natarli, na pluton podporucznika Bradtkego. Bój trwał bez przerwy, do godziny 18-tej, w którym to czasie, na skutek alarmujących meldunków podporucznika Bradtkego i wciąż wzrastającej strzelaniny artyleryjskiej i karabinów maszynowych, kapitan Bogaczewicz zdecydował się wysłać na pomoc swój odwód. Na pomoc zagrożonemu skrzydłu bataljonu, pośpieszył z dwoma plutonami odwodowymi 11 kompanii, podporucznik Konas Henryk, który przybył w samą porę, gdyż bolszewicy zbliżywszy się do okopów podporucznika Bradtkego, na odległość 100 metrów, szykowali się do wykonania szturm. Przeciwuderzeniem kompanii obwodowej oddziały bolszewickie zostały odrzucone, lecz w niedługim czasie, podciągawszy odwody swoje, bolszewicy przeszli do powtórnego natarcia jeszcze większymi siłami, skierowując bardzo silny ogień artylerji na pozycje bataljonu w Obzyrze Wielkim. W tem piekle ognia, żołnierze bronili się wytrwale, przechodząc do przeciw-

uderzenia na bagnety, którem odrzucili powtórnie nacierającego nieprzyjaciela, gdy o godzinie 19-tej, nadszedł rozkaz z dowództwa pułku, nakazujący oderwanie się od nieprzyjaciela i wycofanie bataljonu do Stobychwy, skąd miał rozpocząć się dalszy odwrót na linię rzeki Bugu, naskutek zdobycia przez bolszewików Brześcia nad Bugiem i dalszej ich akcji na Kodeń i Włodawę, która to akcja groziła pułkowi odcięciem drogi odwrotu. Cofając się z bojem, trzeba było pozostawić 6-ciu zabitych żołnierzy na pobojuwisku nie pogrzebanych, gdyż trzeba było w pierwszej mierze ratować 16 rannych, by podczas odwrotu nie dostali się do niewoli.

Miedzy zabitymi, pozostał niepogrzebany poległy w tym boju, kapral Szubiński Władysław, najdzielniejszy z moich podoficerów, który za ten bój został odznaczony po śmierci, Orderem Virtuti Militari V klasy. Nie mogę nie wspomnieć o bohaterskiej śmierci Tego Podoficera, słów parę. Otóż kapral Szubiński Władysław, syn biednej wdowy po kolejarzu z Radomia, brał udział pod mojem dowództwem w rozbrajaniu 93 pułku austriackiego w Radomiu w dniu 1 listopada 1918 roku, i od tego czasu służył w mej kompanii aż do końca swego życia. Po powrocie z frontu czeskiego, gdzie przebywał do końca tej wojny w kompanii porucznika Górnickiego Jana, kapral Szubiński wyjechał z bataljonem kapitana Bogaczewicza w dniu 15-go marca 1919 roku, pod Lwów na ofensywę. Podoficer ten, będąc bardzo obowiązkowym, miał przytem taką odwagę i pogardę śmierci, że w bojach służył przykładem swym kolegom i podwładnym. W bojach, poprostu kule nie miały się tego podoficera. Nie było dla kaprała Szubińskiego nigdy zadania trudnego lub niebezpiecznego, którego by nie mógł, czy też nie chciał wykonać. Wśród ciągłych walk i niebezpieczeństw, dotarł szczęśliwie z kompanją do pozycji nad Słuczą w Prywałówce, skąd chory na tyfus wyjechał w dniu 15 marca 1919 roku, czyli po całorocznych zmaganiach frontowych do szpitala. Po wyleczeniu kapral Szubiński został odesłany do bataljonu zapasowego 25 pułku, do Miechowa, gdzie szybko doszedł do normalnego stanu zdrowia, by wyjechać na front, lecz dowódca bataljonu zapasowego nie przychylił się do jego prośby, chcąc użyć go do szkolenia żołnierzy, jako doświadczonego podoficera. Przebywając w kadrze, kapral Szubiński był jednak myślą w polu. Otrzymując listy od kolegów z frontu, którzy pisali mu o swoim triumfalnym pochodzie w ofensywie kijowskiej, kapral Szubiński cieszył się bardzo zwycięstwem swych towarzyszy broni i całego swego pułku, tęskniąc za życiem bojowem na froncie, lecz

rozkaz dla żołnierza jest ponad wszystko, to też kapral Szubiński przebywał nadal w kadrze i całą jego uludą były otrzymywane listy z frontu, w które wczytywał się całymi godzinami. Odprowadzając marszówki na dworzec kolejowy, odjeżdżające do pułku na uzupełnienie, kapral Szubiński pouczał je jeszcze na dworcu przed samem odejściem pociągu, dając im rady, jak w boju należy postępować, by odnieść zwycięstwo, i po odjeździe pociągu długo stał na dworcu i patrzył w stronę dalekiego frontu, dokąd odjechali przed chwilą jego żołnierze, zazdroszcząc im szczerze. Gdy wkońcu dowiedział się o ciężkich walkach pułku pod Białą Cerkwią, na Dalekich Polach Ukrainy i o odwrocie wojsk polskich z pod Kijowa, kapral Szubiński nie mógł przeboleć tego. Ten dzielny i obowiązkowy podoficer nie mógł zrozumieć, jak on może przebywać w kadrze, w tak ciężkiej dla pułku i całej Armji chwili. W tej ciężkiej dla kraju chwili, kapral Szubiński czuł się tak nieszczęśliwym, że nie śmiał często swym dowódcom i podwładnym spojrzeć w oczy, mając wrażenie, że każdy, kto na niego spojrzy, zarzuci mu tchórzostwo, że w takiej ciężkiej dla kraju chwili siedzi w kadrze, miast walczyć na froncie. Po nieprzespanej w smutku nocy, kapral Szubiński udał się do raportu do dowódcy bataljonu i ostatecznie prosił o odesłanie na front, przytem podczas raportu, wybuchnął takim żalem, że mu nie pozwalają iść na front, że ówczesny dowódca bataljonu zapasowego kapitan Matuszczak, który był sam bardzo dzielnym oficerem, polecił go odesłać niezwłocznie na front.

Przybył na front do pułku w dniu 1 sierpnia i został niezwłocznie odesłany do mej kompanji. Zameldował się u mnie przed wieczorem, mając radość w sercu, że mu los pozwolił nadal walczyć na froncie. Ucieszyłem się niezmiernie powrotem na front jednego z najdzielniejszych swoich podoficerów, tembardziej, że w boju tego dnia straciłem trzech podoficerów, których brak dawał mi się odczuwać, lecz nie mając czasu na dłuższe rozmowy, po krótkim, szczerem powitaniu, odesłałem niezwłocznie kaprała Szubińskiego na najniebezpieczniejszy punkt odcinka bataljonu, gdzie w ciągu całego dnia nieprzyjacieli najwięcej nacierał i gdzie spodziewałem się, że i w nocy będzie próbował szczęścia, by przedostać się na zachodni brzeg Stochodu. Kapral Szubiński odmaszerował niezwłocznie na wyznaczony posterunek na przeprawie przez rzekę Stochód, w rejonie Obzyra Wielkiego, zdając sobie sprawę, że musi dobrze obejrzyć teren podczas dnia, którego ma bronić w nocy, to też nie powstrzymali go ani na chwilę koledzy, którzy zadowoleni z jego powrotu, pragnęli go powitać, oczekując przed moim schronem

na niego. Po odejściu kaprała Szubińskiego uczułem, że spadł mi ciężar z serca, wiedząc, że na najważniejszym posterunku czuwać będzie podoficer, na którego mogę liczyć. Noc zapadła ciepła i spokojna, przerywana częstym trzaskiem karabinu maszynowego i hukami granatów ręcznych od strony przeprawy w Obzyrze Wielkim, które zwiastowały, że kapral Szubiński czuwał należycie.

Po zbadaniu przez bolszewików, że tak podczas dnia, jak i nocy bataljon kapitana Bogaczewicza broni się z uporem, przenieśli oni swój wysiłek dalej na prawe swoje skrzydło i przerwali się na odcinku oddziałów generała Bałachowicza, i w chwili, gdy najwięcej zagrażali lewemu skrzydłu bataljonu kapitana Bogaczewicza i plutonowi podporucznika Bradtkego zaczęło grozić niebezpieczeństwo, pobiegłem na przeprawę i wydałem rozkaz kapralowi Szubińskiemu, aby natychmiast udał się na pomoc ze swym karabinem maszynowym na lewe skrzydło bataljonu, do plutonu podporucznika Bradtkego. Po otrzymaniu rozkazu, kapral Szubiński oceniając ciężką sytuację, pragnął znaleźć się tam jak najprędzej i wyruszył niezwłocznie ze swym karabinem maszynowym, a szedł tak pewnie, zdecydowanie z poświęceniem, jak chodzą bohaterowie na zwycięstwo, nie przeczuwając, że to już zbliża się ostatni bohaterski czyn jego życia i że śmierć nieubłagana, ta nieodstępna towarzyszka żołnierza na wojnie, kroczy w ślad za nim, wyciągając swoją kościstą łapę po jego młodociane i bohaterskie życie.

Kapral Szubiński przybył na pomoc i wywiązał się z powierzonego zadania bardzo chlubnie. Nie mając czasu na ustawianie w bezpiecznym miejscu swego karabinu maszynowego, ustawił go na odkrytym miejscu i tak gwałtownym ogniem zasypał nieprzyjaciela, że z chwilą zjawienia się do przeciwuderzenia podporucznika Konasa z dwoma plutonami 11 kompanji, bolszewicy nie wytrzymali i porzucając ciężki karabin maszynowy, uciekli w popłochu, padając masowo pod ogniem pościgowym karabinu maszynowego kaprała Szubińskiego i innych. Nacierające tyraljery nieprzyjacielskie uciekły w popłochu, pozostawiając pole zasłane trupami i rannymi, którzy ostatkami sił, jęcząc i błagając o litość, czołgali się w bezpieczne ukrycia terenowe, przed morderczym ogniem karabinów maszynowych, które szerzyły w tej chwili na placu boju śmierć i cierpienia. Nie były czuły na jęki i krzyki z przedpola kapral Szubiński i wypatrując wycofujących się w popłochu pojedynczych żołnierzy bolszewickich, prażył do nich bez litości, powiększając liczbę zabitych.

i rannych, jakby pragnął zniszczyć całą tę zgraję, która jak gadzina podła, godzi w byt i Niepodległość Jego Krwią Zbroczonej Ojczyzny.

Podszedłem do niego. Zagrzany walką, wskazywał mi ważniejsze punkty swego odcinka, skąd mu bolszewicy najwięcej na cel wyłazili i ocierając pot kroplisty z czoła rękawem, uskarżał się, że ma dwóch zaczarowanych bolszewików, do których już trzeci raz strzelał i za każdym razem chowają mu się i nie może ich dosięgnąć. Widząc, że kapral Szubiński jest mocno zmęczony i podniecony, zapragnąłem go wyręczyć i siadając przy jego karabinie, poleciłem mu, by sobie odpoczął, a ja za niego zwalczę tych zaczarowanych bolszewików. Nie zdążył mi jeszcze kapral Szubiński wskazać dobrze okopu, z którego do niego strzelali owi zaczarowani bolszewicy, gdy ujrzałem wyłaniające się z okopu, nie dalej jak na sto kroków, dwie olbrzymie czapy baranowe i dwie potworne, ziejące nienawiścią gęby, skierowały swe karabiny wprost w moją głowę. Nie czekając ani chwili czasu, gdyż wiedziałem, że kto pierwszy strzeli, ten ujdzie z życiem, skierowałem karabin maszynowy na wspomnianych bolszewickich żołnierzy, którzy w tej chwili zagrażali memu życiu i pociągnąłem za język spustowy karabinu maszynowego, a ten jak wierny przyjaciel w tej chwili, zionął morderczą wiązką ognia, wprost w znienawidzone gęby nieprzyjaciela, z których kawały poszarpanych czap baranich wraz z mózgiem wyleciały w powietrze. Obaj żołnierze nieprzyjacielscy polegli, mając głowy doszczętnie potrzaskane ogniem karabinu maszynowego. Potrzymałem chwilę wspomniany okop pod ogniem karabinu maszynowego i widząc, że z niego już nikt nie wygląda, przywołałem do siebie stojącego w pobliskim okopie kaprała Szubińskiego i oddając mu do rąk karabin maszynowy, powiedziałem: „Teraz strzelaj dalej ile wlezie, bo już nie masz swoich zaczarowanych bolszewików”. Po nieudanym boju bolszewicy wzmocnili ogień artylerji na pozycje pod Obzyrem Wielkim i przeszli powtórnie jeszcze większymi siłami do natarcia, lecz natarcie ich zostało powstrzymane silnym ogniem i zdecydowaną postawą żołnierzy. Kapral Szubiński nadal strzelał ze swego karabinu maszynowego, zadając nowe straty nieprzyjacielowi i na krótko przed nadejściem rozkazu do odwrotu zginął śmiercią bohaterską, od wybuchu szrapnela nieprzyjacielskiego, który pękł tuż przed samym karabinem maszynowym, kładąc kaprała Szubińskiego trupem na miejscu. Leżał po śmierci cichy, uśmiechnięty, jak ten, co do końca spełnił swój zaszczytny obowiązek względem Ojczyzny. Pożegnali go uczuciem szczerem oficerowie i żołnierze, krótko,

bo nie było czasu łez ronić nad jego młodocianym zgonem, gdyż wróg wzmocniony odwodami nadchodził i trzeba było śpieszyć do boju. Zawrzała znów walka zacięta i krwawa. Padali zabici i ranni, gdy nadszedł z pułku rozkaz do oderwania się od nieprzyjaciela i wycofania na linię rzeki Bugu, gdyż naskutek zdobycia przez nieprzyjaciela Brześcia nad Bugiem i dalszej jego akcji na Kodeń i Włodawę, oddziałom 7 dywizji groziło odcięcie przez nieprzyjaciela na tej pozycji.

Cofając się z bojem, kapral Szubiński wraz z pięcioma innymi poległymi żołnierzami został pozostawiony na pobojuwisku, gdyż trzeba było walczyć i ratować 16 rannych żołnierzy, by podczas odwrotu nie dostali się do niewoli.

ROZDZIAŁ XX.

Walki nad Bugiem.

Po oderwaniu się od nieprzyjaciela, cały 25 pułk zebrał się w Stobychwie i o zmroku rozpoczął nakazany odwrót, przez Karasin — Karpilówkę — Niesuchojerze — Oblapy — Myżowo Rudniki — Hołowno — Zgórany — Hupały — Zgorodziecko, do Woli Uhruskiej, gdzie przeszedł za Bug i obsadził pozycję od Bytnia do Wólki Hruskiej. Po przejściu Bugu, patriotyczny i uświadomiony żołnierz polski zdawał sobie należycie sprawę, że dalej już absolutnie cofać się nie może, to też ofiarność i chęć do boju powstała w tym czasie wielka. Żołnierz 25 pułku w tym czasie, nad Bugiem pragnął zwyciężyć, lub zginąć. Pomimo stalowej wprost siły woli i bezgranicznej dotychczas wiary w zwycięstwo, jakaś zmora niepewności poczęła mnie trapić. Wstyd i hańba na myśl o przegraniu wojny i utracie Niepodległości, paliły mi policzki wstydem i napełniały me serce trwogą i żalem. W ponurej zadumie wpatrywałem się kilkakrotnie w pismo tajne Szefa Sztabu 3 Armii, pułkownika Bortnowskiego, z dnia 28 lipca 1920 roku, nakazujące natężenie wszystkich sił do utrzymania obecnej linii obronnej, by nieprzyjaciel nie posunął się ani kroku dalej, w głąb Naszego Kraju, gdyż 30 lipca 1920 roku, o godzinie 3 nasi parlamentariusze mieli udać się po szosie Brześć — Baranowicze na linie placówek nieprzyjacielskich, w sprawie zawarcia rozejmu. Nadomiar złego, miast wyjścia zapowiedzianej kontrofensywy polskiej z nad Bugu, z okolic Brześcia Litewskiego, o której słuchy nas dochodziły, że się ma rozpocząć zaraz po rozbiciu armji konnej Budiennego, dywizja generała Sikorskiego opuściła Brześć nad Bugiem i oddziały polskie wycofały się za Bug.

Pomimo odpoczynku, po uciążliwym marszu odwrotowym oficerowie na pozycjach nad Bugiem mieli miny niewesołe. Kapitan Bogaczewicz, pomimo otrzymania awansu na majora chodził struty i zamknięty w sobie. Może rozmyślał nad niepowodzeniem armji, lub też może żałował najlepszego swego oficera, porucznika Studzińskiego Franciszka, którego dowódca

pułku zabrał mu z bataljonu, na stanowisko dowódcy I bataljonu po wyjeździe majora Wir-Konasa, do szpitala.

6 sierpnia, czyli w dwa dni po przybyciu bataljonu za Bug, około południa zawrzała silna walka w lasach, na wschodnim brzegu Bugu. Major Bogaczewicz wysłał niezwłocznie dwie kompanie za Bug, na pomoc, ewentualnie w celu rozpoznania przyczyny boju. Po wyjściu za Bug, kompanie spotkały oddziały generała Bałachowicza, które podczas wycofywania się za Bug, zostały okrążone przez bolszewików i pragnąc wydostać się z niewoli, walczyły zawzięcie. Po przerwaniu pozycji bolszewickiej, generał Bałachowicz przeszedł na zachodni brzeg rzeki Bugu, gdzie zmęczeni i zgłodniałi jego żołnierze doznali zasłużonego wypoczynku i zostali nakarmieni z kuchni polowych bataljonu.

8 sierpnia oddziały bolszewickie sforsowały Bug w rejonie Zaburza i wypierając oddziały 26 pułku, zajęły Majdan Stobiecki, w rejonie Opalina, pod Hniszowem. W związku z kontrakcją 26 pułku piechoty, dowódca 25 pułku, major Jaklicz zarządził wypad bataljonu majora Bogaczewicza za Bug, na Opalin-Huszczę, by zaszachować tyły nieprzyjacielskie, w celu ułatwienia 26 pułkowi odzyskania utraconego terenu. O godzinie 10-tej bataljon w sile: 10 oficerów, 520 bagnietów i 8 karabinów maszynowych, wraz z grupą generała Bałachowicza wykonał wypad w Woli Uhruskiej, za Bug i po spędzeniu placówki nieprzyjacielskiej ze skrzyżowania dróg leśnych: Mielniki-Gorochowiska, z drogą: Wola Uhruska-Opalin, zdobył Opalin, wypierając w kierunku na Huszczę 517 i 518 pułk piechoty bolszewickiej, oraz sotnię kozaków, które uciekając w popłochu, pozostawiły kancelarje pułkowe, aptekę polową, 11 koni, 3 wozy z amunicją i 3 aparaty telefoniczne. Po zdobyciu Opalina, bataljon prowadził dalsze natarcie w kierunku na Huszczę, wychodząc całkowicie na tyły oddziałów bolszewickich, znajdujących się za Bugiem. Oddziały bolszewickie, obsadzające pozycje za Bugiem, po jego zachodniej stronie, widząc natarcie 26 pułku i oddziały 25 pułku na swoich tyłach, rzuciły się do panicznej ucieczki za Bug, grupując się koło przeprawy na Bugu, gdzie ponieśli duże straty od ognia obu pułków, jak również od ognia artylerji i lotnika polskiego, który zniżwszy się nad ziemię, przelatował kilkakrotnie tuż ponad głowami uciekających żołnierzy bolszewickich. Obawiając się pościgu 26 pułku, nie mogąc pomieścić się na moście, bolszewicy powskakiwali do rzeki, ponosząc śmierć w nurtach Bugu. Po wyparciu nieprzyjaciela za Bug i obsadzeniu pozycji przez 26 pułk, bataljon majora Bogaczewicza wycofał się za Bug i zajął dawne

swę pozycje. W tym boju, od ognia artylerji nieprzyjacielskiej i karabinów maszynowych, zostało zabitych paru żołnierzy, oraz został ranny dowódca 11 kompanji podporucznik Konas Henryk i plutonowi: Zarębski i Kwaśniewski, oraz 10 innych żołnierzy. Ostatniemi czasy bataljon majora Bogaczewicza zmienił się znacznie. Po odejściu porucznika Studzińskiego do I bataljonu i po wyjeździe porucznika Budzonia i podporucznika Konasa do szpitala, obsada kompanji była następująca:

9 kompanję po poruczniku Studzińskim, objął podporucznik Teliga Stefan.

11 kompanję po podporuczniku Konasie, objął podporucznik Koppel Henryk.

12 kompanję po poruczniku Budzoniu, objął podporucznik Bleszyński Dionizy.

Po powziętej decyzji przez Naczelnego Wodza, dotyczącej rozgromienia armij bolszewickich pod Warszawą, nastąpiły przegrupowania. 1 dywizja Legjonów, w dniu 8 sierpnia, rozbiła 24-tą dywizję bolszewicką pod Horochowem, zdobywając 8 dział i szybkim marszem udała się do Sokala, skąd transportem kolejowym odjechała na linję rzeki Wieprza. 3 dywizja Legjonów, po odrzuceniu oddziałów bolszewickich za Bug, w rejonie Hrubieszowa, odmaszerowała pod Włodawę. Po wycofaniu z 3 Armji 1 i 3-ciej dywizji Legjonów i 18-tej dywizji generała Krajewskiego, pozostało w 3-ciej Armji bardzo mało oddziałów, do obrony Bugu, na olbrzymim 90-kilometrowym odcinku, od Włodawy do Sokala.

Głównem zadaniem 7 dywizji była w tym czasie obrona kierunku Chełm-Lublin, by osłonić ugrupowanie nad Wieprzem, Armji Uderzeniowej, która miała pod rozkazami Wodza Naczelnego uderzyć na lewe skrzydło armji bolszewickiej, pod Warszawą. To nadzwyczaj ważne zadanie, było dla 7 dywizji piechoty bardzo trudne do wykonania, gdyż stojąca za Bugiem 12 armja bolszewicka, z grupą jazdy Golikowa w ciągu ostatnich dwóch dni, prowadziła uporczywe walki wzdłuż linji Bugu, atakując najwięcej Świerże i Hnieszów, pragnąc zdobyć Chełm, jako podstawę operacyjną do akcji na Lublin.

Dowódca 7 dywizji piechoty mianowany generałem w tym czasie, Szubert, ze swoim szefem sztabu, majorem Borowcem, spędzali w Chełmie dnie i noce przy pracy, wydawali częste rozkazy operacyjne, do likwidowania natychmiastowego powo-

dzeń nieprzyjacielskich, pragnąc za wszelką cenę utrzymać, powierzoną linję Bugu. Generał Szubert, pragnąc natchnąć swoich podwładnych siłą woli i postanowieniem bezwzględного utrzymania linji Bugu, odsłonił przed nimi tajemnicę Wodza Naczelnego, podając w rozkazie operacyjnym, że 7 dywizja piechoty musi za wszelką cenę utrzymać linję Bugu, gdyż osłanianie ugrupowanie Armji Uderzeniowej nad Wieprzem, czem omal nie spowodował ujawnienia planu Wodza Naczelnego, nieprzyjacielowi, gdyż bolszewicy w dniu 14 sierpnia 1920 roku, o godzinie 11-tej, przypuścili silny atak, na bataljon ochotniczy Imienia Batorego, pod Dubienką, rozbijając go. Dowódca tego bataljonu, major Drojowski, poległ, a adjutant ciężko ranny dostał się do niewoli, tak, że bolszewicy odebrali od wymienionych wszystkie rozkazy 7 dywizji, od dnia 5 sierpnia, między którymi był również rozkaz, mówiący o przygotowaniach Armji Uderzeniowej. Całe szczęście, że bolszewicy nie uwierzyli w możliwość tego planu, gdyż wspominał on, że 1-sza i 3-ca dywizje Legionowe odeszły do Grupy Uderzeniowej, wówczas, gdy sztab bolszewicki miał świeże wiadomości, że te dywizje walczą zwycięsko na południu, pod Horochowem i Hrubieszowem.

Pomimo że dowódcy bolszewicki, będąc zanadto pewni zwycięstwa, zbagatelizowali przełapany rozkaz operacyjny, wspominający o grupowaniu się Armji Uderzeniowej nad Wieprzem i słabej obronie Bugu, to jednak 12 armja bolszewicka rozpoczęła intensywniejszą swą działalność, przechodząc za Bug, czem zagrażała mocno Chełmowi i całej 7 dywizji, na skutek czego dywizja otrzymała rozkaz wycofania się, na linję rzeki Wieprza, przez Sawin-Cyców, do Łecznej, gdzie pułk miał obsadzić przyczółek mostowy. Po południu przyszły rozkazy, nakazujące przygotowanie się do dalszego odwrotu, o zmroku. Nietylko oficerowie, lecz i żołnierze, mieli w tym czasie miny grobowe. Jakiś smutek ciężki przygniatał i krwawił serca, tych nieustraszonych dotychczas żołnierzy, na wspomnienie o możliwości przegrania wojny, bo kiedy nareszcie skończy się cofanie i Armja przejdzie do ofensywy.

O godzinie 21-szej rozpoczął się dalszy odwrót z Uhruska, do Sawina. Ciężki to był odwrót. Oficerowie i żołnierze szli smutni, nie mówiąc nic do siebie, i rozmyślali ponuro, pragnąc decydującej chwili walnej z wrogiem rozprawy, w którejby mogli zwyciężyć, lub zginąć, by skryć się do grobu, przed hańbą i wstydem, gdy nie odniosą zwycięstwa.

Przejeżdżając obok dworu w Uhrusku, wjechałem na podwórko, by zabrać z sobą administratora tego majątku, Gustawa

Niemirycza, brata męża właścicielki tego majątku, który od śmierci właściciela, p. Niemirycza, stale przebywał w majątku, lecz ten pocziwy i niedoświadczony człowiek, ze spokojem odmówił wyjazdu z majątku, tłumacząc mi, że to nie jest jego majątek, a tylko jego bratowej, pani Niemirycztovej, że mając czyste sumienie, niczego się nie obawia i absolutnie z majątku nie wyjedzie. Nie mając czasu do nadmiernego namawiania człowieka do wyjazdu, który dobrowolnie kładł głowę, pod kulę mściwego i krwawego kata bolszewickiego, odjechałem za bataljonem, radząc nie orjentującemu się p. Niemiryczowi, by wyjeżdżał niezwłocznie, zanim do Uhuska wejdą bolszewicy, bo będzie zapóźno decydować się, po ich przybyciu lecz p. Niemirycz trwał w swem postanowieniu i wyjechać z majątku nie chciał.

Po przybyciu do Sawina i ubezpieczeniu miasteczka, żołnierze udali się na kwatery, lecz nikt nie spał tej nocy. Żołnierze rozmawiali między sobą do rana o ciężkiej sytuacji Kraju, ze względu na opuszczenie linii Bugu. Nazajutrz zrana, po zjedzeniu śniadania, bataljon wraz z pułkiem, gotów do odmarszu, oczekiwał dalszych rozkazów.

9 sierpień—dzień otuchy, po przykrej i dręczącej niepewności. Pułk wyruszył z Sawina i kontynuował dalszy nakazany odwrót, w kierunku na Cyców, gdy w marszu dopędził bataljon goniec na spienionym koniu i wręczył dowódcy pułku jakieś rozkazy. Były to rozkazy dowódcy 7 dywizji, nakazujące zatrzymać marsz odwrotowy i niezwłoczne zajęcie zpowrotem Chełma. Wiadomość tę przyjęli oficerowie i żołnierze z wielką radością. Rozpoczął się forsowny marsz na Chełm. Nie pamiętam w czasie swego pobytu na froncie, by kiedykolwiek szli moi żołnierze z takim pośpiechem i poświęceniem, jak w tym dniu, by ratować udręczoną ludność polską Chełma, przed katuszami wroga. Kilkunastokilometrową przestrzeń bataljon przebył w ciągu niecałych trzech godzin i już patrole i straż przednia weszły do miasta, zajmując go przed przybyciem oddziałów bolszewickich, które znajdowały się bardzo blisko pod miastem, gdyż patrole bojowe, które wyszły za miasto, wkrótce zaczęły prowadzić walkę ogniową z nieprzyjacielem.

Miasto Chełm było w tym dniu o świcie opuszczone przez oddziały polskie, a olbrzymie rzesze uchodźców Polaków ze wschodu i samego miasta, w niemej rozpaczach błękały się po mieście, szukając ratunku, by uciec przed zemstą i krwawymi ekscesami watach wschodu. Na dworcu również olbrzymie tłumy uciekinierów z małymi dziećmi i resztkami skromnego

dobytku oczekiwały na pociągi, które w tym dniu już z Chełma nie odchodziły. Radość tych opuszczonych i przygnębionych rodaków, na widok powracających wojsk polskich była wielka. Zasłuchani w trzask oddalonych za miastem strzałów karabinowych, zwiastujących im bliskość wroga, patrzyli z wdzięcznością na maszerujących żołnierzy, którzy w tym ciężkim dla nich czasie, przynieśli im wyzwolenie.

Po zajęciu i obsadzeniu miasta, pułk odpoczywał w Chełmie, przygotowując się do akcji zaczepnej, którą przygotowywał dowódca 7 dywizji w tajemnicy.

11 sierpnia wyruszyła cała XIII brygada piechoty z Chełma, przez Sawin-Kolonję Piaski, z zadaniem przejścia do rejonu Dębowiec - Zagrodce - Wereszczyn, w celu zamknięcia przejść między Jeziorem Wielkim a Krowiem Bagnem, i powstrzymania 57 dywizji sowieckiej, która w tym czasie otrzymała rozkaz natarcia z Włodawy, na Lublin i przecięcia toru kolejowego Chełm-Lublin, oraz współdziałania z 25 dywizją sowiecką w akcji na Chełm. Akcję tę prowadził pułkownik Herman, za mało zdecydowany dowódca, do akcji uderzeniowych i szybkich. Około południa maszerujący w straży przedniej brygady, II batalion 25 pułku, pod dowództwem kapitana Żołędziowskiego Ryszarda, natknął się pod Sawinem na zorganizowane obronnie oddziały bolszewickie, które odrzucił po krótkiej, lecz gwałtownej walce, w kierunku na Łwoczę, i zdobył miasteczko. Uderzenie batalionu kapitana Żołędziowskiego było tak gwałtowne i zdecydowane, że komisarze bolszewiczcy, uciekając z miasta w nadmiernym pośpiechu i popłochu, pozostawili żony na kwaterach, które biegnąc z krzykiem i wrzaskiem z małymi dziećmi na rękach, były wyłapywane przez żołnierzy.

Widok ściganych żon komisarzy bolszewickich, wyłapywanych przez żołnierzy, czynił przygnębiające wrażenie. Stały one potulne i zrozpaczone, oczekując swego przeznaczenia. Może nieszczęśliwe w tej chwili żony komisarzy, były sprowadzone do strefy przyfrontowej, na poniewierkę, życia tułaczego i niewygody, a nawet niebezpieczeństwo, przez bezmyślnych mężów, a może zwyrodniałe baby przyjechały na front ochotniczo, by napawać się krwawymi czynami swych mężów, lub znęcaniem się ich, nad bezbronną i rabowaną, oraz mordowaną ludnością polską i jeńcami.

Po wyparciu z Sawina 173 brygady sowieckiej, pułkownik Herman nie zarządził pościgu, za uciekającymi w popłochu pułkami bolszewickimi, lecz zarządził dłuższy odpoczynek, nie bardzo zmęczonym pułkom, i dopiero po dłuższej przerwie

zarządził dalszy marsz w kierunku na Łowczę - Piaski, dokąd pułki przybyły bez kontaktu bojowego z nieprzyjacielem i stanęły na nocleg ubezpieczony. Silne oddziały jazdy nieprzyjacielskiej krążyły w pobliżu, lecz do bitwy z nimi w tym dniu nie doszło. Jedynie obustronna działalność patroli trwała bez przerwy do nocy. Od przyłapanych w tym dniu jeńców, mieliśmy szczegółowe wiadomości, że większe oddziały nieprzyjacielskie znajdowały się tym czasie w rejonie: Radzanów-Bukowo Wielkie-Piaski i Łukówek. Wobec tych wiadomości oddziały grupy wypadowej do późnej nocy czuwały z bronią w ręku, poczem ubezpieczysz się należycie na wszystkie strony, udały się na chwilowy odpoczynek, śpiąc w mundurach, z karabinami przy sobie, by w każdej chwili mogły wystąpić do boju. Major Bogaczewicz dla większego bezpieczeństwa, nie wchodził na nocleg do wsi, lecz zatrzymał swój bataljon w czystym polu i żołnierze spali tej nocy, z karabinami w ręku, pod osłoną ustawionych na wszystkie strony karabinów maszynowych, przy których dyżurowały pełne obsługi, gotowe w każdej chwili do walki. Z pierwszym brzaskiem dnia, bataljon został zaalarmowany i z bronią w ręku oczekiwał dalszych rozkazów. Po nocy, poranek wzeszedł pochmurny i ponury. Ciężkie, ciemnożółte chmury przesunęły się leniwo ponad ziemią. Czuć było, że jest to ponura cisza przed burzą i że do większej rozprawy z nieprzyjacielem dojść wkrótce musi.

12 sierpnia, XIII brygada, o godzinie 6-tej zrana, rozpoczęła swój dalszy marsz, do wyznaczonych przejść, pomiędzy bagnami. Po przejściu Łowczy, od strony dużego lasu, patrole nieprzyjacielskie rozpoczęły ostrzeliwać z karabinów maszynowych, maszerującą kolumnę, z boku. Chcąc odpędzić natrętne patrole, rzuciłem się w ich stronę, z dziesięcioma swoimi żołnierzami, lecz nim zdążyłem przebiec sto kroków czyhający na nas karabin maszynowy nieprzyjacielski, ostrzelał nas tak gęstym i celnym ogniem, że cały patrol padł na ziemię i nie mógł przez dłuższy czas ruszyć się z miejsca. Karabin maszynowy nieprzyjacielski nie przerywał ognia i długimi serjami strzelał do mego patrolu w dalszym ciągu. Widząc rannych obok siebie dwóch żołnierzy, oraz czując ślizgające mi się po plecach kule karabinu maszynowego, leżałem wciśnięty przez dłuższą chwilę w jakąś bruzdę, która pod tym morderczym i silnym ogniem uratowała mi życie. W tak silnym i celnym ogniu karabinów maszynowych, nie byłem jeszcze nigdy, pomimo że człowiek przebywał długie miesiące na wojnie. Leżąc w zbawiennej bruzdzie, z przyjemnością obserwowałem, jak od kolumny od-

łączyły się dwie kompanie piechoty, które natarły na strzelające karabiny maszynowe i spędziły je z pozycji, ułatwiając mi wyjście z tych niebezpiecznych opresyj.

Po wysłaniu na boki silnych ubezpieczeń, kolumna posuwała się dalej bez przeszkód. Po dojściu do Tarnowa, maszerujący w straży przedniej, 26 pułk, natknął się na duże siły nieprzyjacielskie, z którymi rozpoczął bój. Maszerujący w kolumnie głównej 25 pułk, zatrzymał się we wsi Hutcza i czekał na rozkazy, w chwili, gdy 26 pułk krwawił się srodze w walce z przeważającymi siłami nieprzyjaciela. Wzmagająca się z każdą chwilą strzelanina artylerji i karabinów maszynowych, oznajmiała że zanosi się na większą i uporczywą bitwę, a pułkownik Herman miał uderzyć całą siłą na nieprzyjaciela i próbować szczęścia w boju, które zawsze mają dowódcy śmiali i zdecydowani, wysyłał do boju pojedyncze bataljony, które napotykając dużą przewagę, krwawiły się srodze w walce z nieprzyjacielem, nie mogąc odnieść zwycięstwa. Nie użył do tego boju pułkownik Herman obu swoich pułków i nie odniósł w tym boju zwycięstwa. Major Bogaczewicz denerwował się, że jego bataljon trwa w bezczynności i nie idzie na pomoc walczącemu 26 pułkowi. Major Jaklicz nalegał na pułkownika Hermana i doradzał mu, by wysłał do boju cały 25 pułk piechoty, lecz pułkownik Herman był niewzruszony i trwał nadal w uporze, a bataljony 26 pułku krwawiły się nadal bezskutecznie. Zdecydował się wreszcie o godzinie 16-tej po dwugodzinnej walce pułkownik Herman na wysłanie I bataljonu 25 pułku, z porucznikiem Studzińskim do boju, na pomoc 26 pułkowi w chwili, gdy 57 dywizja bolszewicka podciągnęła swe dwa pułki na pomoc i całą siłą parła do wycofania się w kierunku na Włodawę i Brześć nad Bugiem, gdyż XIII brygada była w tym czasie na tyłach 57 dywizji która przeszła za bagna i zagrażała jej poważnie w przedostaniu się na wschód. Po uutorowaniu sobie drogi odwrotu, 57 dywizja bolszewicka rozpoczęła niezwłoczny odwrót na Włodawę, a XIII brygada piechoty, miał ścigać przynajmniej cofającego się w popłochu nieprzyjaciela, by powetować swą karygodną bezczynność, rozpoczęła odwrót do Sawina.

Pomimo nieudanej akcji, XIII brygada piechoty uczyniła bardzo wiele, bo w boju pod Sawinem odrzuciła oddziały 58 dywizji bolszewickiej, posuwającej się na Chełm i zmusiła do ucieczki w kierunku na Włodawę 57 dywizję bolszewicką, z grupy Mozyrskiej, która posuwała się na Lublin, oficerowie mieli po tym boju miny zafrasowane. Czuli wszyscy, że chwila dla Polski

jest bardzo ciężka i poważna i że do pokonania wroga nie takich nam zwycięstw potrzeba.

Po powrocie do Sawina i ubezpieczeniu miasteczka, oddziały odpoczywały na kwaterach. Ze względu na silną i nieprzejrzystą mgłę, pułki zwiększyły czujność i ubezpieczenia. Przewidywania dowódców okazały się słuszne. Wczesnym rankiem nazajutrz bolszewicy, korzystając z gęstej mgły, popróbowali szczęścia i napadli z nienacka na Sawin. Silna strzelanina i huk granatów ręcznych, tuż pod miasteczkiem, poderwały odpoczywające oddziały na nogi, które chwytając za broń biegły w stronę boju, na pomoc słabym oddziałom ubezpieczającym. Zanim bataljon majora Bogaczewicza przybył na pomoc, co trwało bardzo krótko, podporucznik Ptasznik Antoni, dowódca 8-ej kompanii 25 pułku, nie czekając na pomoc, rzucił się do przeciwuderzenia i zmusił do ucieczki 518 pułk bolszewicki, który porzucając 4 karabiny maszynowe i pozostawiając 10 jeńców, wycofał się pośpiesznie do Uhruska tak, że zanim major Bogaczewicz przybył na pomoc, podporucznik Ptasznik Antoni powracał już na swe dawne pozycje ze zdobyczą i było już po boju. Zabrani do niewoli jeńcy bolszewicy zeznali, że za 518 pułkiem posuwał się z tyłu 519 pułk bolszewicki, który prawdopodobnie do boju nie przybył i wycofał się do Uhruska.

W południe mgła opadła i pogoda poprawiła się znacznie. 26 pułk pośpiesznie grzebał poległych swoich oficerów i żołnierzy, poległych dnia poprzedniego w boju pod Tarnowem, gdyż nadeszły rozkazy z dywizji, nakazujące pośpieszną akcję na wschód, w celu odzyskania linii Bugu. Polegli oficerowie i żołnierze, zostali pochowani na cmentarzu kościelnym w Sawinie, który to cmentarz pozostał dla mnie bardzo drogim, gdyż poza innymi dobrymi moimi znajomymi, został tam pochowany bardzo dzielny oficer, porucznik Ejmuntowicz i sierżant Anders, z którymi walczyłem razem w pierwszym pułku Strzelców Polskich I Korpusu Wschodniego, oraz innych formacjach Wojsk Polskich na Wschodzie, przez cały czas wojny światowej.

.....

Przez włączenie się do linii telefonicznej nieprzyjaciela, dowódca 7 dywizji piechoty dowiedział się, że 25 dywizja bolszewicka ma w dniu 13 sierpnia zaatakować Chełm od północy i północnego wschodu. Postanawiając uprzedzić zamiary wroga, dowódca dywizji postanowił akcję na wschód wszystkimi swymi rozporządzalnymi siłami. XIV brygada, generała Pogorzelskiego, miała atakować nieprzyjaciela od strony Chełma, na Dorohusk-

Świerże. 25 pułk miał przeprowadzić natarcie z rejonu Sawina, na Uhrusk. 26 pułk nieco w lewo od 25 pułku, w kierunku na Majdan.

Wszystkie pułki 7 dywizji piechoty w tym dniu, złamały opór nieprzyjaciela i przyczyniając się do klęski 222-go, 223-go, 224-go i 225-go pułków sowieckich, osiągnęły całkowicie brzeg Bugu, oczyszczając zupełnie przedpole Chełma od oddziałów nieprzyjacielskich. W tym boju, posuwający się w straży przedniej pułku, bataljon majora Bogaczewicza pędził przed sobą oddziały 173-ciej brygady sowieckiej, które stawiając opór, cofały się do przeprawy na Bugu, za Uhruskiem. Maszerująca na przedzie bataljonu szpica 11 kompanii, ścigała cofające się oddziały nieprzyjacielskie zawzięcie, nie licząc się z niebezpieczeństwem, byleby dopaść wroga.

Przed dojściem do Łukówka, w lewo od drogi za wzgórzami, zawrzała raptowna walka. To maszerujący 26 pułk natknął się na nieprzyjaciela i zdecydowanym uderzeniem zepchnął go z pozycji, ścigając cofające się oddziały nieprzyjacielskie ogniem artylerji i karabinów maszynowych. Jadąc konno obserwowałem przez lornetkę wzgórze od strony boju 26 pułku, czy się na nich nie ukaże nieprzyjaciel, lecz wzgórze były puste i nie było na nich widać ani jednego żołnierza. Jadąc dalej, obserwowałem teren, przyglądając się od niechcenia jednemu z żołnierzy, który maszerując obok mnie, głaskał mego wierzchowca po pysku, gdy nagle usłyszałem głuchy trzask i zobaczyłem, jak idący obok mnie żołnierz zwałił się martwy koniowi pod nogi. Szlachetne zwierzę odskoczyło w bok, by nie nadepnąć nieszczęśliwego żołnierza. Zanim zsiadłem z konia i doskoczyłem na pomoc, już nie żył. Kulą karabinową przebiła hełm stalowy i ugodziła nieszczęśliwego w głowę, ponad lewem okiem, kładąc go trupem na miejscu. Podnieśli sanitariusze ofiarę obowiązku i kolumna pomaszerowała dalej. Jadąc konno w dalszym ciągu myślałem: czy była to kula zabłąkana, która przypadkowo trafiła śmiertelnie, nie spodziewającego się żołnierza, czy też była to kula, wysłana przez nieprzyjaciela dla mnie, jako do widocznego celu, jadącego na koniu dowódcy.

Od czoła kolumny dała się słyszeć silna strzelanina karabinowa przed wejściem do wsi Łukówek. Bitwa trwała krótko i nieprzyjaciel wycofał się, a bataljon posuwał się nadal szybko w stronę Uhruska. Jadąc dalej, ujrzałem pod samą wsią, jak sanitariusze robili opatrunek, jakiemuś żołnierzowi. Był to plutonowy Muszyński, bardzo dzielny podoficer, który w tym dniu prowadził szpicę bataljonu, w pościgu za cofającym się nieprzy-

jacielem. Otrzymał bardzo ciężką ranę w brzuch, która była beznadziejnie trudna do wyleczenia i widocznie bardzo bolesna, gdyż plutonowy Muszyński, zmuszając do uśmiechu, bólem wykrzywioną twarz, zameldował mi ze smutkiem: „Panie Poruczniku! Niech pan ściga tę zgraję, bo ja już spełniłem swój obowiązek i umieram”.

Popatrzywszy chwilę na nieszczęśliwego podoficera, który wśród strasznych męczarni, z poszarpanemi wnętrznościami i przestrelonym żołądkiem był skazany bezapelacyjnie na śmierć, poleciłem sanitariuszom, by się nim jak najbardziej zaopiekowali i by sprowadzili jak najszybciej lekarza bataljonowego, poczem popędziłem konia, by dopędzić szybkim marszem posuwającą się moją kompanję. Jadąc, obserwowałem, jak mieszkańcy wiosek: Holendry, Sławoje i Bukowa, z garnkami mleka i koskami owoców, szli wzdłuż kolumny, częstując obficie żołnierzy. Nic dziwnego. Krótko bawili u nich w wioskach żołnierze bolszewicy, lecz dali im się aż nadto we znaki. Na podwórzach i ulicach przed domami leżały duże sterty, zmieszanego z błotem, niemiłoczonego zboża, które żołnierze bolszewicy masowo wyciągali ze stodoł dla koni, lub dla siebie do spania tak, że zniszczyli po wioskach biednym ludziom, prawie cały ich skromny zbiór tegoroczny.

W ciągłym pościgu za cofającym się nieprzyjacielem, bataljon majora Bogaczewicza opanował wysokie pasmo wzgórz, leżące 1 kilometr na zachód od Uhruska, skąd roztaczał się duży widok na Uhrusk, rzekę Bug, oraz miasteczko Opalin i Huszczę, leżące za Bugiem, dokąd jak mrowie uciekały oddziały nieprzyjacielskie. Nie zwracając uwagi na silny ogień artylerji nieprzyjacielskiej, ostrzeliwującej zajęte przez bataljon wzgórza, karabiny maszynowe otworzyły daleki ogień na grupujące się oddziały w pobliżu przeprawy, a tyraljery szybko zbiegały ze wzgórza, pędząc w stronę Uhruska, skąd wycofywały się pośpiesznie ostatnie oddziały nieprzyjacielskie za Bug. Nieprzyjemne było przebieganie wzgórza pod ogniem artylerji nieprzyjacielskiej. Odbijające się od wzgórza pociski armatnie, wirowały w powietrzu, pękając z hukiem i trzaskiem w pobliżu nacierających żołnierzy, którzy nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo, pędzili niepowstrzymanie naprzód, by jak najprędzej zająć przeprawę na Bugu, odciąć drogę odwrotu opóźnionym oddziałom nieprzyjacielskim i zabrać je do niewoli. Pościg bataljonu za cofającym się nieprzyjacielem był tak energiczny i gwałtowny, że niektórzy wycofujący się żołnierze nieprzyjacielscy, nie mogąc dostać się na przeprawę, która była pod silnym ogniem karabinów maszyn-

nowych, powskakiwali do wody, pragnąc przedostać się na wschodni brzeg Bugu, znajdując miast ratunku śmierć w nurtach głębokiej rzeki, po której w trzy dni po boju, pływały jeszcze ciała topielców.

Po zdobyciu Uhruska i obsadzeniu mostu na Bugu, pogalopowałem niezwłocznie do dworu, by dowiedzieć się o losie brata męża pani Niemiryczowej. Złe przeczucie opanowało mnie po wjeździe na podwórko dworskie, na widok wystraszonej i pierzchającej przedemną służby dworskiej. Na zapytanie, zaprowadziła mnie gromada służby dworskiej za budynki, wskazując na świeżo usypaną mogiłę, tuż przy ustępie, gdzie spoczywały zwłoki ś. p. Gustawa Niemirycza, zamordowanego w bestjałski sposób przez krwawych i mściwych oprawców bolszewickich. Dowiedziałem się jednocześnie od ludności miejscowej, że w godzinę czasu po odmarszu pułku, do dworu przybył patrol kawalerji bolszewickiej. Jeden z potępieńców tego patrolu, wyprowadził za budynki nieszczęśliwą swą ofiarę i zastrzeliwszy, kazał pochować przy samym ustępie. Żal szczery ścisnął moje serce, na widok tej mogiły niedoświadczonego człowieka, który dobrowolnie pozostał w majątku i patrząc na tę cichą, pohańbioną mogiłę, miałem żal szczery do właścicielki majątku, pani Niemiryczowej, bo wywiozła z majątku wszystko bydło i konie, pozostawiając brata ś. p. swego męża, do pilnowania swego zagrożonego wojną majątku, a jednocześnie na śmierć, katusze i pośmiertne shańbienie przez nikczemnych i podłych oprawców, którzy nie mając kultu dla umarłych, wystawiali sobie dobitnie świadectwo w całym świecie, jako ludzie niegodziwi, podli i mściwi.

Po powrotnem obsadzeniu przez 25 pułk linii rzeki Bugu, nastąpiły dla pułku dni ciężkich walk, które jednak major Jaklicz przetrwał ze swym pułkiem zwycięsko, zawdzięczając bardzo intensywnej akcji wypadowej ze swej strony. W tym czasie, na skutek silnych ataków bolszewickich, od strony Hrubieszowa i Dubienki, na Chełm, odeszła XIV brygada piechoty, jako grupa wypadowa pułkownika Olszyny - Wilczyńskiego, na południe, a 26 pułk odszedł z trzecią dywizją Legjonów, do Włodawy, tak, że na przeszło 25-cio-kilometrowym odcinku, między Świerżami i Majdanem, rozciągnięty pułk, nie miał prawie żadnych odwodów, ani należytego ubezpieczenia skrzydeł, mając przed sobą silne oddziały nieprzyjacielskie, które w każdej chwili mogły przerwać front pułku i niepowstrzymanie ruszyć na Chełm i Lublin. To też major Jaklicz badał sytuację i jeżeli zauważył

większe zgrupowanie nieprzyjaciela, niezwłocznie rozbijał je wypadami, zanim oddziały nieprzyjacielskie zdążyły przystąpić do akcji.

Czytając komunikaty i gazety, które oznajmiały po całym Kraju o wielkiem zwycięstwie Wodza Naczelnego nad armjami nieprzyjacielskimi pod Warszawą, wiedzieliśmy, że wojnę zakończymy zwycięsko, jednak silne ugrupowanie nieprzyjaciela, na przedpolu pułku, a mianowicie: 25 dywizja sowiecka w rejonie Opalina, pułk kozaków Uralskich w rejonie Zaburza, oraz 58 dywizja sowiecka w rejonie Holendry-Smolary, nakazywały czujność bez przerwy, by nie być zaskoczonym wielką przewagą wroga, tembardziej że spodziewaliśmy się jeszcze przybycia wkrótce z pod Lwowa armji konnej Budiennego. Te wszystkie niedogodności, absolutnie nie wpłynęły ujemnie na ofensywne usposobienie majora Jaklicza, który mając inicjatywę w swych rękach, nie chciał się jej wyzbyć, za cenę życia, gnębiąc nieprzyjaciela wypadami.

21 sierpnia udała się na wypad 12 kompanja podporucznika Bleszyńskiego Dyonizego, z czterema karabinami maszynowymi za Bug, w celu zajęcia Opalina—Huszczy, i przychwycenia jeńców, których tam miało być 30 piechoty i 24 jeźdźców, jak zeznawała ludność, miejscowa. Siedząc w nocy przed wypadem u majora Bogaczewicza, z podporucznikiem Bleszyńskim i artylerzystami z 7 pułku artylerji polowej, gdzie wypiliśmy po parę czystych za powodzenie wypadu, nabrałem i ja chęci udania się na wspomniany wypad, tem bardziej, że major Bogaczewicz nie miał nic przeciwko temu. Usłudni artylerzyści, pragnąc przysłużyć się do odniesienia większego sukcesu wypadu, zaofiarowali swoje usługi, proponując podciągnięcie jednej baterji bliżej frontu i przeniesienie punktów obserwacyjnych dwóch baterji, do czołowych pozycji piechoty, przy samej przeprawie na Bugu, pod Huszczą, skąd roztaczał się duży widok na Opalin, Huszczę i dalszy teren pozycji nieprzyjacielskich. Po ustaleniu z artylerzystami sygnałów świetlnych, że na zieloną rakiętę, będą strzelać na północno—zachodni skraj Opalina, a na czerwoną, na zachodni skraj Huszczy, przytem, by na powtórzenie rakiety ogień spotęgowali, a na białą rakiętę, przestali strzelać, założyłem za pas rakiетnicę, segregując kolorowe i białe rakiety, które układałem do wszystkich kieszeni, poczem zameldowawszy majorowi Bogaczewiczowi odmarsz i pożegnawszy uslužnych artylerzystów, odeszliśmy do kompanji i z nią na wypad.

O świcie kompanja przeprawiła się przez Bug, po zniszczonym moście w rejonie Uhruska i skryła się w olbrzymich lasach, posuwając się szybkim marszem w stronę Opalina. Major Boga-

czewicz, z oficerami bataljonu i artylerzystami, siedząc na punkcie obserwacyjnym, wyczekiwali wyjścia kompanji z lasów i uderzenia jej do szturm na Opalin, obserwując przez lornety teren, w stronę nieprzyjaciela. W pewnej chwili trwoga niepewności przytłoczyła ich nieustraszone serca, ujrzeni bowiem, jak od strony północno-wschodniej wjeżdżała do Opalina długa kolumna taborów, pod osłoną silnych oddziałów jazdy. Major Bogaczewicz zorientował się, że jeżeli do Opalina wjeżdżają śmiało tak liczne tabory, to w Opalinie muszą być większe siły wojsk nieprzyjacielskich, niż te, na które wysłał do boju za Bug jedną kompanję piechoty. I rzeczywiście, tej nocy przemaszerowały do Opalina i Huszczy, dwa pułki piechoty bolszewickiej, z silnym oddziałem jazdy, które w tym dniu miały rozkaz sforsować Bug pod Huszczą i zająć zachodni brzeg Bugu, jako podstawę wyjściową do dalszej akcji, na Chełm. Wysłany przez majora Bogaczewicza goniec konny, by zatrzymać wypad kompanji, powrócił i zameldował, że kompanja przeszła już za Bug i niema jej na przeprawie. Nie mając ratunku, siedzieli wszyscy oficerowie na punkcie obserwacyjnym, wpatrzeni w skraj lasu, skąd miała za chwilę wynurzyć się kompanja wypadowa, omawiając z artylerzystami sposób użycia artylerji, jako jedynej pomocy zagrożonej kompanji, która nie wiedząc o tak wielkiej przewadze wroga, posuwała się naprzód zdecydowanie, by uderzyć do szturm na Opalin, dokąd wzywał ją rozkaz.

Rozwidniło się już całkowicie i tarcza wschodzącego krwawo słońca, wychyliła się do połowy z za horyzontu, gdy dochodzący do Opalina szperacze czołowi szpicy zatrzymali się i z ukrycia zaczęli dawać porozumiewawcze znaki, o zauważeniu nieprzyjaciela. Podbiegłem z podporucznikiem Błęszyńskim na wzgórze i z za krzaka wyrząłem ostrożnie. Tuż przed nami, nie dalej, jak na dwieście kroków, w dolinie przed miasteczkiem stał oddział kozaków, którzy nie ubezpieczywszy się, posiadali z koni, lub siedząc na koniach, pobierali strawę z kuchni polowej, popijając ją smacznie, po znużeniu i nieprzespanej nocy. Nieopatrzni żołnierze popijali smacznie „czaj“, nie wiedząc, że kompanja wypadowa podchodzi pod wzgórze, nastawiając na nich z ukrycia karabiny maszynowe, by sprawić im krwawą kąpiel, przez zaskoczenie ogniem. Ustawiona kompanja na stanowiskach ogniowych zionęła morderczym ogniem. Zakotłowało się na krwawej dolinie, od trupów, rannych i uciekających ludzi i koni, a gdy ostatni uciekający jeździec nieprzyjacielski skrył się za wzgórzem, kompanja nie czekając, uderzyła do szturm na Opalin, lecz dostała się pod tak silny ogień karabinów ma-

szynowych nieprzyjacielskich, że padła przed miasteczkiem na ziemię i dalej posuwać się nie mogła, by uniknąć strat. Zaskoczony niespodziewaną przewagą wroga, wśród lasów, za rzeką, zdala od własnych wojsk, od których nie należało oczekiwać daremnie pomocy, sięgnąłem po zbawienną raketnicę i założywszy do niej zieloną raketę, wystrzeliłem w górę. Nie zdążyła jeszcze migotliwa rakietka upaść na ziemię, gdy silny ogień granatów i szrapneli zasypał północno-zachodni skraj Opalina. Widząc silny ogień własnej artylerji, kompanja z okrzykiem „hura”, rzuciła się do szturm, wypierając ze skraju miasteczka broniącego się nieprzyjaciela. Dobiegała właśnie do miasteczka szturmująca kompanja, i obawiając się, by nie wbiegła w strefę ognia własnej artylerji, szykowałem do strzału białą raketę, na powstrzymanie ognia, lecz artylerzyści, obserwując teren walki z punktu obserwacyjnego, przyszli mi z pomocą, przerzucając ogień artylerji dalej na południe. Wbiegliśmy do miasteczka, gdzie oczom naszym przedstawił się przykry widok. Cała droga miasteczka była zatarasowana zbitymi wozami taborów, wśród których szarpały się i szamotały wystraszone i poranione od ognia artylerji i karabinów maszynowych konie. Nie było czasu zatrzymywać się, gdyż nieprzyjaciel cofał się i trzeba było ścigać go bez odpoczynku, by nie zatrzymał się i nie powrócił do boju, po przekonaniu się, że atakują go zbyt słabe siły, to też nacierająca kompanja ścigała nieprzyjaciela ogniem i pędziła za nim, by nie dać się nieprzyjacielowi opamiętać i zatrzymać. Plutonowy Matracki, widząc stojącą aptekę połową nieprzyjacielską, wrzucił do niej stojące na sąsiednim wozie 4 karabiny maszynowe i zaprzęgnąwszy do niej cztery ładne konie, pogalopował z nią w stronę Uhruska, jako z wartościową zdobyczą. Nieprzyjacielska jazda popędziła wślad za nim, lecz plutonowy Matracki, popędzając konie, ostrzeliwał się zawzięcie i przybył szczęśliwie na spienionych koniach do Uhruska, przywożąc aptekę dobrze zaopatrzoną; cztery karabiny maszynowe i cztery wartościowe konie.

Nieprzyjacielskie oddziały wycofały się do Huszczy, a kompanja wypadowa nie tracąc ani chwili czasu, by niedać opamiętać się nieprzyjacielowi, nacierała w dalszym ciągu na Huszczę. Po wyjściu z Opalina na odsłoniętą łąkę, żołnierze pokryli się w dużej trawie, tak, że ich widać nie było, i posuwali się w stronę Huszczy, skąd nieprzyjaciel otworzył na kompanję ogień kilku karabinów maszynowych, a jednocześnie zebrana kawalerja nieprzyjacielska, po rannej porażce, czy też jakaś inna, zajeżdżała na lewe skrzydło nacierającej kompanji, ~~zawierając~~

szykując się do szarży. Patrząc na tę kompanję, której z wysokiej trawy prawie że widać nie było, jak również na zięjące ogniem karabinów maszynowych wzgórze w Huszczy, na które posłuszna rozkazowi kompanja nacierała bez przerwy, oraz na szykującą się do wykonania szarży kawalerję i głęboką rzekę Bug z prawej strony, która odgradzała kompanję od bataljonu, uczulem wielką bezsilność i posuwając się naprzód, mierzyłem teren wzrokiem, szukając ratunku, w tej ciężkiej sytuacji. Dwa tylko karabiny maszynowe własne, ostrzeliwując wzgórze w Huszczy, ułatwiały posuwanie się nacierającej kompanji, gdyż drugie dwa, z lewego skrzydła kompanji, musiały bez przerwy ostrzeliwać nieprzyjacielską kawalerję, która coraz śmielej podjeżdżała do kompanji, pragnąc wykonać szarżę na jej lewe skrzydło. Nie mając innego wyjścia, popędzałem żołnierzy do pośpiechu, by jak najprędzej nacierali na Huszczę, gdyż bez zajęcia jej nie widziałem ratunku dla kompanji. Nakazanie odwrotu równałoby się rozproszaniu kompanji w lesie i wyłapaniu jej przez nieprzyjaciela, przy pomocy posiadanej kawalerji, która zajęłaby most w Uhrusku wcześniej, nimby zdążyła kompanja wycofać się do przeprawy i przejść ją, a tu nadomiar złego żołnierze pod silnym ogniem nieprzyjacielskich karabinów maszynowych posuwali się skokami bardzo wolno. Spojrzałem na zbawienną rakietnicę i bez chwili namysłu wystrzeliłem z niej dwie czerwone rakiety, po których artylerja własna otworzyła tak silny ogień na wzgórze, że oddziały nieprzyjacielskie, nie mogąc wytrzymać potężnej siły niszczącego ognia, zaczęły uciekać na wschodni skraj wsi Huszcza. Widząc uciekających bolszewików, podporucznik Bleszyński poderwał do szturmu kompanję, która 600 metrową przestrzeń przebiegła bardzo szybko i zdobyła zachodni skraj wsi Huszcza, usadowiwszy się na wysokim wzgórzu, skąd miała oderwać się i niepostrzerzenie dla oddziałów nieprzyjacielskich, wycofać się za Bug, po spełnionem zadaniu. Odetchnąłem z ulgą i usiadłszy z podporucznikiem Bleszyńskim na schodach cerkwi, omawialiśmy sposób wycofania się kompanji, gdy od strony przeprawy na Bugu, koło Hniszowa, z krzaków nadbrzeżnych zaczęło wyłaniać się jakieś wojsko, które przyjmując szyk bojowy tyraljery, biegło w naszą stronę. Pomyślałem, że major Bogaczewicz przerzucił kompanję odwodową na pomoc nam, lecz że na wojnie ostrożność nigdy nie zaszkodzi, więc i tym razem spojrzałem przez lornetkę, na przybliżających się żołnierzy w naszą stronę, i z przerażeniem zauważyłem, że są to żołnierze nieprzyjacielscy. Krzyknąłem na żołnierzy i wraz z podporucznikiem Bleszyńskim rzuciliśmy się całą kompanją

na bagnety, w stronę zbliżających się żołnierzy bolszewickich, by ich zabrać do niewoli, lub jeżeli to się nie uda, by bagnetem przetorować sobie drogę do przeprawy i przedostać się na zachodni brzeg Bugu, do swego bataljonu. Obie strony dopadły do siebie i skrzyżowały bagnety, lecz żadna ze stron jeszcze nie zaczynała boju, mierząc się wspólnie wzrokiem. Krzyknąłem piorunującym głosem na żołnierzy bolszewickich, by złożyli broń i by poddali się do niewoli. Część ich usłuchała natychmiast wezwania i porzuciwszy karabiny, stali potulni i oczekiwali, jako zwyciężeni, dalszych rozkazów. Inni namyślali się, czy porzucić trzymane karabiny i poddać się do niewoli, czy też uderzeniem przerwać okalający ich pierścień bagnetów polskich żołnierzy i uciekać do swoich, lecz bronić się jeszcze nie mieli odwagi. Wezwałem po raz trzeci niezdecydowanych i opornych żołnierzy nieprzyjacielskich, do złożenia broni i ci, którzy nie wykonali tego rozkazu, padli trupem od kul i bagnetów naszych żołnierzy, którzy się na nich rzucili.

A gdy ostatni oporny żołnierz nieprzyjacielski padł, lub rzucił karabin, wystraszona i trzęsąca się ze strachu grupa jeńców, patrząca przed chwilą na śmierć swych towarzyszy broni, z pobladłymi od lęku i niepewności policzkami, bez słowa sprzeciwu weszła na most i przekroczyła Bug, jako jeńcy i zdobycz kompanji wypadowej. Cofając się przez most, żołnierze zabrali jeszcze dwa karabiny maszynowe, które uciekający żołnierze bolszewicy pozostawili w krzakach, nad rzeką, tak, że pozostawiając na pobojowisku przeszło 40 zabitych bolszewików, kompanja szczęśliwie powróciła za rzekę, prowadząc zdobycz: 35 jeńców, 6 karabinów maszynowych, aptekę polową i cztery ładne konie, mając jak na drwiny dla nieprzyjaciela i na radość i zadowolenie nasze, jednego lekko rannego żołnierza w rękę, który nawet nie wyjechał do szpitala. Szybkość decyzji i działania, oraz wielka pomoc artylerji uratowały kompanję z tych przykrych opresyj i ułatwiły jej zwycięstwo, tak, że po przejściu Bugu, uściskałem szczerze dłonie zacnych artylerzystów, którzy siedząc na punkcie obserwacyjnym, uśmiechali się do mnie życzliwie, po spełnionem tak szczęśliwie dziele.

„Zdecydowanym na wojnie szczęście sprzyja”. Jak się dowiedziałem później od jeńców 224 pułku sowieckiego, to w nocy przybyły do Opalina i Huszczy dwa pułki bolszewickie z jazdą, które miały rozkaz sforsować Bug, pod Hniszowem, i umocnić się na zachodnim brzegu Bugu, by zająć podstawę wyjściową do natarcia, na Chełm. Widocznie bolszewikom zależało w tym czasie bardzo na sforsowaniu Bugu, zajęciu Chełma i Lublina,

gdyż prowadzili w tym dniu po południu i w ciągu następnych dni częste ataki, wzdłuż linii rzeki Bugu, w odpowiedzi na co major Jaklicz urządzał częste wypady za Bug, w celu rozbicia grupujących się oddziałów nieprzyjacielskich.

24 sierpnia wyszedł na wypad za Bug, I bataljon porucznika Studzińskiego, który zdobył wieś Równe, zadając straty oddziałom 225-go pułku bolszewickiego, poczem wycofał się zpowrotem za Bug, prowadząc zdobycz: 46 jeńców, 20 karabinów maszynowych, 24 konie, 6 siodeł, 11 wozów z prowiantem i amunicją, 7 aparatów telefonicznych, oraz jedną kuchnię polową. Zabrani na tym wypadzie do niewoli, komisarz bolszewicki i sanitariuszka, podali dokładnie plan ugrupowania sił bolszewickich na przedpolu pułku, który w tym czasie przedstawiał się następująco:

W rejonie Opalina i Huszczy stała 75 brygada sowiecka, z dwoma pułkami Uralskich kozaków. W Lubomlu stała 74 brygada sowiecka, a na południe od toru kolejowego Chełm-Kowel, znajdowała się 73 brygada sowiecka. Jednocześnie od wymienionych dowiedział się major Jaklicz, że 25 dywizja sowiecka, temi brygadami, ma zająć Chełm.

Pragnąc uprzedzić akcje nieprzyjaciela, wystąpieniem ofensywnem ze swej strony, jak również w związku z akcją grupy generała Hallera, przeciw armii konnej Budiennego pod Zamościem, major Jaklicz zarządził większy wypad, na przedpole 25 pułku. Nieprzyjaciel posiadał oddziały ugrupowane do natarcia i lada chwila należało oczekiwać akcji zaczepnej z jego strony. Artylerja nieprzyjacielska w dniu 30 sierpnia, bez przerwy ostrzeliwała Uhrusk - Świerże i Hniszów, a częste patrole nieprzyjacielskie, próbowały zbliżyć się do Bugu. Od ognia artylerji nieprzyjacielskiej omal że nie zginął dowódca 12 kompanji, podporucznik Błęszyński, wraz ze wszystkimi swymi podoficerami.

Chcąc lepiej zapoznać swoich podoficerów z terenem, w którym nazajutrz miał walczyć, podporucznik Błęszyński zebrał ich wszystkich osmiu, w krzakach przy kościele w Uhrusku, skąd obserwując przedpole, omawiał wykonanie wypadu. Wydając rozkazy i wskazując kierunek natarcia kompanji, podporucznik Błęszyński nie zwrócił uwagi na to, że został zauważony przez obserwatora nieprzyjacielskiej artylerji, prawdopodobnie wskutek złego wykorzystywania terenu, przez zebranych, gdyż świst pocisków artyleryjskich przeszył raptownie powietrze, a silne wybuchy granatów dały się słyszeć tuż w pobliżu kościoła. Jeden z pocisków padł tuż w sam środek zebranych podoficerów,

kładąc trupem na miejscu czterech z pośród zebranych, oraz raniąc ciężko pozostałych. Podporucznik Błęszyński został kontuzjowany, lecz nie oberwał jakoś nic szczęśliwie, od tak niebezpiecznych pocisków, pomimo że stał razem ze swymi podoficerami. Nadbiegli niezwłocznie sanitariusze i pod silnym ogniem artylerji nieprzyjacielskiej nieśli pomoc okaleczonym nadmiernie żołnierzom. Zabici leżeli spokojnie, powaleni jeden na drugim, jak snopy dojrzałego zboża na polu. Poszarpane ich twarze i głowy, oraz krew z mózgiem, która opryskała do wysokości pierwszego piętra, białą ścianę kościoła, czyniły przykre wrażenie. I ten okropny i przykry widok przeszedł wkrótce w zapomnienie, gdyż ranni odjechali do szpitala, zabitych pogrzebano z honorami wojskowemi, a czerwona krew, zmieszana z mózgiem ludzkim, zczerniała na białej ścianie, tak, że zajęci przygotowaniami do jutrzejszego wypadu żołnierze, zapomnieli o tem przykrem wydarzeniu, nie mając czasu, zastanawiać się nad tem.

31 sierpnia, o świcie, rozpoczął się wypad wszystkich trzech bataljonów, pod osobistem dowództwem majora Jaklicza, dowódcy 25 pułku. Wypad obejmował przejście całym pułkiem za Bug i uderzenie I bataljonem, porucznika Studzińskiego, z rejonu Świerże, na Równe Wołczków-Przewóz, i III bataljonem majora Bogaczewicza, z rejonu Uhruska, na Opalin-Huszczę, skąd po zajęciu nakazanych pozycji, oba bataljony miały uderzyć na Johodyn, gdzie mieściło się dowództwo 25 dywizji sowieckiej. II bataljon kapitana Żołędziowskiego miał posuwać się jako odwód, pod rozkazami dowódcy pułku. Po zdobyciu Johodyna cały pułk miał przejść na południe od toru kolejowego Chełm-Kowel, skąd po rozbiciu znajdujących się tam oddziałów nieprzyjacielskich, miał wycofać się za Bug, przez Rymacze i Bereże.

I bataljon, porucznika Studzińskiego, przeprowił się szybko przez most, pod Świerżami i pomaszerował w nakazanym kierunku. Gorzej było natomiast z bataljonem majora Bogaczewicza, gdyż nieprzyjaciel obsadził silnie karabinami maszynowemi przeprawę na Bugu, pod Uhruskiem. To jednak nie przeszkodziło w nakazanej akcji, gdyż podporucznik Maleniewski Józef, mistrz 25 pułku od robienia przepraw, w ciągu dwóch godzin zbudował kładkę na Bugu, trzy kilometry na północ od Uhruska, i cały bataljon przeprowił się skrycie za Bug, maszerując szybko w kierunku na Opalin. Posuwając się przez las, żołnierze przecinali wszystkie napotymane druty telefoniczne, biegnące wzdłuż linii frontu, by nieprzyjacielowi utrudnić łączność.

Po dojściu do folwarku „Wola Uhruska“, maszerująca na przedzie bataljonu szpica, zatrzymała się przed dużą polaną w lesie, wskazując znakami do przodu i w lewo, że zauważyła nieprzyjaciela. Jednocześnie dały się słyszeć silne wybuchy strzałów armatnich, które echo leśne spotęgowało i rozniosło hen-daleko, po lesie. Wraz z wystrzałami armatnimi przeszły powietrze, uderzając ze świstem i trzaskiem w gałęzie drzew, odłamki kartaczy, od silnego uderzenia których liście i poćcinane gałęzie, zaczęły masowo spadać na ziemię. Wystrzały armatnie dawały się słyszeć coraz bardziej częstsze, a odłamy kartaczy, jak stada wróbla przelatywały tuż nad głowami żołnierzy. Idąca w straży przedniej 9 kompanja, pod dowództwem podporucznika Teligi Stefana, rzuciła się do szturm, na zięjące ogniem kartaczy, armaty, i zmusiła je do milczenia, ścigając ogniem i bagnetem uciekającą w popłochu obsługę. Bataljon w tym boju, odrzucił 220 pułk bolszewicki, zdobywając dwie armaty z zaprzęgiem i jaszczami, 6 karabinów maszynowych, 18 jeńców i 9 wozów z amunicją. Po odesłaniu za Bug zdobytych armat, zaprzęgniętych w ładne, choć przyniszczone konie, bataljon wyruszył niezwłocznie do akcji na Równe, gdzie zastał odpoczywający bataljon porucznika Studzińskiego, po zwycięskim boju, nad oddziałami 222 pułku bolszewickiego. W dalszej akcji całego pułku, kontaktu w tym dniu z nieprzyjacielem nie nawiązano, gdyż oddziały nieprzyjacielskie opuściły Johodyn i wycofały się na południowy wschód. Zmęczony całodzienną akcją pułk, wycofał się za Bug do Świerża, skąd kompanje odmaszerowały na dawne swoje pozycje. Po tym wypadzie artylerja nieprzyjacielska przez szereg dni nie ostrzeliwała Uhruska, z czego byli zadowoleni nie tylko żołnierze, lecz i ludność cywilna, która poprzednio cierpiała dużo od ciągłego ostrzeliwania przez nieprzyjaciela Uhruska, ogniem artylerji.

W pierwszych dniach września, pogoda popsua się znacznie. Gęste, ciemno-zielone chmury przeciągały się leniwo po niebie, a deszcze ulewne padały bez przerwy dniami i nocami. Noce również były bardzo ciemne. Zabłoceni i przemoknięci żołnierze, pełnili służbę na placówkach, patrolując pozycję wzdłuż rzeki Bugu. Żle odziani żołnierze nieprzyjacielscy pochowali się do zacisznych chat. Na froncie od rana do nocy, nie padł ani jeden strzał. Chcąc wykorzystać panującą nie pogodę, do zaskoczenia nieprzyjaciela, major Bogaczewicz zarządził w dniu 3 września o godzinie 23-ciej wypad za Bug, lecz patrol nieprzyjacielski zauważył przerzucanie kładek na moście w Uhrusku i zaalarmował pozycję, tak, że wypad w tym

dnia został odwołany. Wobec większej czujności nieprzyjaciela w pobliżu przepraw, major Bogaczewicz wysyłał za Bug mniejsze patrole oficerskie i podoficerskie, które przeprowały się na łódkach za Bug i napadały na placówki nieprzyjacielskie zdobywając jeńców i karabiny maszynowe, czem przyczyniały się w wielkiej mierze do złego nastroju wojsk nieprzyjacielskich, które w każdej chwili spodziewały się napadu wojsk polskich.

4 września, odwiedził majora Bogaczewicza w Uhrusku, nowomianowany dowódca XIII brygady piechoty, pułkownik Olszyna-Wilczyński, który oświadczył, że pragnie mieć jeńca. Naskutek tego major Bogaczewicz wysłał za Bug na wypad, patrol w sile 30 szeregowych, pod dowództwem sierżanta Wiśniewskiego Leona, z 11 kompanji. O godzinie 2-giej nad ranem, patrol przeprował się za Bug i o godzinie 5-tej, napadł na Wolę Uhruską, zdobywając ciężki karabin maszynowy i trzech jeńców, z którą to zdobyczą sierżant Wiśniewski powrócił szczęśliwie do Uhruska, będąc rannym w nogę, kulą karabinową, podczas zdobywania karabinu maszynowego. Pułkownik Olszyna-Wilczyński nie wierzył narazie że przyprowadzeni jeńcy pochodzą z odbytego przed chwilą wypadu, i żartując, wmawiał w majora Bogaczewicza, że prawdopodobnie posiada skład z jeńcami, z którego wyprowadza jeńców, na żądanie wyższych przełożonych, lecz widząc rannego w nogę, podczas wypadu sierżanta Wiśniewskiego, przestał żartować, wyrażając się z uznaniem o wartości żołnierzy bataljonu majora Bogaczewicza, dla których niema niemożliwych rzeczy na wojnie, jeżeli na żądanie dowódców sprowadzają jeńców z za Bugu, tak, jakby ich wyprowadzali ze składu jeńców w obozie koncentracyjnym.

Zawdzięczając tym częstym wypadom i patrolom, wysyłanym za Bug, jeden z pułków bolszewickich uskarżał się przed swym dowódcą dywizji, że mu Polacy powyłapywali wszystkie karabiny maszynowe i że niema się czem bronić. Napisał tedy pełen żalu i utyskiwań meldunek z prośbą o przysłanie mu karabinów maszynowych, który to meldunek dostał się w ręcę majora Bogaczewicza, podczas jednego z wypadów za Bug, porzucony przez czerwonego komisarza 25 dywizji sowieckiej, Gaponienkę, pochodzącego z Czernichowskiej gubernji, którego zagubiony mapnik, z jego podpisem i podanym adresem, znajduje się do dnia dzisiejszego w mojem posiadaniu.

8 września zarządził major Jaklicz ostatni wypad za Bug, dając pomoc pułkowi Uralskich kozaków, którzy mając dość męczarni i złego traktowania ich przez bolszewików, postanowili przejść całym pułkiem, z bronią w ręku, na naszą stronę.

Przy pomocy wspomnianego wypadu, przeszedł za Bug pułk Uralskich kozaków, w sile 650 szabel, który nie został nawet rozbrojony, a walczył do końca wojny jako oddział Armji Polskiej.

Stosując częste wypadu w obronie manewrowej, 25 pułk, jak również cała 7 dywizja piechoty, spełniły swe ważne zadanie, osłaniając skutecznie ugrupowanie i działanie Armji Uderzeniowej w bitwie warszawskiej, której powodzenie przyczyniło się do zwycięskiego zakończenia wojny. I gdy Wódz Naczelny, odnosząc dalsze zwycięstwa, wyparł oddziały nieprzyjacielskie hen - za Niemen i unieszkodliwił armję konną Budiennego, nadszedł czas ofensywy 3 Armji.

ROZDZIAŁ XXI.

Ofensywa z nad Bugu.

10 września, w przeddzień ofensywy, wyruszyła z Włodawy grupa majora Bochenka, na autach ciężarowych, składająca się z 2-ch bataljonów 26 pułku piechoty i kompanii 25 pułku, w celu zajęcia Kowla i niepozwolenia nieprzyjacielowi wywiezienia stamtąd nagromadzonego materiału wojennego. Grupa majora Bochenka, przy udziale aut pancernych, posunęła się szosą z Włodawy przez Małorytę, na Kowel i zaatakowała miasto od wschodu, zdobyła je, jak również dworzec kolejowy, wysadzając w powietrze tory kolejowe, by niepozwolić nieprzyjacielowi na wywiezienie materiału wojennego, lub ewentualnego podciągnięcia pomocy, pociągów pancernych. Mając odciętą drogę odwrotu dla transportów z Kowla na Łuck i Sarny, nieprzyjaciel czynił rozpaczliwe wysiłki, w celu wyparcia grupy wypadowej majora Bochenka i odzyskania miasta i dworca kolejowego, by przynajmniej uratować nagromadzony tam materiał wojenny, lecz grupa majora Bochenka walczyła przez dwa dni z tak wielkim uporem, mając do pomocy artylerię i auta pancerne, że zdołała utrzymać Kowel, aż do przybycia grupy pułkownika Pogorzelskiego, która zajęła zdobyty przez grupę majora Bochenka Kowel, rozpraszając walczące pod Kowlem oddziały nieprzyjacielskie.

11 września rozpoczęła się ofensywa 3 Armji, z nad Bugu, Grupa generała Bałachowicza wyruszyła przez Pulno - Szack i zajęła Ratno i Małą Huszczę.

25 pułk piechoty, bez bataljonu majora Bogaczewicza, wszedł w skład grupy pułkownika Pogorzelskiego, która to grupa po rozbiciu 7 brygady sowieckiej w Ostrówku, miała forsownym marszem ruszyć, by zdobyć Kowel, gdzie miała bronić się grupa majora Bochenka.

III bataljon majora Bogaczewicza wszedł w skład grupy pułkownika Olszyny - Wilczyńskiego, która miała wyruszyć z Uhruska przez: Gorochowiska-Rogowę-Tupały-Mszaniec-Kuku-

ryki, z zadaniem przecięcia toru kolejowego, w rejonie Wyżwy. Ze względu na trudności budowy mostu w Uhrsku, bataljon przeszedł Bug, pod Zaburzem, skąd o godzinie 18-tej wyruszył marszem ubezpieczonym do Perespy, gdzie maszerująca w straży przedniej 10 kompanja podporucznika Łukaszińskiego, wyparła znajdującego się tam nieprzyjaciela, zdobywając 10 jeńców i karabin maszynowy. W dalszym ciągu ofensywy, bataljon majora Bogaczewicza posuwał się w straży przedniej grupy pułkownika Olszyny-Wilczyńskiego, po osi marszu: Wyżwa-Borowe-Siedliszcze - Buczyn-Sikuny - Obłapy - Dorotyszcze - Niesuchojerze-Karasin-Karpiłówka-Werchy, do Stobychwy.

17 września bataljon przybył do Stobychwy i obsadził pozycję nad rzeką Stochodem. W tym też dniu do Stobychwy przybył major Jaklicz z dwoma pozostałymi bataljonami pułku, które po walkach w rejonie Kowla z oddziałami bolszewickimi, zdążającymi na pomoc 58 dywizji sowieckiej, i odparciu ich na wschód, odeszły do swej brygady.

Po zajęciu pozycji, wysłałem patrol na dawne pobojowisko w Obzyrze Wielkim, by odszukać i uporządkować mogiły, pozostawionych po boju poległych żołnierzy, w czasie walk odwrotowych. Pięciu z pośród poległych patrol nie mógł odnaleźć, gdyż prawdopodobnie bolszewicy przewieźli ich w inne miejsce i pochowali, lub też mogli ich były zrównane z ziemią. Znaleźli natomiast ciało ś. p. kaprała Szubińskiego Władysława, jeszcze niepochowane. Poległy ś. p. kapral Szubiński leżał na dnie okopu przez sześć tygodni, niepogrzebany, jakby czekał na pogrzeb od swoich, za ten nadmiar pracy i poświęcenia, jakie oddał Armji Polskiej, walcząc do ostatniego swego tchnienia. Nie mogli go narazie poznać, jego dawni koledzy, gdyż twarz miał wyjedzoną przez zgłodniałe psy przyfrontowe, lub dzikie zwierzęta, poznali go jedynie po odznace „Orłęta“, którą miał przypiętą do swej bohaterskiej piersi, za walki pod Lwowem. Kapral Szubiński został pochowany na dnie okopu, w którym poległ, a na mogile jego, towarzysze broni ustawili mu duży krzyż z koroną cierniową, wykonaną z drutu kolczastego na znak wielkiego poświęcenia i bohaterskiej śmierci, Tego „Niezlomnego Rycerza“. Po śmierci, kapral Szubiński został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy.

Po uporządkowaniu się na pozycji, do dalszej ofensywy, grupa pułkownika Olszyny-Wilczyńskiego rozpoczęła akcję, do zajęcia linii rzeki Styru.

ROZDZIAŁ XXII.

Akcja na Sarny.

22 września 25 pułk zajął Bielską Wołę, przygotowując się do dalszej akcji na wschód. W tym celu saperzy gromadzili materiał do naprawy mostu, na rzece Styrze. Po wyreperowaniu mostu i odrzuceniu nieprzyjaciela, 25 pułk rozpoczął akcję na Sarny.



Major Jaklicz, dowódca 25 pułku piechoty po przybyciu do Stobychwy nad Stochodem, po skończonej akcji z nad Bugu na Kowel.

Stoją: 1) por. Dębczyński, 2) por. Studziński, 3) Mjr. Jaklicz, 4) por. Bański, 5) sierż. Madejski, 6) podp. Wajnberger.

24 września, pułk wyruszył marszem ubezpieczonym z Bielej Woli, przez Rafałówkę-Czudle-Lubachy-Dołgowolę-Włodzimierz-Kanonicze-Kiedry-Rudnię, i w dniu 25 września zajął Bereźnicę i Teklówkę, nawiązując kontakt z nieprzyjacielem, nad rzeką Horyniem. Most na rzece Horyniu nie był całkowicie przez nieprzyjaciela zniszczony. Zerwany był z niego tylko pomost, odsłaniając sterczące nad wodą belki i wiązadła mostu, pod którymi przepływały z szumem i trzaskiem, głębokie fale nurtów, dość głębokiej rzeki Horynia. Bolszewicy obsadzili wschodni brzeg Horynia dwoma pułkami piechoty, mając mocno pozamykane przeprawy na rzece. Powstała obustronna kilkogodzinna strzelanina, bez ważniejszego rezultatu. Major Jaklicz, będąc śmiałym i ryzykownym w swych szczęśliwych dotychczas, zwycięskich poczynaniach, wziął inicjatywę w swoje ręce i zapragnął jak najprędzej zdobyć Sarny, to też wydał rozkazy, by I i II bataljony sforsowały rzekę Horyń w rejonie Bereźnicy, działając przez zaskoczenie nieprzyjaciela, po przejściu za rzekę po ułożonych kładkach, na zepsutym moście, zaś III bataljon majora Bogaczewicza miał przerzucić sobie kładkę i przeprowadzić się o świcie, za Horyń, pod Treskinia. Na poparcie akcji bataljonu majora Bogaczewicza, miała przybyć baterja artylerji polowej, lecz niewiadomo z jakiej przyczyny, nie nadchodziła, a czas naglił.

Zbliżał się świt, a w natarciu bataljon majora Bogaczewicza miał przebyć długą, przeszło trzech kilometrową równinę, by dojść do przeprawy, którą bataljon miał sforsować. Major Bogaczewicz, nie czekając na przybycie artylerji, zarządził natarcie. Przygotowane na pozycjach wyjściowych kompanje ruszyły naprzód, ukryte częściowo w oparach mglistego poranka, który jednak nie dawał całkowitego ukrycia przed obserwacją nieprzyjaciela. To też wkrótce dały się słyszeć strzały karabinów maszynowych z za rzeki i żołnierze padając na ziemię, uskuteczniłi dalsze posuwanie się skokami, kryjąc się częściowo przed ogniem nieprzyjaciela. Natarcie pod ogniem nieprzyjaciela posuwało się dość szybko, tak, że czołowe kompanje natarcia, doszły do przeprawy i rozpoczęły walkę ogniową, starając się przedostać po kładce, na drugą stronę rzeki. Podporucznik Meleniewski, pod ogniem nieprzyjaciela, wykończył przerzucanie kładki, na którą oczekiwali okopani przy kładce żołnierze. A gdy kładka była gotowa, 11 kompanja podporucznika Koppla Henryka, rozpoczęła forsowanie rzeki, lecz w chwili, gdy pierwszy żołnierz wbiegł na kładkę, by przebiec po niej, na drugą stronę rzeki, odezwały się przyczajone na wzgórzu przed Treskinia, dwa nie-

przyjacielskie karabiny maszynowe, broniące przeprawy, i biegnący przez kładkę żołnierz dostał kulą karabinową w brzuch, będąc na środku kładki. Po otrzymaniu postrzału, zachwiał się biedaczysko z bólu i przerażenia, lecz spojrzawszy w głębinę, kotłującej się pod nim wody, ostatkiem sił przebiegł na drugą stronę i zwałił się na brzegu, tracąc przytomność. Taki sam los spotkał drugiego, który po przebiegnięciu kładki, upadł ranny, obok pierwszego. Nie było potrzeby marnować bohaterskich żołnierzy, którzy posłuszni rozkazowi swego dowódcy kompanji, wbiegali na kładkę, widząc, że pod silnym ogniem czyhających nieprzyjacielskich karabinów maszynowych idą na pewną śmierć, lub kalectwo. Podeszły ciężkie karabiny maszynowe własne i ustawivszy się po cztery sztuki, na lewo i prawo od przeprawy, rozpoczęły gwałtowny i morderczy ogień, na okopy nieprzyjacielskie, z których już nie padł ani jeden strzał, tak, że 11 kompanja podporucznika Koppla, przeprawiła się na drugą stronę Horynia, zdobywając wieś Treskinie, przed którą w okopach znalazła dwa karabiny maszynowe nieprzyjacielskie, niezdolne do użycia, wskutek ich uszkodzenia ogniem naszych karabinów maszynowych, oraz kilka trupów nieprzyjacielskich, z potrzaskanymi od kul głowami.

Bataljon przeprawił się za rzekę i po zajęciu wsi Treskinia obsadził pozycję obronną od strony wschodniej, ścigając nielicznych rozbitków nieprzyjacielskich, którzy zrywając się z ziemi, ratowali się ucieczką, w stronę dużego lasu na przedpolu. Trzy kompanje obsadziły pozycję, 10 kompanja podporucznika Łukaszińskiego pozostała z majorem Bogaczewiczem we wsi Treskinia, jako odwód bataljonu. Na lewym skrzydle bataljonu, znajdował się z plutonem 11 kompanji, podporucznik Wiewiórski Józef, który poległ w tym boju. Pochodził z okolic Białegostoku, czy też samego miasta, gdzie miał bliższą rodzinę. Zginął on w pierwszym boju, do którego wystąpił. Przebywając w kadrze przez dłuższy czas, podporucznik Wiewiórski ubolewał mocno nad tem, że wojna zbliża się ku końcowi, a on na niej nie będzie, naskutek czego został odesłany na front i przydzielony do 11 kompanji podporucznika Koppla Henryka. Idąc do tego pierwszego i ostatniego zarazem boju, podporucznik Wiewiórski radował się szczerze, że los pozwolił mu być na wojnie. Widząc jego radość i dziwny jakiś smutek zarazem, przyszła mi do głowy myśl, że może zginąć w tym boju, więc wpatrując się badawczo w trudny do obrony teren, na lewym skrzydle bataljonu, na które zachodził flankowo, oddalony nie więcej jak czterysta kroków lasek, dogodny do podejścia dla nieprzyjaciela,

zwróciłem na niego uwagę podporucznikowi Wiewiórskiemu, by nie zapomniał zagiąć swego lewego skrzydła, frontem na las, skąd mu może grozić największe niebezpieczeństwo. Podporucznik Wiewiórski pragnął wykorzystać moją radę, lecz niestety nie wiedział, jak to wykonać, i zamiast zagiąć lewe swe skrzydło, t. j. ugrupować kilku swoich żołnierzy na lewym skrzydle, nieco dotyłu i w kierunku do niebezpiecznego lasu w lewo, wykonał to odwrotnie, umieszczając lewoskrzydłowych dziesięciu żołnierzy wysuniętych nieco do przodu, przed pozycję obronną swej kompanji, skierowując ich kierunkiem strzału, w stronę swej kompanji i tyłem do niebezpiecznego lasu. Na wojnie błędy dowódców mszczą się bardzo krwawo, tak też i podporucznik Wiewiórski zapłacił za to niedopatrzienie drogo krwią swoich żołnierzy.

Około południa bolszewicy przeszli do kontrataku dużemi siłami, chcąc odzyskać utracone pozycje i jednocześnie zepchnąć bataljon majora Bogaczewicza do rzeki lub zabrać do niewoli, gdyż szybkie wycofanie się za rzekę było wprost niemożliwe. Nadomiar złego, główne natarcie szło na lewe skrzydło bataljonu, którego miał bronić świeżo przybyły na front, niedoświadczony oficer. Wiedząc, że w zaprawionym bojach bataljonie majora Bogaczewicza są oficerowie i żołnierze, którzy, jak „Stara Gwardja Napoleońska“ wytrwają w boju i odbiją natarcie dwóch pułków bolszewickich, zapragnąłem udać się jak najszybciej na lewe skrzydło, by pomóc w boju podporucznikowi Wiewiórskiemu, to też nie zwracając uwagi na silny ogień nieprzyjacielski, biegłem wzdłuż linii bojowej na lewe skrzydło bataljonu. Z odległości trzystu kroków od lewego skrzydła bataljonu zauważyłem rzecz, która zatamowała mi dech w piersiach. Z lasu na lewym skrzydle bataljonu wyszło drugie natarcie nieprzyjacielskie, posuwające się dość szybko i bijące w plecy ogniem karabinowym, lewoskrzydłowym żołnierzom kompanji. Biegąc dalej, wołałem na podporucznika Wiewiórskiego, by zagiął swoje lewe skrzydło, lecz podporucznik Wiewiórski w ogromie swojej pierwszej bitwy nie orjentował się i nie wiedział, czego żądam od niego. Gdy dobiegłem do lewego skrzydła bataljonu i zacząłem przegrupowywać lewe skrzydło 11 kompanji do obrony z lewej strony, nieprzyjacielskie tyraljery zbliżyły się już prawie na odległość dwustu metrów i silnym ogniem karabinowym i karabinów maszynowych ostrzeliwały przegrupowujące się skrzydło kompanji. Artylerja bolszewicka również skierowała silny ogień na lewe skrzydło bataljonu, od pocisku której podporucznik Wiewiórski otrzymał śmiertelny postrzał w lewą pachwinę. Olbrzymi kawał

żelaza, podobny do rozbitej na pół dużej szklanki, uwiązał głęboko w ranie, powodując bardzo silny krwotok, wskutek uszkodzenia arteryj krwionośnych. Krew obficie ściekała przez ubranie na piasek, tak, że podporucznik Wiewiórski był bezapelacyjnie skazany na śmierć, nie było dla niego ratunku. Zapragnąłem za wszelką cenę ratować tego nieszczęśliwego oficera, który tak pragnął dla siebie tego pierwszego i zarazem nieszczęśliwego boju, czym omal nie spowodowałem nowego nieszczęścia. Karygodną rzeczą każdego dowódcy jest bawienie się w sentyment, pod adresem jednostki, tam, gdzie w niebezpiecznej chwili waży się losy oddziału. Miast bronić się rozpaczliwie, mając silnego nieprzyjaciela na karku, który w każdej chwili mógł rzucić się do szturm, zapragnąłem w pierwszej mierze ratować 99% trupa by nie dostał się do niewoli, i odrywając wartościowych dwóch podoficerów od walki, wydałem im rozkaz, by żywego, czy martwego podporucznika Wiewiórskiego wynieśli z boju do wsi. Posłuszni rozkazowi podoficerowie, nie zwracając uwagi na bardzo niebezpieczny moment walki, podbiegli do dogorywającego podporucznika Wiewiórskiego i pochwyciwszy go, próbowali unieść z placu boju, lecz nim zdążyli unieść go niecałe sto kroków, padli obaj ranni na ziemię, jak również podporucznik Wiewiórski otrzymał jeszcze jeden postrzał kulą karabinową w piersi. Miast pozostawić dogorywającą ofiarę w spokoju, a zając się niebezpieczną sytuacją bojową, oderwałem jeszcze plutonowego jednorocznego Kwaśniewskiego, by wynieść z placu boju podporucznika Wiewiórskiego, co tenże spełnił niezwłocznie, ciągnąc nieprzytomnego oficera po ziemi w stronę wsi. Bolszewicy widząc, że unoszą kogoś z placu boju, rzucili się do pościgu, strzelając silnym ogniem do plutonowego jednorocznego Kwaśniewskiego, który mając twarz całą zalaną krwią, gdyż kula karabinowa urwała mu prawe ucho, ciągnął nieprzytomnego oficera po ziemi w stronę wsi Treskinia, ostrzeliwując się mocno z rewolweru, przed ścigającymi go żołnierzami bolszewickimi, którzy zbliżyli się do niego na odległość 50 kroków. I mając rozkaz, żywego czy martwego wynieść z placu boju, ten dzielny podoficer z narażeniem życia walczył i wycofywał się z rannym swoim dowódcą plutonu, do wsi, nie zwracając uwagi, że lada chwila mógł paść trupem od ognia strzelających do niego żołnierzy bolszewickich z bliskiej odległości. Spełniwszy zaszczycenie z narażeniem życia swój obowiązek plutonowy jednoroczny Kwaśniewski wynieść podporucznika Wiewiórskiego z boju, lecz niestety, na 15 minut przed śmiercią, po upływie którego to czasu podporucznik Wiewiórski życie zakończył.

Opanowałem się zbyt późno po zmarnowaniu dużej ilości czasu na ratunek podporucznika Wiewiórskiego, gdyż bolszewicy zbliżyli się bardzo blisko i ostrzeliwując silnym ogniem broniących się przy mnie 20 żołnierzy, wzywali nas do poddania się, zapewniając, że nic nam nie uczynią. Zaskoczeni żołnierze strzelając bez przerwy w znienawidzone gęby wrogów, nie myśleli o poddaniu się, ani też o odwrocie. Pragnęli tylko do końca spełnić swój obowiązek i zginąć, gdyż do odwrotu trzeba było przebiec sto metrów przez otwarty teren pod górkę, co równałoby się i tak śmierci, gdyby ktoś pokusił się o ucieczkę w tej bezyjściowej chwili. I po raz drugi w tym boju obudziło się we mnie zwierzę. Wiedząc, że rana postrzałowa w brzuch jest najniebezpieczniejsza i trudna do wyleczenia, przytem bardzo bolesna, strzelałem z karabinka, który podniosłem z ziemi po zabitym żołnierzu i celowałem atakującym nas bolszewikom prosto w brzuchy, lubując się widokiem padających z jękiem na ziemi żołnierzy bolszewickich. Zęby w tej chwili kłapały mi, jak w febrze, ze strasznej nienawiści do wroga, z którym byłem zdecydowany walczyć do ostatniej chwili swego życia. Z dziką rozkoszą ginie w takiej chwili dowódca, patrząc na walczących przyswym boku niezachwianie, oddanych mu żołnierzy i nie odczuwając lęku. Walka stawała się coraz zapalczywsza. Broniący się przy mnie żołnierze nie ratowali swych przyjaciół, którzy z jękiem, ciężko ranni, padali na dno okopu, konając w agonji, lecz strzelając bez przerwy, pragnęli walczyć do ostatniego tchu w piersiach. Bolszewicy, nie zwracając uwagi na straty, czołgali się coraz bliżej okopu i szykowali się do szturm. Chwyciłem odruchowo za granat ręczny, który miałem za pasem i szykując go do rzutu, wyrzuciłem z okopu. Oczom moim przedstawił się widok, którego nie zapomnę nigdy w życiu. Atakujący nas żołnierze bolszewicy, poważnie nam zagrażający, z lękiem i niepokojem cofali się do tyłu. Nie wierzyłem swoim oczom i rzuciwszy odbezpieczony granat ręczny w stronę cofających się bolszewików, obejrzałem się do tyłu. Ujrzałem 10 kompanję podporucznika Łukasińskiego, pędzącą z najeżonym bagnetem do przeciwdzierzenia, nam na ratunek. Wraz z kompanją biegł z rewolwerem w ręku major Bogaczewicz. Jak huragan przebiegła obok nas kompanja odwodowa i z okrzykiem „hurra“ rzuciła się na wycofujących się w panicznym strachu żołnierzy bolszewickich, ściągając ich ogniem i bagnetem. Czuję w tej chwili, że zostałem uratowany. Dziwna rzecz. Miast pobiec wraz z kompanją i cieszyć się odniesionem zwycięstwem, stałem się całkowicie obojętnym na to wszystko, co się wokoło mnie działo i usiadł-

szy na ziemi zacząłem się przyglądać zabitym i rannym swoim żołnierzom, leżącym opodal w okopie. Po krótkiej chwili uczułem się bardzo osłabionym i silny ból głowy, jak nigdy, zaczął mi dokuczać. Podbiegł do mnie major Bogaczewicz i zapytał, jak się czuję? Odpowiedziałem mu, że „dobrze“, dodając, że prawdopodobnie jestem ranny w głowę, gdyż odczuwałem tak silny ból głowy, jakby mi kto szponami czaszkę rozdzierał. Major Bogaczewicz zdjął mi czapkę z głowy i nie mogąc znaleźć żadnej rany pocieszył mnie, że jestem zdrow i cały i pozostawiając mnie w okopie podążył za 10 kompanją na przedpole, która w tej chwili prowadziła bój w lesie z przeważającymi siłami cofającego się nieprzyjaciela. Po chwilowym odpoczynku podszedłem do zabitych i rannych żołnierzy nieprzyjacielskich i przyglądałem się im badawczo, jako tym, którzy przed chwilą ginęli z mej ręki i od kul moich niezłomnych żołnierzy. Między rannymi żołnierzami bolszewickimi znajdował się ciężko ranny w oba kolana inteligentny żyd z Kijowa, który błagał o litość, by go nie dobijać. Obawiając się tak nadmiernie śmierci, która mu nie groziła, gdyż bataljon majora Bogaczewicza nigdy rannych nie dobijał, widocznie nie miał czystego sumienia względem żołnierzy polskich, których się tak bardzo obawiał. Był to komisarz Internacjonalnego pułku komunistycznego imienia Trockiego, czy też Beli Kuna, przy którym póza większą ilością dolarów i koron czeskich. znaleziono notes, w którym miał po rosyjsku zanotowaną większą ilość adresów osób, pochodzących z większych miast Małopolski Wschodniej. Idąc za wskazanymi adresami żandarmeria wojskowa przyłapała cały sztab komunistyczny Małopolski Wschodniej, przygotowany do objęcia władzy, po zajęciu Małopolski przez wojska bolszewickie. Od wspomnianego komisarza dowiedziałem się, że bolszewicy w tym dniu prowadzili natarcie dwoma pułkami, w sile przeszło 1500 bagnetów.

Po odrzuceniu nieprzyjaciela powracał do wsi Treskinia podporucznik Łukasziński, prowadząc jeńców i dwa zdobyte karabiny maszynowe i jednocześnie sanitariusze znosili do wsi zabitych i rannych żołnierzy. Ogółem w tej walce, z bataljonu majora Bogaczewicza poległo 19 zabitych i zostało rannych 43 żołnierzy, z których jeszcze paru zmarło wkrótce od cięższych ran. Od ognia nieprzyjacielskiego w najniebezpieczniejszej chwili walki padli przy mnie: podporucznik Wiewiórski, plutonowy Pazura Stefan, szeregowcy: Rosy Józef, Rybiński Wincenty i Kaczmarczyk Kazimierz, oraz zostało rannych 12 żołnierzy. Bardzo dużo w tym ciężkim boju dopomógł sierżant Trybuła z mej

kompanji karabinów maszynowych. Będąc mocno napieranym w środku linii obronnej bataljonu, przez piechotę i jazdę nieprzyjacielską, wydał rozkaz swoim żołnierzom, by ogniem karabinowym ostrzeliwali nacierającego na nich nieprzyjaciela, a z narażeniem swej pozycji wycofał karabin maszynowy nieco za wzgórze i silnym ogniem karabinu maszynowego przez cały czas ostrzeliwał nieprzyjaciela na lewym skrzydle bataljonu, zdając sobie sprawę, że tam jest niebezpieczniej i nie wycofał swego karabinu maszynowego, lecz strzelał z niego do ostatniej chwili, to jest do wyjścia przeciwuderzenia, pomimo, że nieprzyjaciel zagrażał mu poważnie zabranie do niewoli. Za ten bój sierżant Trybuła został przedstawiony do Orderu Virtuti Militari V klasy, lecz otrzymał tylko Krzyż Walecznych.

Po skończonym boju bataljon majora Bogaczewicza został wycofany za rzekę, jako odwód pułku, a pozycję obsadził bataljon porucznika Studzińskiego. Pogoda po południu popsuka się znacznie i zaczął padać deszcz, połączony z silną wichurą. Żołnierze przebywali na kwaterach we wsi Teklówka i czyścili broń po strzelaniu i deszczu, oraz przygotowywali trumny do pogrzebu swych towarzyszy broni. O godzinie 16-tej bolszewicy rozpoczęli bombardować wieś Teklówkę, która zapaliła się od ognia artylerji nieprzyjacielskiej i spłonęła doszczętnie w ciągu pół godziny. Wskutek silnego wiatru, który roznosił płomienie po całej wsi, pożar powstawał z każdą chwilą w coraz to innem miejscu. Połowa żołnierzy schwyciła broń i ryszczunek i wybiegła za wieś na pola, gdy druga połowa żołnierzy rzuciła się na ratunek płonącej wsi. Potęga żywiołu jednak była tak wielka, że na nic zdała się pomoc żołnierzy, którzy smarząc się poprostu w ogniu buchających płomieni, siedzieli na dachach chat, polewając je wodą, lub wbiegając do płonących chat, wynosili z nich wartościowsze sprzęty, a nawet chore osoby i dzieci. Olbrzymie płonące wiechy słomy, niesione wicherem na dalekie odległości, nie podarowały też zabudowaniom stojącym za wsią na uboczu. Osaczeni potężnym ogniem żołnierze wybiegali z pośród płomieni z opalonymi twarzami i włosami, gasząc na sobie tlejące od ognia ubranie. Potężne płomienie poczęły wkrótce gasnąć, z pośród których zaczęły wystawać zgłiszczka i sterczące kominy. Po godzinie czasu, wieś Teklówka spłonęła doszczętnie. Zapadał mrok, a zebrana ludność całej wsi z uratowanym skromnym dobytkiem i drobnymi płaczącymi dziećmi stała bezradna, wpatrując się oniemiałym wzrokiem w zgłiszczka swych domów, nie mając się gdzie zapodziać. Nie mając gdzie nocować, bataljon pomaszzerował na kwatery do Bereźnicy. Nie mógł jednak bata-

ljon spokojnie wypoczywać na wygodnych kwaterach w Bereżnicy, gdyż bolszewicy prowadzili kilkakrotnie ataki za rzeką na I i II bataljon, pragnąc je zepchnąć do rzeki i odzyskać utracone pozycje w Remczycy i Treskini tak, że bataljon majora Bogaczewicza jako odwodowy, musiał być w każdej chwili gotów do akcji, gdyby zaszła potrzeba wsparcia któregośkolwiek z bataljonów za rzeką.

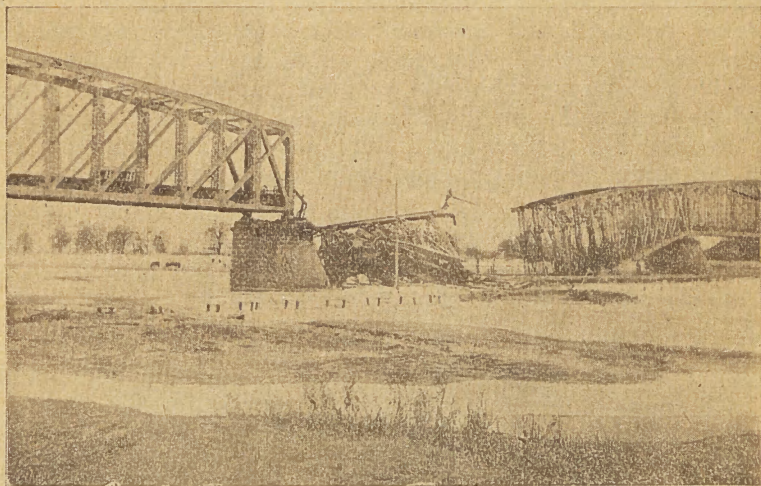
Piękna i pogodna noc księżycowa ułatwiała wprawdzie bataljonom obronę na tych pozycjach, nie była to jednak noc spokojna i bezpieczna. Kilkakrotnie tej nocy wychodziłem przed kwaterę i wsłuchiwałem się w odgłos strzałów karabinowych i terkot karabinów maszynowych, oraz potężne huki pocisków armatnich i granatów ręcznych, które zmieszane z częstym okrzykiem „hurra”, świadczyły, że w ciągu tej nocy, nieprzyjaciel przechodził kilkakrotnie do ataków i że lada chwili bataljon majora Bogaczewicza mógł otrzymać rozkaz do przejścia na pomoc za rzekę. Spodziewając się silnego natarcia nieprzyjacielskiego o świcie, major Jaklicz wysunął cały pułk za rzekę, szykując się do decydującej walki z nieprzyjacielem, a gdy ono nie nastąpiło, bez chwili zwłoki zarządził dalszą akcję na Sarny.

Spodziewając się silnego oporu nieprzyjacielskiego pod Sarnami, major Jaklicz powziął decyzję uderzenia na Sarny z trzech stron. W tym celu zarządził uderzenie głównymi siłami po osi marszu: Remczyca—Jarynówka—Regnówka—Sarny, oraz wysłał porucznika Studzińskiego z dwiema kompanjami przez Tułowicze—Bielatycze, z zadaniem zaatakowania Sarn od zachodu, i porucznika Ptasznika Władysława z dwiema kompanjami przez Strzelsk, z zadaniem zaatakowania Sarn od północy, wzdłuż rzeki Słuczy. Na wszystkich trzech kierunkach natarcia kompanje parły naprzód, odrzucając nieprzyjaciela w kierunku na Sarny. Najsilniejszy opór stawiał nieprzyjaciel siłom głównym, na skraju lasu przed wsią Jarynówka, lecz skoro został wyparty z pozycji, wycofał się aż pod Sarny gdzie próbował powtórnie stawić opór, skąd będąc wypartym, cofał się pośpiesznie do przeprawy, przy moście kolejowym na rzece Słuczy. Po ostatecznem złamaniu oporu nieprzyjaciela pod Sarnami, 5 kompanja porucznika Uhlera Józefa udała się w pościg za cofającym się nieprzyjacielem. Chcąc odciąć nieprzyjacielowi drogę odwrotu, pobiegłem z czterema karabinami maszynowymi wraz z kompanją porucznika Uhlera. Pośpiech w tej akcji był bardzo nakazany. Chodziło bowiem o to, by zająć wzgórze leżące między miastem i rzeką, wcześniej, zanim oddziały nieprzyjacielskie przekroczą most na rzece Słuczy, by tym sposobem zamknąć ogniem prze-

prawę i zabrać cofające się oddziały nieprzyjacielskie do niewoli. Podziwiałem w tym boju wysiłek karabiniarzy maszynowych. Kapral Granowski i Ślusarczyk, oraz starsi strzelcy Koziół i Marzec, jako karabinowi prześcigali się w wyścigu bojowym, posuwając się skokami na 50 kroków przed 5 kompanją i ostrzeliwując cofającego się nieprzyjaciela z taką szybkością, że posuwająca się dość szybko kompanja, nie mogła ich wyprzedzić.

Po zajęciu wzgórza i częściowem zamknięciu ogniem przeprawy, oddziały nieprzyjacielskie zaczęły schodzić do brzegu rzeki, którędy pod osłoną wysokiego brzegu i zadrzewienia zaczęły się wycofywać niewidocznie za rzekę. Po zauważeniu tego, zarządziłem posunięcie się karabinów maszynowych do samej przeprawy, by nie wypuścić absolutnie cofających się oddziałów nieprzyjacielskich za rzekę, lecz gdy kompanja 5-ta z karabinami maszynowemi zaczęła posuwać się w stronę przeprawy, na pomoc wycofującym się oddziałom nieprzyjacielskim przybyły nieprzyjacielskie pociągi pancerne, które zatrzymały się na wysokim nasypie kolejowym tuż za mostem i silnym ogniem kartaczy zasypały nacierającą na przeprawę kompanję. Sytuacja była bardzo niebezpieczna. Z pośród drzew, wśród za ognistemi wybuchami kartaczy, pędziły całe masy odłamów żelaza, które jak stada wróbli, przelatywały z sykiem i świstem tuż obok nacierających żołnierzy, zarywając się w ziemię, gdzie padały. Od pierwszych kartaczy padło trzech rannych i jeden plutonowy zabity, któremu duży odłam kartacza zerwał kawał czaszki, a ta frunęła w górę na parę metrów, jak zerwana wichrem czapka. Nie powstrzymało dzielnych żołnierzy w ich śmiałym zapędzie złowrogie wycie kartaczy, ani też widok leżącego bez głowy podoficera i jęki cierpiących żołnierzy, od szarpanych ran kartaczy, którzy posuwali się nadal, oczekując w każdej chwili śmierci, lub kalectwa. Ogień w tej chwili był tak silny, że zdawało się, nie będzie końca morderczego ognia złowrogich kartaczy, a kompanja miała przebyć jeszcze trzysta kroków terenu, by dostać się do przeprawy. Nie mając innego wyjścia wydałem rozkaz by kompanja przebiegła jednym skokiem przestrzeń do samej przeprawy, gdzie żołnierze mieli dobre ukrycie przed ogniem nieprzyjaciela, za wysokim nasypem toru kolejowego i jednocześnie, skąd mogli skutecznie strzelać na wszystkie strony, by nie dopuścić nieprzyjaciela do przeprawy. Posłuszni rozkazowi żołnierze rzucili się do skoku i nie zwracając uwagi na zielejące ogniem kartaczy armaty nieprzyjacielskie, dopadli do toru kolejowego, przy samym moście kolejowym, skąd rozpoczęli silny ogień na przeprawę i obustronną dolinę rzeki, którędy posuwały

się skrycie oddziały nieprzyjacielskie. Straty od ognia kartaczy były względnie małe w tym boju tak, że żołnierze radowali się, opowiadając sobie przeżycia tej chwili i radzili jeden drugiemu, że tylko szybkie przebycie przestrzeni może uratować przed tak morderczym ogniem, jak kartaczy.



Zerwany most kolejowy na rzece Słuczy za Sarnami, na który bolszewicy wpuścili pociąg towarowy, nie mogąc go uratować.

O godzinie 12-tej miasto Sarny zostało zdobyte, a powstrzymywane ogniem 5 kompanji i karabinów maszynowych spóźnione oddziały nieprzyjacielskie miast zdobywać przeprawę, poddawały się do niewoli. Wkrótce po obsadzeniu przeprawy, od strony Łunińca zaczęły zbliżać się do przeprawy dwa pociągi. W pierwszej chwili myślałem, że są to pociągi pancerne nieprzyjacielskie, lecz po chwili zauważyłem, że są to zwykłe pociągi towarowe. Jeden z nich, bez obsługi, wjechał na niewykończony przez nieprzyjaciela most na rzece Słuczy i spadł do wody. Piękny to był widok spadającego parowozu do rzeki z wysokiego mostu. Od uderzenia wybuchła w górę potężna fontanna wody, z tumanem kurzu i pary, wydobywającej się z kotła. Fale wody pochłonięły parowóz tak, że widać było z wody nieco górne jego części. Nie było czasu przyglądać się długo leżącemu w wodzie parowozowi, gdyż w ślad za nim jechał cały sznur wagonów. Dałem znak ostrzegawczy, by lokomotywa zatrzymała się, lecz to nie skut-

kowało. Pociąg zbliżał się coraz bardziej do mostu. Rozkazałem otworzyć ogień, na nieposłuszny pociąg. Cztery karabiny maszynowe otworzyły silny ogień na nadjeżdżającą lokomotywę, która sycząc i ziejąc parą, zatrzymała się w pobliżu mostu kolejowego. Z parowozu wyskoczyło kilku żołnierzy bolszewickich, którzy szybko oblali wagony kolejowe benzyną i podpaliwszy je, poczęli uciekać do pobliskich krzaków nad rzeką, ścigani ogniem karabinów maszynowych. Nie wiem! Czy kule karabinów maszynowych przestrzeliły zbiorniki pary od tłoków, czy też uciekająca obsługa uszkodziła je przed ucieczką, gdyż para bezustannie wydobywała się z parowozu. Dość na tem, że parowóz z miejsca nie ruszył więcej i pociąg dostał się w nasze ręce.



Dworzec kolejowy w Sarnach.

Wyschnięte na słońcu wagony kolejowe, oblane benzyną, paliły się szybko, przenosząc ogień na sąsiednie. Wydałem rozkaz do ratowania płonących wagonów. Z istic bohaterskiem poświęceniem rzucili się żołnierze na ratunek płonących wagonów, zasypując je piaskiem i lejąc wodą, po którą biegali pod ogniem nieprzyjaciela do rzeki, czerpiąc ją menażkami. Niestety! Suche wagony, polane benzyną, paliły się nadal, przerzucając ogień na sąsiednie. Nie mogąc ugasić płonących wagonów, żołnierze odpięli całe wagony od płonących i popchnęli je z góry, w stronę stacji kolejowej Sarny. Cztery wagony spłonęły do-

szczętnie, a pozostałe czterdzieści sześć wagonów zostało całe i nieuszkodzone. Z uznaniem patrzyłem na ratowanie płonących wagonów przez swoich żołnierzy, którzy nie zwracając uwagi na to, że w wagonach mogła być amunicja, która zapalwszy się, pogrzebałaby wszystkich stojących w pobliżu ludzi, nie ustawali w pracy, lecz do ostatecznego momentu odcepienia płonących wagonów i uratowania całych, pracowali z zapalem.

Odnalazłszy w ukryciu maszynistę kolejowego, który odkręcił od zatopionego parowozu potrzebne, uszkodzone części przy drugim parowozie, uruchomiliśmy w tym jeszcze dniu pociąg przyfrontowy, co było bardzo ważne, gdyż na zachód od Sarn, liczne mosty kolejowe były poniszczone i nie można było w pobliżu frontu uruchomić pociągu przez niemożliwość sprowadzenia taboru kolejowego tak, że zdobyczny pociąg przydał się bardzo, gdyż służył jako jedyny przyfrontowy środek lokomocji, kursując na linii: Sarny—Dąbrowica—Antonówka—Równe.

Bój pod Treskinią i Sarnami pozostał dla mnie pamiętny na całe życie, gdyż za ten bój zostałem przedstawiony przez kapitana Żołędziowskiego, dowódcę II bataljonu, do Orderu Virtuti Militari IV klasy i otrzymałem Order Virtuti Militari V klasy, pozatem był to jeden z poważniejszych bojów pułku, którego rocznicę 28 września 25 pułk obrał sobie jako dzień święta pułkowego. Bratnie mogiły na cmentarzach w Sarnach i Bereźnicy świadczą o krwawych i chlubnych, zwycięskich bojach 25-go pułku piechoty w tych okolicach.

Przed wieczorem poszedłem do szpitala wojskowego, by odwiedzić swych rannych żołnierzy. Obaj ranni od kartaczy czuli się dobrze, choć jeden z nich miał ranę szarpaną prawej nogi powyżej kolana, a drugi kawał wyrwanego boku. Leżeli jednak spokojnie, nie narzekając i wyczekując powrotu do zdrowia. Przykro mi natomiast zrobiło się, gdy oglądałem rannych jeńców bolszewickich. Niejaki Kowalski, czy też Kamiński, kowal z Warszawy, polskiej narodowości, służył u bolszewików jako komisarz, czy też dowódca pułku. W boju pod Sarnami został ranny kulą karabinową wspomniany Kowalski w kark tak niešťczęśliwie, że stracił władzę w kończynach i, jak twierdzili lekarze, to taki stan jakby paraliżu może trwać dość długo, że ranny, nie mogąc ruszyć ręką ani nogą, może żyć w bezwładzie wskutek uszkodzenia splotu nerwów. Trapiiony wyrzutami sumienia, czy też rozpaczy, stanem swej niemocy, komunista Kowalski płakał rzewnymi łzami, uskarżając się na swój los nieubłagany, że został tak bardzo okaleczony przez własnych rodaków i współ-

braci, których teraz, na łożu śmierci, jak się wyraził, „poznał i pokochał, jako człowiek oszukany“.

Obok niego leżał drugi, jeszcze więcej nieszczęśliwy, który otrzymał postrzał kulą karabinową w głowę, tuż ponad okiem. Zdawało się, że jest to lekka rana, lecz jak się człowiek przyjrzał lepiej, to zauważył, że od tej rany i przerwania przez kulę nerwów ocznych, nieszczęśliwemu rannemu jeńcowi wyszły oczy na wierzch, które były podobne do olbrzymich mętnych gał, lub dużych rybich oczu. Ten nazawsze ociemniały kaleka, nie odczuwał bólu, lub też może był nieprzytomny, gdyż leżał spokojnie i opowiadał sobie, że „on leży na polu i teraz jest ciemno, ale jak się rozwidni, to on wróci do domu i żeby się o niego nie martwić“. W mieście i na pozycjach panował spokój, niczem niezamącony. Nieprzyjaciel z za rzeki nie ostrzeliwał miasta tak, że z każdym dniem znać było coraz bliżej koniec wojny.

30 września zebrał się w Sarnach cały pułk, za wyjątkiem żołnierzy, przebywających nad rzeką na placówkach i żegnał ze łzą żołnierską w oku ukochanego swego dowódcę pułku, majora Jaklicza, powołanego rozkazem Ministerstwa Spraw Wojskowych na kurs do Wyższej Szkoły Wojennej w Paryżu. Wszyscy oficerowie i żołnierze czuli w chwili pożegnania, że odchodzi od nich nie tylko dobry i bohaterski dowódca, który w czasie swego krótkiego dowodzenia najwięcej pułkowi przysporzył chlubnych zwycięstw, lecz że odchodzi zarazem dobry i szczerzy kolega dla oficerów i dbały, gorliwy opiekun żołnierza. Pułk objął od majora Jaklicza, major Bogaczewicz, zdając swój batalion porucznikowi Ptasznikowi Władysławowi, również nieustraszonemu i bardzo dzielnemu oficerowi.

ROZDZIAŁ XXIII.

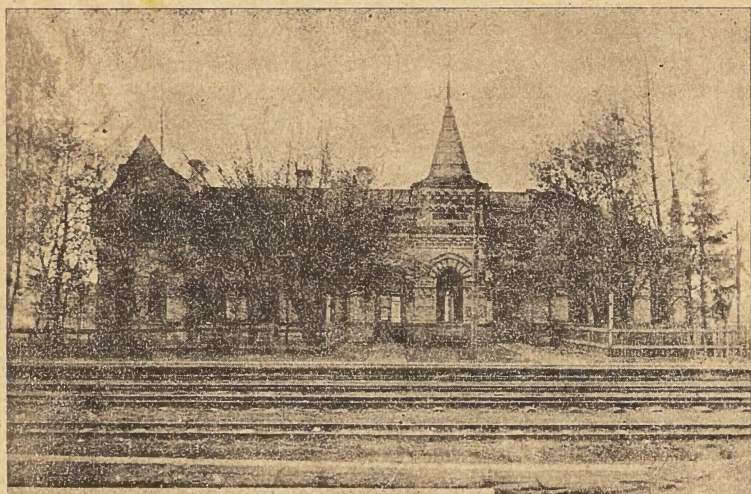
Akcja na Olewsk.

Po zajęciu przez wojska polskie Lidy i Wołkowyska, oraz po rozbiciu przez generała Krajewskiego oddziałów IV armji sowieckiej i zajęciu Pińska własny Korpus Jazdy, po zdobyciu Zwiąhla i Korca, wyruszył na głęboki wypad na Żytomierz—Korosteń i Koziatyn, w celu odcięcia dróg odwrotu i ostatecznego rozbicia XII armji sowieckiej. W związku z wyruszeniem w dniu 2 października wypadu jazdy na Korosteń, 7 dywizja piechoty miała rozkaz współdziałać w tej akcji, przez wysłanie oddziałów do akcji na Rokitno i Olewsk, w celu zajęcia tych miejscowości i niepozwolenia nieprzyjacielowi na wywiezienie materiału wojennego z tych stacyj kolejowych. Dowódca 7 dywizji ograniczył się do wysłania na Olewsk, oddalony od Sarn 85 kilometrów, tylko jednego bataljonu.

2 października, zrana, III bataljon wymaszerował z Olewska, wraz z baterją artylerji 7 pułku artylerji polowej, z zadaniem przejścia po osi: Klisowa-Słobódka-Rokitno-Huta Sobieszczyńska-Budki, zdobycia i obsadzenia Olewska. W akcji tej współdziałała brygada Dońskich kozaków, która wraz z bataljonem miała zaatakować Olewsk od strony Barbarówki. Z bólem serca żegnał major Bogaczewicz odchodzący swój bataljon, jako oddział wydzielony na tę nader niebezpieczną wyprawę, gdyż Olewsk, poza dużem oddaleniem 85 kilometrów od Sarn, leżał wśród dużych, ciągnących się na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów lasów, w których nieprzyjaciel łatwo mógł urządzić zasadzkę i doprowadzić do rozbicia, lub zniszczenia bataljonu. Bataljon na wypad poprowadził porucznik Ptasznik Władysław, bardzo dzielny i nieustraszony oficer. Bataljon zajął Rokitno i posuwał się dalej pod Olewsk, nie napotykając nieprzyjaciela, który przebywał dopiero w Olewsku.

4 października w południe, bataljon przybył do wsi Budki, oddalonej od Olewska około 4 kilometrów, gdzie porucznik Ptasznik zarządził dłuższy odpoczynek, dając żołnierzom wypo-

czynek, przed spodziewanym w tym dniu większym bojem. W tym czasie, gdy żołnierze spożywali obiad, wyruszyły patrole do Olewska, na zbadanie nieprzyjaciela, które powróciły do Budek i zameldowały, że obserwując Olewsk ze skraju lasu, zauważyły na dworcu kolejowym dwa pociągi pancerne i mnóstwo żołnierzy nieprzyjacielskich, włączających się w pobliżu dworca kolejowego i miasta. Otrzymaawszy te niepocieszające wiadomości, porucznik Ptasznik nie cofnął się przed ciężkim i ryzykownym zadaniem i postanowił jak najszybciej szykować się do boju, licząc jedynie na własne siły. Bataljon wyruszył niezwłocznie marszem ubezpieczonym na Olewsk i zaatakował go przez zaskoczenie, korzystając ze złego ubezpieczenia miasta przez oddziały nieprzyjacielskie.



Dworzec kolejowy w Olewsku.

O godzinie 16-tej bataljon ugrupowany na skraju lasu, uderzył do szturm na miasto i dworzec kolejowy, pędząc przed sobą zaskoczonych żołnierzy nieprzyjacielskich, którzy stawiając nikły opór, wycofywali się za rzekę. Stojące na dworcu kolejowym w Olewsku pociągi pancerne, nie wiedząc, że to idzie natarcie tylko jednego bataljonu, całą siłą pary odjechały w kierunku Białokorowicz, ostrzeliwując się zawzięcie i wysadzając tor kolejowy, za sobą. Wysadzając tor kolejowy, cofające się pociągi

pancerne nieprzyjacielskie nie oszczędziły również i dużego mostu kolejowego na rzece Uborć, czem się przyczyniły do skutecznej obrony bataljonu porucznika Ptasznika w Olewsku, gdyż po dowiedzeniu się od ludności cywilnej, że to nie jest powtórna ofensywa kijowska, lecz że jeden bataljon przybył do Olewska, bolszewicy o godzinie 18-tej tegoż dnia powrócili i chcieli odzyskać utracone miasto, wskutek jednak zniszczenia przez siebie mostów kolejowych, nie mogli do akcji podciągnąć swych pociągów pancernych, któreby im ułatwiły znacznie akcję w odzyskaniu Olewska. Artylerja nieprzyjacielska w tym dniu do późnej nocy silnym ogniem zasypywała dworzec kolejowy i miasto, a silne tyraljery dwukrotnie atakowały miasto, lecz bezskutecznie. Oba natarcia nieprzyjacielskie zostały krwawo odparte i bataljon utrzymał się na swych pozycjach, utrzymując zdobyte miasto Olewsk. Wszyscy oficerowie i żołnierze tej nocy czuwali na swych stanowiskach, by nieprzyjaciel nie popróbował szczęścia odzyskania miasta w boju nocnym, lecz wbrew oczekiwaniom, noc przeszła spokojnie, i dopiero gdy o godzinie 8-mej zrana słońce rozproszyło mgły poranne, wyszło silne natarcie nieprzyjacielskie. Bój trwał bez przerwy do godziny 12-tej w południe, lecz i tym razem nieprzyjaciel nie mógł zwalczyć, zdecydowanie broniących się kompanij bataljonu. Porucznik Ptasznik, zdając sobie sprawę z niebezpiecznego swego położenia, wysłał meldunek do dowódcy pułku, majora Bogaczewicza o pomoc, lecz goniec konny powrócił i przywiózł odpowiedź, że narazie pomoc nie przyjdzie i że bataljon ma wytrwać na swych pozycjach. Nie było innej rady. Na rozkaz dowódców żołnierz może zginąć, lecz nie wolno mu nie wykonać rozkazu, tak też i porucznik Ptasznik, walczył nadal z nieprzyjacielem, odpierając kilkakrotne jego wciągu dnia ataki, byleby spełnić otrzymany rozkaz, lecz szeregi jego bataljonu z każdym dniem malały. Powstały liczne mogiły na cmentarzu wojskowym w pobliżu dworca kolejowego, a długie sznury podwód odwoziły codziennie szeregi rannych żołnierzy do szpitala wojskowego w Sarnach. Major Bogaczewicz, nie wiedząc o ciężkich walkach bataljonu w Olewsku i o dużych jego stratach w ciągłych prawie bitwach, liczył na to, że wypróbowany jego dawny bataljon w bojach wytrzyma, lecz gdy zobaczył liczne podwody z rannymi żołnierzami i otrzymał meldunek od porucznika Ptasznika, że posiada 20% strat w bataljonie, oraz tylko dwie armaty zdolne do strzelania, gdyż artylerja nieprzyjacielska porozbijała mu pozostałe, major Bogaczewicz nie zwlekając ani chwili, wyruszył na pomoc do Olewska, prowadząc bataljon porucznika Studzińskiego i dwie baterje armat.

7 października o godzinie 23-ciej przybył major Bogaczewicz do Olewska, na pomoc swemu dawnemu bataljonowi, czyli w chwili, gdy po całodziennym ciężkim boju, żołnierze spędzali noc bezsennie, wpatrując się w czerń nocy, skąd codziennie o świcie wychodziły atakujące tyraljery nieprzyjacielskie, pragnąc za wszelką cenę odzyskać utracone miasto. Wiadomość o przybyciu majora Bogaczewicza z posiłkami obiegła okopy, lotem błyskawicy. Zagrożeni mocno ciągłymi walkami żołnierze, czuli, że zostali uratowani i że teraz znacznie się okres innych walk, w których oni będą łupić nieprzyjaciela, za jego dotychczasowe walki zaczepne.

Po obejrzeniu cmentarza bataljonu, którego liczne mogiły wyrosły jak grzyby po deszczu, w ciągu tych czterech dni ustawicznych walk, major Bogaczewicz przystąpił do wzięcia inicjatywy w swoje ręce. Bataljon porucznika Ptasznika został zdjęty z pozycji na chwilowy odpoczynek po czterodniowych walkach i nieprzespanych nocach, a pozycje bataljonu zostały obsadzone wyłącznie jedną kompanją z bataljonu porucznika Ptasznika i licznymi karabinami maszynowymi, oraz 16-ma armatami, a pozostałe 7 kompanij piechoty oczekiwało natarcia nieprzyjacielskiego, by przeciwwuderzeniem zadać mu większe straty.

8 października natarcie nieprzyjacielskie wyszło nie jak zwykle o godzinie 8-ej, lecz o 10-ej, prowadził je jednak nieprzyjaciel znacznie zwiększonymi siłami, niż w dniu poprzednie. Do zbliżających się tyraljer nieprzyjacielskich nikt z żołnierzy nie oddał ani jednego strzału, dopiero gdy zbliżyły się na odległość trzystu metrów, zionął na nich ogień artylerji i licznych karabinów maszynowych, a przygotowane do przeciwwuderzenia kompanje wybiegły na spotkanie nieprzyjaciela, pragnąc zmierzyć się z nim walką na bagnety. Zaskoczone oddziały nieprzyjacielskie, nie spodziewając się tak silnej kontrakcji, rzuciły się do panicznej ucieczki i skryły się w pobliskim lesie, znacząc drogę odwrotu zabitymi i rannymi, którzy padli od ognia pościgowego, w czasie odwrotu. Nieprzyjaciel nie zrezygnował z odzyskania miasta i w ciągu popołudnia tegoż dnia, jak w ciągu dni następnych prowadził ustawiczne ataki przy pomocy: 516-go, 517-go i 518-go pułków piechoty, lecz bezskutecznie. Miasto Olewsk zostało utrzymane i nieprzyjaciel nie mógł nigdzie wyprzeć 25 pułku, z zajmowanych pozycji.

11 października major Bogaczewicz postanowił uspokoić nieprzyjaciela i przeszedł do akcji zaczepnej. Wysłane silne patrole własne rozpoznały pozycje nieprzyjacielskie w kierunku Bolarki i Tepiennicy. W dniu tym popołudniu, wyruszył bataljon

porucznika Ptasznika na wypad w kierunku na Czystą i Łużę, z zadaniem rozbicia znajdujących się tam oddziałów nieprzyjacielskich i pochycenia jeńców, Zgłodniały i zziębnięci żołnierze bolszewicy, w dniu tym czuwali słabo, tak, że obudzili się i schwycili za broń, gdy tyraljery bataljonu znajdowały się przed ich okopami na sto kroków. Strzelając tedy bezładnie, oddziały nieprzyjacielskie wycofywały się na wschód do lasu. We wsi Łuża, w stojącej na uboczu chacie, zabarykadowali się żołnierze bolszewicy, czy też śpiąc, zapóźno zerwali się ze snu, i nie mogąc uciec, siedzieli w chacie, trzymając mocno drzwi, za które ciągnęli od zewnątrz moi żołnierze, wzywając znajdujących się tam bolszewików do poddania się. Siedzący w chacie żołnierze bolszewicy, nie strzelali do mych żołnierzy. Podbiegłem do wspomnianej chaty i wezwałem przebywających tam żołnierzy nieprzyjacielskich do poddania się, a nie otrzymawszy odpowiedzi, chwyciłem i odbezpieczyłem granat ręczny, chcąc wrzucić go do chaty. Przebywający w chacie żołnierze nieprzyjacielscy, przeżywali w tej chwili ostatnie sekundy swego życia, gdyż trzymając w ręku zapalony granat ręczny, uczyniłem zamach, by wrzucić go do środka, lecz popatrzywszy przez szybę na smutne i wylęknione oczy przebywających w chacie żołnierzy nieprzyjacielskich, rzuciłem granat obok chaty, wzywając swoich żołnierzy do ukrycia się. Potężny wybuch granatu ręcznego poskutkował i nakłonił żołnierzy bolszewickich do poddania się, to też wychodząc z chaty z podniesionymi rękoma dogóry, składali broń i amunicję na ziemi. Zabrani na tym wypadzie jeńcy pochodzili z okolic nadwołżańskich, nawiedzonych głodem, uzupełnionym w armji bolszewickiej na froncie, to też patrząc na wygłodzonych i znędzniałych jeńców, czułem wewnętrzne zadowolenie, że nie pomordowałem w chwili uniesienia bojowego tych nieszczęśliwych ludzi, przez wrzucenie do chaty granatu ręcznego. „Biada w boju zwyciężonemu jeżeli nie usłuchają rozkazu zwycięzców!”

W opłotkach zagrody żołnierze bolszewicy mieli poustawiane na ognisku menażki, w których gotowali sobie strawę, nieotrzymując widocznie pożywienia z kuchen polowych. Zajrzałem przez ciekawość do jednej z nich. Gotowało się w niej parę małych ochłapów — bo mięsem tego nazwać nie można było, oraz mała ilość pokrajanych w kostkę, nie obieranych z łupin ziemniaków. Żołnierze rzucili się i chcieli zniszczyć gotującą się strawę, by pozbawić tych zgłodniałych ludzi ich skromnego pożywienia, lecz patrząc na wygłodzonych jeńców, uczułem tak wielką litość nad niedolą żołnierzy przy

mierających głodem, że choć to byli żołnierze nieprzyjacielscy, nie pozwoliłem swym żołnierzom niszczyć tej skromnej strawy, na którą prawdopodobnie wygłodzeni żołnierze nieprzyjacielscy z utęsknieniem oczekiwali. Po powrocie z wypadu, spotkałem około 60-ciu jeńców bolszewickich, siedzących przy kuchni polowej, pomagających kucharzowi gotować kolację i wyłapujących mu zarazem kawałki mięsa wołowego, które zjadali łączywie w stanie surowym. Ci siedzący przy ognisku jeńcy, śpiewając swe tatarskie pieśni narodowe, mieli miny beztroskie i nie martwili się zbyt swą niewolą, mówiąc z zadowoleniem, że jużby dawno uciekli i poddali się do niewoli, lecz komisarze im opowiadali, że polacy mordują jeńców i głodzą w niewoli, a oni się głodu bardzo boją.

Po tym wypadzie oddziały nieprzyjacielskie zaprzestały natarcia i tylko artylerja bolszewicka silnie ostrzeliwała miasto i dworzec kolejowy w Olewsku. Sytuacja zmieniła się znacznie. Byliśmy pewni utrzymania miasta, pomimo wysiłków nieprzyjacielskich, zmierzających do odebrania go, gdyż przybyły do miasta znaczne posiłki.

14 października przybył do Olewska II bataljon kapitana Żołędziowskiego i jednocześnie przybył dowódca XIII brygady, pułkownik Olszyna-Wilczyński, prowadząc cały 26 pułk. Była to siła, która niepotrzebowała obawiać się akcji nieprzyjacielskiej, pomimo liczebnej jego przewagi. Bolszewicy nie odzyskali Olewska, bo nie umieli go zdobyć. Miast zgromadzić siły, przeprawić się za rzekę Uborć w Suszczanach, lub Łopatyczach i uderzyć na skrzydło bataljonu, lub obejść je i atakując bataljon od tyłu, przycisnąć go do rzeki, atakowali bez przerwy pozycje bataljonu i później pułku od frontu, mając przed sobą rzekę Uborć i silnie bronioną pozycję. Wykonanie akcji obejścia naszych pozycji pod Olewskiem, ułatwiały bolszewikom olbrzymie lasy, otaczające miasto i dworzec kolejowy ze wszystkich prawie stron.

15 października zauważono grupowanie się oddziałów nieprzyjacielskich w pobliżu Olewska. W celu odpędzenia nieprzyjaciela dalej od miasta i wyjaśnienia sytuacji, pułkownik Olszyna-Wilczyński zarządził wypad całego 25 pułku, przy współudziale bataljonu 26 pułku, w kierunku na Bolarkę—Kiszyn i Topiennicę, w celu rozbicia znajdujących się tam oddziałów nieprzyjacielskich i przychwycenia jeńców.

16 października zrana wyruszył wspomniany wypad. Porańek w tym dniu był pochmurny i mglisty, a silne opary utrudniały obserwację. Była to chwila sprzyjająca wypadowi, gdyż

pułk mógł posuwać się bezpiecznie, nie będąc nalezycie widzianym przez nieprzyjaciela. Posuwając się w kierunku na Bolarkę, straż przednia weszła prawie że na pozycję głównego oporu nieprzyjaciela i dostała się pod bardzo silny ogień karabinów maszynowych. Byłem pewny w tym boju, że zginę lub nabawię się kilku ran od tego piorunskiego ognia. Liczne wiązki pocisków ognia karabinów maszynowych przelatywały ze świstem i zgrzytem, chichocząc złośliwie, jakby szydziły z odwagi ludzkiej, ostrzegając przed swą śmiertcionośną działalnością. Nacierające oddziały przylgnęły do ziemi, która była dla nich w strefie tego morderczego ognia zbawieniem. Niedługo można byłoby leżeć bezpiecznie w tym piekle ognia, to też dowódcy kompanji poderwali swe tyraljery do szturm i wśród morderczego ognia pędzili naprzód. Broniące się oddziały nieprzyjacielskie nie wytrzymały tak zdecydowanego uderzenia bataljonu i wycofały się na wschód do lasów, które skryły je przed ogniem pościgowym naszych oddziałów. Po tej ciężkiej bitwie porannej, nieprzyjaciel nie stawiał już w ciągu całego dnia zdecydowanego oporu tak, że po zajęciu Bolarki—Kiszyna i Tepiennicy, pułk powrócił do Olewska, prowadząc zdobyte karabiny maszynowe i 193 jeńców. Po wypadzie nieprzyjaciel zachowywał się spokojnie, jakby obawiał się sprowokować nasze oddziały, tak miał widocznie dość tych nieszczęśliwych dla siebie w ostatnich dniach bitew. Nawet jeden strzał nie padł od strony nieprzyjaciela i nie ukazały się jego patrole. Widać było, że nieprzyjaciel czuje się moralnie złamanym i nie jest zdolny do dalszej walki. Czuć było bliski koniec wojny. I słuszne były przewidywania żołnierzy.

ROZDZIAŁ XXIV.

Zawieszenie broni.

18 października przyszły rozkazy, nakazujące o godzinie 24-tej tegoż dnia zakończenie działań wojennych. Radość z okazji zwycięskiego zakończenia wojny zapanowała wśród żołnierzy. Podawano sobie z ust do ust tę radosną nowinę. Szczęśliwym był każdy, kto doczekał tego radosnego momentu. Pomimo spokoju na froncie i oczekiwania zakończenia działań wojennych, pułkownik Olszyna Wilczyński wydał rozkazy i oba pułki z bronią w ręku czuwały do ostatniej chwili, by nieprzyjaciel przed samem zakończeniem wojny nie zajął Olewska, gdyż po godzinie 24-ej nie możnaby go było nawet wypierać i poza sromotną utratą miasta, bolszewicy siedzieliby sobie wówczas wygodnie w zdobytym mieście na kwaterach wówczas, gdy my musielibyśmy siedzieć w wilgotnych i zimnych lasach. Oddziały bolszewickie jednak w dniu tym do boju więcej nie wystąpiły. Może czuli, że i tak bezowocne będą ich dalsze krwawe zmagania, lub może nie chcieli wyprowadzać na śmierć swych żołnierzy, którzy prawie że już wojnę przeżyli, licząc ostatnie minuty jej istnienia.

Nadszedł mrok i ciemna noc, a pułk cały czuwał z bronią w ręku, by nieprzyjaciel nie wdarł się do miasta i nie zdobył go po tak krwawej i bohaterskiej dwutygodniowej obronie. Kontrolując czujność swych żołnierzy, obchodziłem placówki, gdzie wszystko było w największym porządku. Ci żołnierze, do których należało zwycięstwo, czuwali w ostatnie godziny szczęśliwej dla nich wojny, zapatrzeni w czerń nocy, z karabinem w ręku, gotowi do ostatniej walki na śmierć i życie, byleby nie oddać miasta wrogowi. „Szczęśliwa ta Ojczyzna, która ma Synów pełnych poświęcenia, której żołnierze Zwycięstwo i Honor Żołnierski cenią ponad życie własne“.

Wracając o godzinie 10-ej w nocy, po skontrolowaniu jednej z ważniejszych placówek przy moście, zostałem zainteresowany migotliwym światłem jednego z okien, stojącej na uboczu chatki. Podeszedłem więc do niej i przez szparę odsłonię-

tej firanki ujrzałem składającą się z sześciu osób rodzinę polską, która, klęcząc przed oświetlonym obrazem Matki Boskiej, odmawiała wspólnie modlitwę. Długo stałem w zadumie i obserwowałem tę rodzinę, a słowa ich modlitwy: „Od powietrza, gło du ognia i wojny zachowaj nas, Panie!” utkwily mi w pamięci na całe życie. Te słowa rzewnej skargi do Boga, słane przez ludzi wymęczonych wojną, ten tylko zrozumie i odczuje potęgę ich niedoli, kto przebywając długie miesiące na krwawych polach bitew napatrzył się na śmierć i kalectwo żołnierzy oraz ludności cywilnej obszarów przyfrontowych, która zgłodniała, bezdomna i wyłęczniona, oczekiwała długie dni w rozpaczny na poprawę swej doli lub przykrego przeznaczenia losu.

Powracając zpowrotem, do placówek, gdzie pragnąłem spędzić ostatnie chwile wojny, myślałem o szczęśliwym jej zakończeniu, a wszystkie czynniki, które złożyły się na to wielkie zwycięstwo, stanęły mi tak żywo przed oczyma, że zdawało mi się, widziałem uśmiechnięte zakrwawione oblicze każdego ze swych żołnierzy, lub przyjaciół, poległych w czasie wojny, którzy, jakby śląc uśmiech z zapomnianych mogił, radowali się wraz z nami, tem wielkiem zwycięstwem, którego my, jako szczęśliwi wybrańcy losu, doczekaliśmy. Tak trwając na placówce, w rozmyślaniach nad wielkim zwycięstwem i ofiarną krwią, na zgłiszczach której powstała Polska Wielka i Niepodległa, spojrzałem na zegarek. Dochodziła godzina 24-ta. Wydałem swym żołnierzom rozkaz, by nie strzelali, i rozmawiając z nimi, oraz składając im serdeczne życzenia, z okazji szczęśliwego doczekania zwycięskiego końca wojny, powracałem do swej kwatery, gdy zoddali doleciał mnie odgłos srebrzystego dźwięku trąbki. Tak! To był naprawdę koniec wojny. Z dalekiego przedpola sygnaliści parlamentarjuszy nieprzyjacielskich powtarzali sygnały kilkakrotnie, mając zlecenie porozumienia się z wyższymi władzami wojskowymi. Trudno opisać radość, jaka powstała w mem sercu. O! Jak wiele byłem szczęśliwszym, od pradziada swego, który powrócił z pod Moskwy bez nogi, z zawieszonym na jego bohaterskiej piersi Orderem Virtuti Militari, gdy po upadku Wielkiego Cesarza Napoleona, miast patrzeć na owoc swej pracy, po spełnionem do ostatniej chwili zadaniu, musiał patrzeć, do ostatnich dni swego żywota, na nędzę i hańbę, nieszczęsnych Rodaków w niewoli, wówczas, gdy ja, miałem to szczęście, że walcząc na froncie, do końca wojny, doczekałem się jej szczęśliwego i zwycięskiego zakończenia.

Nazajutrz, po odprawionem nabożeństwie w miejscowym kościele i pogrzebaniu dwóch ostatnich ofiar wojny na cmentarzu kościelnym w Olewsku, odbyła się wielka uroczystość dla

pułku. Pułkownik Olszyna—Wilczyński i porucznik Studziński Franciszek, zostali udekorowani Orderami Virtuti Militari, jako pierwsi z oficerów 7 dywizji piechoty.

Po udekorowaniu i zakończonej oficjalnej części uroczystości nastąpił wspólny obiad w kasynie oficerskiem pułku, podczas którego wznoszono puhary, na cześć: Niezlomnego i Zwycięskiego Wodza Armji i Narodu, oraz Dzielnej i Niezwalczonej Jego Armji Polskiej i dowódców. Zebrana licznie miejscowa ludność, z entuzjazmem i radością podchwytywała te okrzyki, wznosząc je ze swych szczerych serc, przy dźwiękach Hymnu Narodowego, który w tym momencie był zarazem Hymnem Zwycięstwa i Potęgi Narodu.

Szczęśliwy ten żołnierz, który za sprawy Swej Ojczyzny poległ na placu boju, na zgłiszczach krwi którego powstaje Moc i Potęga Jego Ojczyzny, lecz stokroć szczęśliwszy jest ten, który walcząc do ostatniego tchu, doczeka się szczęśliwego i zwycięskiego zakończenia wojny.

K O N I E C.

DOSTRZEŻONE OMYŁKI DRUKU:

34	str	21	wiersz	od dołu	lodowej — zmienić na lodowatej.
60	„	4	„	od góry	nietytylko — zmienić na nietylko.
106	„	21	„	od góry	po słowie ślizgali dodać się.
112	„	2	„	od dołu	zamiast niezlicznej—wstawić niezliczonej.
124	„	1	„	od góry	po słowie wkrótce—winno być: nastąpić natarcie
138	„	21	„	od góry	Gorbylem — zmienić na Gorbylew m.
141	„	7	„	od góry	zamiast Złoblaz — winno być Złobicz.
144	„	6	„	od góry	mu życie uratował—winno być uratował mu życie
151	„	10	„	od dołu	kontraktaktu — winno być kontrataku.
155	„	9	„	od góry	zamiast powstałi — winno być powstawali.
169	„	6	„	od góry	zamiast Wólki Hruskiej—winno być Uhruskiej.
173	„	5	„	od góry	Niemiryczytowej — winno być Niemiryczowej.
200	„	16	„	od dołu	którzy smarząc — winno być smażąc.

